

241707

OSZK

Országos Széchényi Könyvtár

OSZK

Originals & Manuscripts

OSTATNIE DNI JANCZARÓW.



75 1070
Ostatnie dni Janczarów.

POWIEŚĆ

Maurycego Tokaj'a.

PRZEKŁAD

Karoliny Szaniawskiej.

OGÓLNEGO ZBIORU „WIECZORÓW POWIEŚCIOWYCH”
DODATKU DO BIESIADY LITERACKIEJ

TOM XXXI.

Czytelnia
„POPULARNA”
WYPOŻYCZALNIA KSIĄŻEK
Nr 5 Zielna WOLNYCEGO ORGELBRANDA

WARSZAWA.

NAKŁADEM „BIESIADY LITERACKIEJ”.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 18 Декабря 1885 года.



241.707



Krajobraz przedstawia okolicę dziką i pustą, wśród której rozciąga się dolina Seleucyjskich pieczar.

Miejscowość to jak gdyby stworzona dla pustelnika. Głucho tu i samotnie, ani śladu życia; całość czyni wrażenie olbrzymiego grobowca, który wraz z zieloną osłaniającą go murawą, zapadł się w przepaść.

Melancholijny smutek, niby mgła ciężka, zawisł nad tą ziemią, z którą sam Bóg obszedł się bez litości, dając jej grunt martwy, nieurodzajny, popękane skały, i coś dziwnego, że pobyt na niej jest niemożliwym.

Rzadko, bardzo rzadko zabłądzi tam człowiek. Bo i po cóż? czego by tutaj szukał? Niema tu nic zgoła, co może mu przyjemność sprawić.

Nawet dziki zwierz nie założy tu gniazda... tylko czasami, w skwarny dzień letni, przed upałem się chroniąc, przyjdzie tu lew, król puszczy, ćwiertować swą zdobycz. Najedzony, oddala się niezwłocznie, a grzmiące echo własnego ryku, wściekły gniew w nim budzi.

Ciekawi turyści zwiedzają czasem te strony; przygniatające wrażenie oddziaływa i na nich — obejrawszy historyczne pamiątki, uciekają coby prędzej.

Cóż tam wreszcie zobaczyć można?

Szcątki muru wzniesionego i zburzonego niewiadomo w jakich czasach. Dalej, wysoki słup kamienny, dzieło pobożnego Szymona Stylitesa, który go postawił, a potem przesiadywał na nim dni całe rozłożywszy ręce niby krzyż nad drogą, bijąc pokłony po tysiąc pięćset razy dziennie, przyczem nóg dotykał głową.

Północna i południowa część doliny, odcięte wysokimi skałami, na których szczycie zieleni się trawa. Przez całą długość skalistej ściany liczne jaskinie rozwarły swe paszcze, jak gdyby zaginiony rodzaj przedpotopowych olbrzymów urządził tam kilkopiętrowe drzwi i okna, i zbudował sobie siedlisko.

Boczne ściany pieczar są tak popękane, grunt tak nierówny, że je za dzieło rąk ludzkich z trudnością poczytaćby można, a jednak wyłobienia tych paszcz i równa miarowa odległość w jakiej się mieszczą, usuwa wszelką wątpliwość pod tym względem.

Dwie jaskinie mają kształt tryumfalnych łuków, trzecia rozwarta u stóp skały, posiada olbrzymie sklepienia i wygląda jak kościół imponujących rozmiarów. Powiadają, że ciągnie się przez całą długość skał, aż do morza, i gdyby kto wejść tam się odważył, znalazłby mnóstwo zagadkowych napisów, których po ścianach jest pełno.

Któż zna tę dziwną mowę?

Może chaldejczycy, lub czciciele ognia...

Jakież tajemnice przeszłości wygłaszają te ściany?

Któżby mógł odpowiedzieć?...

Może, dawnemi czasy, ta dzika dolina była przeznaczoną na cmentarz, a groby, jak zwykle, przeżyły swoich twórców...

Miejscowość jest tém straszniejszą, że popękane skały setką rozwartych paszcz zdają się głosić:

Tu leży wygastły naród.

Tamta szczególnie, najgłębiej położona skała, ma tę niezwykłą właściwość, że wydaje z siebie głuche, do wycia podobne dźwięki. Pasterze strzegący swoich trzód na urwiskach, słuchają strachem zdjęci, jak w otworze skały coś rwie się i szumi. Głos ten, zbliżony zrazu do szmeru owadów, potęguje się i wzrasta, niby uragan który wpadł tu przypadkowo i z grzmiącym rykiem ujścia sobie szuka. Potem zazwyczaj następuje *samum*, który zapewne do pieczary się dostawszy, naprzód w dolinie zwiastuje swą obecność.

Lecz i w innych wypadkach jaskinia odzywać się zwykła.

Pewnego razu, swawolni chłopcy roznieciwszy ogień przy wejściu do pieczary, głośném wołaniem zaczęli wzywać Dżina. Odpowiedziało im echo, nie ich własnymi słowy, lecz łagodném napomnieniem, by się rozeszli, a nie urągali Bogu.

Kiedys znów, schroniła się tam wiarołomna kobieta, pod osłoną ciemności chcąc ukryć swe zbrodnicze czyny; strach ogarnął uwodzicieli, gdy

ich szepty przerwał głos, od którego krew skrzepła im w żyłach:

„Allah jest wszędzie!”

Raz wpadli tutaj zbójcy, chcąc na tém miejscu podróznego zamordować. Nagle w jaskini powstał szum gwałtowny, jak gdyby zerwała się burza, a zbrodniarze usłyszeli te słowa:

„Allah patrzy, ognie piekielne dla was płoną!”

W najwyższém przerażeniu wszyscy uciekli.

Okoliczni mieszkańcy wierzą, że tam mieszka Dżin, który nie krzywdzi sprawiedliwych, lecz prześladuje złych. Nietylko jednak ci ostatni mieli sposobność poznać jego moc tajemniczą. Strapieni i cierpiący licznie przybywali tutaj, a niewidzialny Dżin czytał w ich sercach. Zbyteczném było wypowiadać swe skargi, Dżin dawał radę, która zawsze stawała się skuteczną. Być może, iż każdy mógłby im to samo powiedzieć, lecz wskazówki zwykłego śmiertelnika nie trzymaliby się tak pilnie, a tym sposobem skutek nie byłby pewny.

Trafiło się nawet, że ktoś chciał poznać swą przyszłość, tajemnicza istota wiedziała naprzód, kogo tu wiodła prawdziwa niedola, a kogo prosta ciekawość. Ostatni nie otrzymał odpowiedzi, pierwszy zaś usłyszał prorocstwo, którego symbolika przechowała się przez całe wieki.

Przesądny lud składa ofiary owemu duchowi; wiedząc, że tym sposobem spełnia dobry uczynek. Okoliczni mieszkańcy starają się żyć z nim w zgodzie, nie przeszkadzać czczemi pytaniami, ani też odnosić się doń z lada drobnostką. Raz nawet, po-

bożny kady z Seleucyi kazał obić swawolników, rzucających kamienie do pieczary.

W odległości czterdziestu kroków od wejścia do jaskini, gdzie już światło słoneczne nigdy nie dochodzi, stoi wielki kamień, bardzo podobny do ołtarza. Na samym środku znajduje się wgłębienie, które pobożni ryżem lub mąką napełniać zwykli. Przyszedłszy nazajutrz, widzą, że Dżin ofiarę przyjął, położył nawet srebrny pieniądz jako zapłatę.

Moneta jest czysta i świeża, pochodząca z dawnych, lepszych czasów tureckiej monarchii, trzy razy więcéj warta niż dzisiejsze pieniądze.

Dżin płaci gotówką, nic darmo nie chce przyjąć. Aby z nim się rozmówić, trzeba wejść głębiej do środka jaskini, gdzie już zupełnie ciemno. Dżin panuje tylko w ciemnościach.

Kto zabierze z sobą lampę lub pochodnię, nigdzie go nie dopatrzy, ani też odpowiedzi nie otrzyma.

Pod osłoną ciemności, Dżin widzi dokładnie każdego przybysza, najlżejszy ruch nie ujdzie jego uwagi, nic przed nim ukryć się nie zdoła.

Przez lat pięćdziesiąt z górą, opowiadania o cudach seleucyjskich pieczar krążą w ustach ludu.

Przez pół wieku już przeszło, baszowie, kapłani, wojownicy i wszyscy możni całego kraju zwiedzają siedzibę Dżina, który wie wszystko co się stanie na świecie.

Niejednemu rychłą śmierć wywróżył, tym zaś

których nie lubi powiedział otwarcie, że mnożstwem grzechów zasłużyli na los jaki ich spotyka.

Było to w roku 1818.

Gdy *samum* ukończył swe szalone harce, do portu S., będącego wspaniałą resztką wielkiej w swoim czasie Seleucyjskiej przystani, zawinął okręt rozbójników morskich.

Nosił on flagę Francyi, lecz załoga składała się z albańczyków.

Straszne bo też w ciągu dni ostatnich odbyło się żniwo! Cały niemal port zasłano teraz odłamkami statków i pracują nad ich naprawieniem.

Każdy podziwiał świeżo przybywający okręt, któremu nie brakło ani jednego żagla, nawet posiadał znacznie większe maszty od tych, które korsarskie statki miewać zwykły.

Gdy zarzucono kotwicę, zaraz do brzegu przypłynęła łódka, a na niej dwudziestu czterech zbrojnych ludzi.

Każdy miał na twarzy piętno swego cechu; dziekie ich oczy mówiły o przebytych bojach.

Następnie do łodzi wszedł poważny starzec, a za nim spuszczone ognistego rumaka.

Starzec ten był kapitanem okrętu.

Silnie zbudowany, średniego wzrostu, mogący mieć lat siedmdziesiąt do ośmdziesięciu, zdawał się jeszcze tak krzepkim na duchu i ciele, jak w owych

czasach, gdy broda, biała dzisiaj niby skrzydło łabędzia, zupełnie była czarną. Ramię jego zdradzało siłę Herkulesa, wzrok rzucał błyskawice, a ruchy świadczyły wymownie, że to jest dzielny człowiek.

Łódź przybiła do brzegu; pomimo wszelkich wysiłków, nie można było jej osadzić. Bałwany rozbijające się o wybrzeże, rzucały ją niby łupinę.

Na rozkaz starca, trzej ludzie wskoczyli w morze by łódkę sznurami przyciągnąć. Szumiąca fala cisnęła ich jak piłki.

Starzec dosiada konia i spiąwszy go ostrogą, rzuca się w wodę. Fale zakrywają go po trzykroć; za trzecim jednak razem do brzegu już dobił. Lud patrzy się i dziwi, on zaś nikogo nie pytając, jak gdyby znajdował się u siebie, pędzi dalej, mija baszty opasujące gród silnym łańcuchem, skręca w wąską ścieżynę, i już go nie widać.

Jechał przez pół godziny prawie, wśród gór, na których piętrzyły się figi i oliwne drzewa, zanim znalazł miejscowość będącą celem jego podróży. Zatrzymał się przed ubogą chatką, zlepioną z drzewa, kamienia i gliny, tak niedołężnie, iż nawet jaskółka wstydziłaby się uznać ją za swoje dzieło, nie mówiąc już o bobrze, którego domek arcydziełem budownictwa słusznie się nazywa.

Sama natura ulitowawszy się nad tą nędzną lepianką, okryła ją bluszczem.

Zsiadłszy z konia, starzec do drzewa go przywiązał i zaczął odczytywać napisy, umieszczone tuż pod dachem.

„Przeklęty, kto przerywa śpiew ptaszęciu.“

Czekał, przez chwilę nadśluchując.

— Nie śpiewasz przecież — mruknął i czytał dalej:

„Kto kołacze do drzwi człowieka oddanego modłom, napróżno kołatać będzie do raju.“

Nie kołacząc, starzec pospiesznie drzwi otworzył.

W izdebce przed wiadrem świeżej wody, klęczał derwisz zakonu Erdbuharów, obnażony do pasa.

Odprawiał poranną ceremonią Abdestanu.

Jak gdyby nie widząc nikogo odbywał dalej pobożne ćwiczenia.

Naprzód myjąc ręce, powtarzał ze skrucą:

„Błogosławionym niech będzie Pan, który dał wodzie własność obmywania i oświecił ducha naszego.“

Następnie, pociągnął ustami nieco wody z prawej ręki, mówiąc:

„O, panie, o, Ałlah, daj mi pić z tej wody, którą napoiłeś Mahometa w raju, wonniejszej niż balsam, bielszej niż mleko i słodszej od miodu, która tęsknotę gasi na wieki.“

Wciągnąwszy w nos trochę wody, zaczął znowu:

„O, panie, pozwól mi odetchnąć zapachem raju, miłszym nad ambre i balsam, a nie dopuść, bym miał kiedy poczuć przeklętą woń piekła.“

Potem nabrał wody w obie ręce i umył twarz z temi słowy:

„Obmyj, panie, twarz moję, jak w dzień sądu ostatecznego obmyjesz oblicze proroka i jego wiernych sług.“

Nie koniec jeszcze na tém.

Polewając prawą ręką ramię aż do łokcia, szeptał z przejęciem:

„O, panie, gdy przyjdzie godzina sądu, daj mi w prawicę księgę czynów moich, i weź mnie do raju.“

Nareszcie włożył głowę w wiadro i nad saną wodą powtarzał zcicha:

„Panie, otocz mnie łaską, gdy stanę przed Tobą, a zamiast płomiennego wieńca grzeszników, włóż mi na głowę koronę sprawiedliwych.“

Ująwszy się za uszy znowu zaczął:

„Daj panie, by moje uszy słuchały zawsze z radością świętych słów alkoranu.“

Po tej modlitwie oblał szyję, mówiąc:

„Panie, uwolnij mnie z więzów, które opasują szyję potępionego“, a siadłszy na ziemi, obmył z przejęciem prawą nogę.

„Dozwól, panie — mówił — by moje nogi przeszły przez most Alsiratu, który ponad piekłem do raju prowadzi.“

Gdy przyszła kolej na lewą nową, pobożny brat modlił się temi słowy:

„Zabierz, panie, moje grzechy i wysłuchaj błaganie.“

Wszystko to prawie było mówione wyraźnie, podniesionym głosem, jak przystoi na prawego muzułmanina, który nie wstydzi się przy ludziach złożyć hołd Bogu.

Odmówiwszy to wszystko, wyniósł wiadro z chaty i oblał wodą rośliny rosnące dziko dokoła. Bło-

gosławił przytem każdą z nich osobno i wszystkie razem.

Potem naczepnął świeżej wody ze źródła, przyniósł do chaty, i słomianą matę odwróciwszy, wiadro na nią postawił.

Gość zdjął kaftan, pantofle, a następnie czerwony fez z głowy i rozpoczął wyżej opisaną ceremonią.

Następnie ucałował obie ręce derwisza, a gdy ten ostatni, odpasawszy długi aż do ziemi różaniec, z dziewięćdziesięciu jego ziarenek zaczął słać tylko bozkich przymiotów Allaha, gość powtarzał z przejęciem każdy wyraz.

Doszedłszy do końca, zaśpiewał z nim razem: *La illah il Allah, Mahomet rasul Allah!* przyczem okazał wprawę i biegłość *muezzina*.

Ukończywszy całe to nabożeństwo, gość wyprostował się, urosł w jednej chwili, z twarzy jego znikła pokora, rysy przybrały dumny, imponujący wyraz.

Derwisz padł plackiem na ziemię i wyjąkał:

— O, panie, co rozkażesz słudze swojemu?

Nie myśląc go podnosić, gość zwolna przypasywał szablę.

— Czy ty jesteś derwisz reguły Erdbuharów, o którym braciszek Nimetullahita mówił mi w Janinie?

— Tak, panie.

— Patrz — rzekł, ująwszy w prawą rękę kinżal, a w lewą worek z pieniędzmi — widzisz jedno i drugie. W worku jest tysiąc cekinów, szabla zmażana krwią tysiąca. Nie pytam nawet, czy znasz

mnie i moje nazwisko. Może mnie nawet i znasz, bo wy znacie wszystkich, a w takim razie wiesz chyba i o tém, że kto mnie zdradzi, na tym zemścić się potrafię. Milcz, jeżeli chcesz nagrody, a wydaj mnie, jeżeli chcesz pożegnać się ze światem...

Derwisz do ust rękę przyłożył, na znak że milczyć będzie.

— A więc wstań, weź mego konia i prowadź mnie do pieczary w której mieszka *Dżin*. Przypuszczam, że nie jest ci obcy.

— Znam go, panie, lecz nie pójde, gdyż na mnie się gniewa. Jest on względem derwiszów bardzo źle usposobiony, za to że go chcą zbadać. Gdy przechodzę, kamieniami na mnie rzuca, lub chce zwabić w przepaść. Jeżeli, panie, chcesz tego koniecznie, mogę cię tam zaprowadzić, lecz sam nie pójde, gdybym nawet miał tyle głów ile sztuk złota znajduje się w tym worku, i gdybyś miał je ścinać jedną po drugiej.

— Pozostaniesz na dworze i potrzymasz konia.

To powiedziawszy, starzec wskoczył na siodło, a derwisz ujął cugle i poprowadził go wąską ścieżką między skałami.

Księżyc ukazał się na niebie, gdy stanęli przed jaskinią.

Z tego punktu patrząc, okolica wydaje się bardziej jeszcze dziką i ponurą. Naprzód widać rozpadliny gór, dalej ciemną wstęgę cedrowych lasów, których gęste liście nawet w letniej porze rzucają posępny cień, nie dopuszczając światła, a z obu stron olbrzymie skały, które przy blasku

księżycyca dorastają do nieskończoności. Jaskinia wśród nocy zda się jeszcze czarniejsza, straszniejsze skały, chociaż przy dzienném świetle krajobraz ten również przykre wzbudza uczucie.

Dojechawszy do pieczary *Dżina*, starzec z konia zeskoczył, a upomniawszy derwisza żeby czekał przy wejściu, wszedł śmiało do środka.

Z powodu ciemności mógł się posuwać zaledwie krok za krokiem. Ostrożnie, lecz bez trwogi badał przedtem grunt pod nogami i trzymając jedną rękę nad czołem, w drugiej dzierżył rękojeść szabli. Nielada śmiałek mógłby się z nim mierzyć oko w oko.

Czasem nietoperz syknął mu nad uszami, to znowu trącił dłonią jakieś ciało zimne a ślizkie; cóż go to mogło obchodzić?

Otoczające go milczenie straszniejszém było nad wszelkie wrzaski piekła, on jednak nie znał trwogi i odważył się przerwać tę głuchą ciszę, wołając donośnie:

— Ukaż się, dobry czy zły duchu, wysłany od Ałłaha byś rozmawiał z ludźmi. Ukaż się i przemów!

— Jestem przy tobie — szepnął jakiś głos jak gdyby w próżni.

Starzec szarpnął się z żywością, chcąc ująć ducha. Nie było nic, chwycił tylko powietrze. Był to głos istoty bezcielesnej.

— Mów! — zawołał starzec. — Czy znasz moje losy?

— Znam cię — odpowiedziano. — Jesteś człowiek biedny, bardzo biedny, który roztrwonił wszystko co miał. To zaś co posiadasz, nie jest twoje.

— Glupiec! — mruknął ze złością starzec. — Wracaj do grobu i połóż się spać, ja już nic nie powiem. Nie znasz tego co jest dziś moim udziałem, miałabyś wiedzieć o mojej przyszłości. Idź do jaskini i spocznij.

— Znam cię — mówił duch — to co powiedziałem jest prawdą. — Nazywasz się Ali Tepelenti.

Z najwyższém zdziwieniem obcy rzekł zcicha:

— Tak, to jest moje imię.

— Nie byłeś wczoraj jeszcze zbiegiem na ziemi? Jutro zaś pyłem się staniesz.

— Słusznie mówisz... To *wczoraj* było jednak przed czterdziestu laty. Kiedyż nastąpi *jutro*?

— Wiesz dobrze, iż tu niema ranka ani wieczora, wczorajszym dniem jest dla mnie epoka, w której po raz ostatni widziałem ludzi; jutrem pierwszy, gdy ich ujrzę znowu. Ali Tepelenti, zdobywco Janiny, jesteś biedniejszym od nędzarza, który opasuje się sznurkiem, gdyż straciłeś wszystko, co miało jaką wartość dla ciebie. Bratu, który chciał ci pomagać, odebrałeś życie, kazałeś udusić kochającą matkę; ojczyźnie która cię żywiła wydarłeś wszystko i pozbawiłeś ją praw najświętszych. Sława twoja zamieniła się w przekleństwo a miłość w nienawiść.

— Tak — słusznie mówisz — To są moje dzieła. Niczego jednak nie żałuję. Zając tnie łodygę kwiatka, sokół zabija zająca, strzelec sokoła, lwa

wreszcie, a robaki toczą króla zwierząt. Wszystko jest prochem. Ałlach tak urządził. Czémże ja jestem, powiedz? — Robakiem większym niż inne. Któżby śmiał sprzeczać się z Bogiem?... Jakiż los czeka mnie w przyszłości?

— Wczoraj byłeś młodszym od twego dziecka, które ma przyjść na świat; jutro starszym będziesz niż dawno zmarli przodkowie.

— Mów wyraźniej, gdyż jak nie widzę twój postaci, tak nie rozumiem co chcesz powiedzieć.

— Kto mieczem wojuje, od miecza ginie — powiedział Ałlach. Kto zgrzeszył miłością, od miłości umrzeć winien. Masz dwie ręce: prawą i lewą, dwa miecze, jeden złoty, drugi srebrny i trzysta kobiet w haremie. Lecz z tych trzystu kochasz tylko jedną. A więc słuchaj i strzeż własnego życia. To co ci jest najmilsze, śmierć dla ciebie chowa; zabije cię własna twoja broń, rodzone dzieci, własny majątek, nawet ręce twoje własne.

— Machallach! Śmierci uniknąć trudno... Powiedz mi jednak tylko, czy wjadę do Stambułu zwycięzcą przez bramę seraju?

— Tak, będziesz stał na srebrnym koturnie wśród radosnych okrzyków ludu.

— Kiedyż to będzie?

— Przyjdzie chwila w której znajdziesz się w dwóch miejscach jednocześnie, w Janinie i Stambule. Przyszłość wyjaśni bliżej moje słowa.

— Powiedz mi jeszcze jedno. Cemu wspominałeś kobietę, którą kocham nad życie?

— Bo ona zdradzi cię najpierwsza.

— Przeklęty! — ryknął Ali, wywijając szablą

w kierunku z kąd pochodził głos. Szabla świsnęła tylko przecinając powietrze.

Po chwili duch odezwał się znowu:

— Stało się...

— Ach! to sen! — westchnął Ali.

— Bynajmniej, — odpowiedział tajemniczy duch z pieczary, — ty nie śpisz, Ali Tepelenti.

— Jeżeli to wszystko nie jest snem, daj mi jakiś znak, który, gdy wyjdę ztąd, mógłby mnie przekonać, że wszystko to działa się na jawie.

— Schowaj szablę do pochwy.

— Już schowałem, — rzekł Ali, — kłamiąc jednak, gdyż umieścił ją za pasem.

— Włóż do pochwy, — powtórzył duch.

Ali miał sposobność się przekonać, że tajemnicza istota widzi każde jego poruszenie.

— A teraz rękę mi podaj — odezwał się ktoś tuż, blisko.

Ali rękę wyciągnął i poczuł w tej chwili żelazny uścisk silnej, męskiej dłoni.

— Tak, — szepnął duch, — ani jeden muskuł twojej twarzy nie zadrżał pod moim uściskiem, tylko Ali Tepelenti mógł się na to zdobyć.

— A jeden tylko człowiek ściskać tak potrafi. Jest nim Behram, syn Kalila Patrona, który walczył wraz ze mną przed laty czterdziestu, i straciłem go wtedy... Duchu, kto jesteś, powiedz.

— Aleikum mallach! (bywaj zdrów) zabrzmiał głos zdaleka.

Zamyślony basza zwrócił się ku wyjściu, a przy jasnym świetle księżyca ujrzał na dłoni krew, którą duch wycisnął mu z palców.

E m i n a h.

Wróżki, widziadła, nadziemskie zjawiska!...

Inne promienie słońca, inne kwiatów kielichy,
i serca do tamtych niepodobne.

Patrząc na tę ziemię, widzimy siedlisko bogów
w klasycznym majestacie.

Góry Hellady, to ojczyzna nieśmiertelnych bohaterów. Tam jedna, z której szczytów gronowładny Jowisz rzucał błyskawice, dalej krzak, którego różane ciernie drasnęły nieraz delikatną nóżkę bogini piękności, a laur, zaczarowana nimfa, kochanka Apolla, stał się już wielkim lasem.

Teraz jeszcze, jak niegdyś, śnieżne korony wierzchołków Oety i Ossy połyskują o zachodzie słońca jak niegdyś, z gór płyną błyskawice, choć ich nie rzuca Jowisz lecz Ali Tepelenti, basza Albanii, pan połowy tureckiego mocarstwa. Róża krwią Afrodyty zabarwiona, dla niego tylko odchyła pączki, laur ukochanie Apollina, dla niego z wiosną w świeżą zieloność się stroi.

Wśród cichych parowów nie ujrzy dziś wieszcz ani śladu bożka. Z długą strzelbą zawieszoną przez ramię idzie grek, który gdzieś w ukryciu postawił sobie chatę, by jój nie znalazł groźny Ali. Stare kolumny leżą w gruzach, a potomkowie Leonidasa budują chatki tam, gdzie ich nie dojrzy ludzkie oko.

Ze szczytów gór widzisz cudownie piękne miasto, które panuje nad Albanią. To Janina.

Tuż obok jezioro, w którego zwierciadle miasto

załotnie się przegląda, podwójnie się wydając tak głębokiem, jak wysoko wznoszą się jego wieże.

Złote półksiężycy minaretów jaśnieją na niebie i w zielonej fali jeziora, a czerwone baszty i ośm wieżyc otaczają miasto grubym łańcuchem.

Opuśćmy jednak miasto z wspaniałym wieńcem minaretów i kiosków, a idźmy dalej z prądem rzeki płynącej srebrną kaskadą z lesistych wzgórz. Tam nad tą rzeką stoi dumna forteca Alego Tepe-lenti z potężnymi basztami i sznurem ciężkich zwozdzonych mostów.

W rowach fortecznych tkwią ostro zakończone dębowe pale, po nad którymi na dwa sążnie lub więcej wznosi się woda, wałów zaś strzegą otwarte paszcze stu armat, stu brytanów ze spiżu, których szczekanie zdolne wstrząsnąć ziemią.

Na murach czuwa nieustannie zbrojna warta, z bram i okien przeciwnie patrzą na siebie działa; biada niewiernym, którzyby chcieli wtargnąć tu przemocą.

Na dziedzińcu znajdują się całe stosy oblężniczych narzędzi przeróżnego gatunku, a w koszarach liczne oddziały wojsk.

Naprzeciw koszar, zbudowanych w kształcie półkola, stoi długi pawilon, który fortecę rozdziela na dwie równe części. Tenże pawilon ma trzy bramy, przez które dostać się można do środka miasta.

Od strony dziedzińca długi ten budynek nie posiada wcale okien, tylko dwoma rzędami znaczą się ambrazury, lecz nie brak ich zato od ogrodu, bo tam mieszkają odaliski trzech synów baszy.

W pawilonie o trzech bramach są apartamenty

Omara, Alumhana i Zaida, dalej zaś piękny ogród, w którym mieszkanki haremu spędzają znaczną część swego życia.

Oszańcowany wał zamyka ogród, tuż za wałem ciągnie się rów napełniony wodą, a na nim żelazny most, który prowadzi do środka fortecy.

Co tam się ukrywa za mostem? I któżby mógł wiedzieć.

Metalowa brama, zdobna w srebrzyste arabeski, jest wiecznie zamknięta. Nikt nie przestąpił jej progów tylko Ali, czarni jego słudzy, lub więźniowie, którym tam ścinano głowy.

Baszta jest wysoka, z dachów fortecznych wypatrzeć niepodobna co się tam po za nią dzieje; lecz ktoby chciał sięgnąć wzrokiem ze szczytu gór, ujrzałby czarowny zamek lśniący od sreber i marmurów, z kopułami na których jaśnieją złote półksiężycy. Najszersza wieża ma dach z czerwonej blachy, czém się z pomiędzy innych wyróżnia, to też widać ją ze znacznej odległości.

Barwne kioski giną w powodzi kwiatów, przez całą długość baszty ciągną się altany porośnięte bluszczem i winem, szemrzą wodotryski ku ochłodzie pięknych kobiet, których widokiem nasycać się możesz dowoli, aż ręka siepaczów baszy strąci cię w przepaść.

W tém ustroniu kryje się raj Alego Tepelenti. Basza zgromadził w nim najpiękniejsze kwiaty obu półkuli: cudną dziatwę Flory i jeszcze cudniejsze odaliski. Alboż kobieta nie jest także kwiatem?

Najwspanialszym ze wszystkich jest Eminah, szesnastoletnie dziewczę, córka baszy z Delvino.

Dla czego młodziutkie to stworzenie zostało żoną Alego Tepelenti? Starym zwyczajem przyjętym u Turków znaczniejszych rodzin, zaręczono ją gdy na świat przyszła; zanim dojrzała, pan młody zaczął ósmy krzyżyk.

Blada, z oczyma jak bławatki, tak biała jak gdyby wyhodował ją blask księżyca, a delikatna niby wróżka z bajki, co bez skrzydeł unosi się w powietrzu, nie dotykając ziemi.

Głos ma słodki i czysty, co więcj, posiada sztukę nieznaną odaliskom: gdy zacznie mówić, przekonana i rozczuli każdego.

Jasnemi jój sploty chętnie bawi się starzec, rozwija srebrne pierścienie, płacze, rozkłada i marzy o raj.

Dziecko małżonka swego kocha. Ali jest pięknym starcem. Brodę ma białą jak pióro łabędzia, na jego licach róże kwitną, a gdy do uśmiechu otworzy usta, widzisz zęby równe i białe, któremi tygrys mógłby się poszczycić.

Jest on przytém waleczny i dzielny, miłość Alego nie ma charakteru tęsknej czułości staruszka, lecz posiada cechy namiętności młodzieńczej.

Eminah nie wie czy są na świecie mężczyźni młodszy i piękniejsi, nie widziała z nich żadnego prócz męża i ojca, i sądzi, że każdy ma piękną siwą brodę, srebrne brwi i rzęsy jak oni.

O ideałach, przedmiocie marzeń wszystkich dziewcząt, nie ma ona pojęcia, w mężu swoim widzi doskonałość, uważa go prawie za nadziemską istotę.

Ali jest w jój oczach dobroczynnym duchem

z bajki, jedną z tych opiekuńczych istot, które występują nagle z pod ziemi lub wynurzają się z fali morskiej, sto razy wzrostem przechodząc zwykłych śmiertelników, dziesięć razy przynajmniej starsi i mocniejsi, rozdają talizmany szczęścia.

Na jedno jój skinienie cała ta forteca z basztą i szanćcami może przepaść bez śladu i zrównać się z ziemią, a przecież oboje chodzą ostrożnie, by nie ukrzywdzić mrówek spotykanych na drodze; raz nawet Ali skąpał się w stawie do pasa, by uratować dwa motylki.

On ma tak czułe serce!...

Gdy zerwie kwiatek, do ust go przyciska, a opowiadając jak w czasie oblężenia Kilsury spaliły się wszystkie gołąbki, biedak miał łzy w oczach.

Eminah nie wie co znaczy oblężenie miasta, ona płacze nad stratą gołębi. Biedne ptaszki całami stadami unosiły się nad czarnym dymem i wpadały w ogień.

I jakże się to stało!

Oblegał on Kilsurę, Ali nie mógł jój zdobyć, gdyż dzielność obrońców w połączeniu z doskonałą pozycją, utrudniała przystęp do murów. Wówczas kazał oznajmić, iż zawiera pokój i oddali się z woj-
skiem, trzeba tylko, by na znak zgody przysłano mu stadko białych gołębi.

Mieszkańcy propozycję przyjęli, i wyłapawszy masę gołębi, przysłali je baszy. Tepelenti kazał natychmiast usunąć wszelkie narzędzia oblężnicze, któremi i tak nie mógł nic poradzić, a w nocy, gdy wszyscy już spali, na długich drutach płonące lon-

ty do nóg gołębiom pozakładawszy, puścił je na miasto.

Instynktem wiedzione ptaki, frunęły na dachy swoich domostw, nie ubiegła chwila, całe miasto było olbrzymim słupem ognistym. Gołębie roznosiły iskry od domu do domu; kto nie zginął w płomieniach, tego zabito, a nieszczęśliwe ptaki spaliły się na węgiel.

Opowiadając żonie smutną historję gołąbków z Kilsury, Ali płakał. On ma tak czule serce.

Młoda kobieta posiada wszystko o czém zamarzy. Piękne weneckie zwierciadła, wspaniałe kobierce, mnóstwo przepysznych kwiatów, wesołych ptasząt śpiewających na wyścigi od wschodu słońca, sto służebnic spełniających każde jęj żądanie, od rana do nocy zabawę, rozrywki i tańce, a z każdym dniem nową przyjemność, świeżą niespodziankę. Trzydzieści komnat ciągnie się długim szeregiem, jedna od drugiej wspanialsza; zanim oko nasyć się przepychem pierwszej, w następnej widzi nowe cuda, dalej znowu o tamtych zapomniawszy, spostrzega się rzeczy coraz piękniejsze, a tak oryginalne w swoim rodzaju, że skończywszy przegląd tej prawdziwie królewskiej siedziby, radziłyśmy go rozpocząć jeszcze.

Jedno tylko nie przypadło do gustu pięknej żonie baszy, to że za trzydziestym pokojem krył się trzydziesty pierwszy, szczelnie zamknięty, którego progów przekroczyć jęj nie było wolno. Te drzwi ciężkie, miedziane, wiodły do wysokiej wieży, której czerwony dach odznaczał się zdaleka.

Eminah bardzo radaby wiedzieć, co tam jest za

temi drzwiami, których przestąpić jęj wzbroniono, a które Ali zamyka tak pilnie i klucz na srebrnym sznurku nosi zawsze na szyi. Zapytywała tęż nieraz, co tam znajduje się w wieży, czegoby ona nie mogła zobaczyć, i co Ali robi tam przez całe noce.

Tepelenti zwykł jęj tłómaczyć, że miewa schadzki z duchami, które go uczą jakim sposobem kamień mądrości wynaleść, zyskać wieczną młodość, zgadywać przyszłość, robić złoto, i inne tym podobne cudowności, o których trudno rozpowiadać dziecku, zwłaszcza gdy ono nie wie nawet o tém, iż nie wszyscy mężczyźni mają siwą brodę.

Pozostawiona samęj sobie, piękna turczynka marzyła potém o duchach zielonych i niebieskich, ukazujących się Alemu w wodzie, ogniu i obłokach, aby go nauczyć jak ma robić złoto.

Obawiała się niewymownie, że duchy mogą go kiedykolwiek życia pozbawić.

Słowa starca nie były pustym dźwiękiem, to pewna. Zaraz nazajutrz eunuchowie nieśli za panem ciężkie kosze pełne złota i drogich kamieni.

Tak, Ali posiadał cudowną sztukę, robił złoto, które w jego rękach przybierało zaraz formę kurujących w kraju monet i filigranowych cacek.

Eminah zachwycała się tym praktycznym wynalazkiem. Mąż jęj był prawdziwym czarodziejem; nie dość że robił złoto z niczego, wykuwał na poczekaniu wspaniałe kolje i naramnice.

Słyszając o czémś podobném, każdy zechciałby przypatrzeć się bliżęj i poznać te cuda; łatwo tęż pojąć co się działo w umyśle kobiety ciekawęj,

rozpieszczonój, którój sam widok wspaniałych podarunków, jakiemi ją obsypywał Ali, często zasnąć nie pozwalał.

Jakżeby rada poznać ducha, który jest przyczyną tylu niespodzianek.

Prosiła już kilkakrotnie, żeby ją Ali do wieży zaprowadził, lecz basza straszył biedaczkę, że duchy obcych nie lubią, a każdą kobietę zabijają bez miłosierdzia.

Przerażona myśli swojej się wyrzekła, lecz ciekawość dręczyć ję nie przestawała.

Co kobieta raz postanowi, spełnić to musi, chociażby nawet wszyscy szatani z piekła chcieli ję przeszkadzać. Strach jest wielki, ciekawość jednak silniejsza.

Pewnego wieczora odprowadziwszy męża do miedzianych drzwi, rozmyślnie upuściła kamyczek tuż za progiem, Ali obrócił klucz w zamku, lecz drzwi się nie zamknęły: kamyczek dobrze się sprawił.

Gdy odgłos jego kroków przycichł w oddaleniu, Eminah uchyliła drzwi z pośpiechem. Najprzód trochę, potem szerzej nieco, nareszcie nic podejrzanego nie widząc, weszła, oglądając się jednak wkoło siebie, czy nie ujrzy którego z zagniewanych duchów.

Przebywszy długi korytarz, udała się na schody tak kręte i ciemne, że tylko ścian się czepiając postępować dalej mogła. Zgubna ciekawość ją krzepiła, nie pozwalając się cofać; pomimo ciemności szła dalej odważnie po schodach, aż dostała się do

wielkiej jakiejś sali, słabo oświetlonej jedną lampą zawieszoną w pośrodku.

Dokoła téj sali pod ścianami stały marmurowe wazy, wiadra do wody i różne naczynia z żelaza, skóry i drzewa, które w tajemniczym półcieniu olbrzymie, fantastyczne przybierały kształty.

— To są pewno narzędzia, któremi Ali robi złoto — pomyślała Eminah. — I ujrzawszy tuż nad schodami niewielką niszę, schroniła się tam cichutko, bez szelestu, aby zobaczyć wszystko a nie być widzianą.

Po chwili drzwi się otwarły i ukazał się Ali. Tuż za nim z pochodniami weszło dwunastu eunuchów.

Sala zapłonęła rzęsiśtém światłem, eunuchowie ustawili pochodnie, jeden rozniecił ogień i ustawiał różne instrumenty, drugi lał jakiś płyn do naczynia, podczas gdy Ali wygodnie się rozsiadłszy na niskiem krzeselku, stłumionym głosem rozkazy wydawał.

Zobaczymy zaraz jakim sposobem Ali robił złoto.

Na dany znak wyszli eunuchowie, a po małej chwili rozległ się przejmujący szcęk łańcuchów. Drzwi się otwarły i weszli dwaj starcy z długim włosiem, gładką twarzą, w stroju jakiego Eminah nie widziała nigdy w życiu.

— Ach! to są pewno duchy, które go uczą robić złoto. Dobrze, iż mają kajdany na rękach i nogach; mogę być pewną, że mnie nie zabiją.

I ze swojej kryjówki przyglądała się strasznym cieniom. Nieznajomi stanęli przed obliczem Alego,

który zacierając dłonie powstał z krzesła, przez chwilę jednak nic nie mówił, lecz tylko się uśmiechał.

Potém jednego ze starców pogłaskał po twarzy, mówiąc:

— Szanowny handlarzu z Neapolu, czy nie wiesz naprawdę gdzie są twoje pieniądze?

Gdy to mówił, głos jego brzmiał łagodną, niemal pieśzczotliwą nutą.

— Panie! — zawołał obcy z uniesieniem rozpaczy. — Oddałem ci wszystko, zrobiłeś mnie nędzarzem.

— Jak możesz coś podobnego mówić? Przypomnij sobie dobrze. Wiozłeś towary z Indyi do Tulonu i sprzedałeś wszystko. Gdym cię z powrotem spotkał, ofiarowałeś mi sto dublonów, które przyjąłem. Ale gdzież jest reszta? Widzę z ksiązek, że powinno być dwanaście tysięcy.

— Księgi są fałszowane — płaczliwym tonem tłumaczył się kupiec. — Wynotowałem tam różne towary, chcąc podtrzymać kredyt.

— Człowieku! człowieku! spotwarzasz sam siebie. Chcesz we mnie wmówić, że jesteś oszustem. Ja na to się nie zgadzam. Pozwolisz, przyjacielu, że dopomogę twojej pamięci.

To powiedziawszy dał znak eunuchom, którzy rozebrali kupca i wzięwszy go na tortury męczyli przez dwie godziny blisko.

Niepodobna opisać co wyrabiali z tym człowiekiem.

Eminah żałowała swęj ciekawości. Zmuszona patrzeć na takie okrucieństwa, zasłaniała oczy, ję-

ki nieszczęśliwego przenikały jęj duszę; drżała jak w febrze, na miejscu ustać nie mogąc.

Nareszcie ogarnęło ją dziwne osłupienie; nic już nie czuła, przestała drzeć, i otworzywszy oczy, patrzyła spokojnie na dalszy przebieg tortur.

Ali wydawał się obeznany dokładnie z każdym z tych przyrządów. Sam wskazywał rodzaj instrumentu jaki stopniowo użyć należy: szruby, hiszpańskie buty, gorący olej, aż nareszcie chwycono się ostatniego środka. Obwinawszy kupca w skórę wołową, położono na ogniu. Gdy surowa skóra zaczęła się ściągać i ścisnąć członki ofiary mocniej, coraz mocniej, gdy męki doszły do najwyższego stopnia, kupiec wyznał, że skarby znajdują się w skrzyni przymocowanej łańcuchami na spodzie okrętu.

Rozwinięto skórę; złamany, z pianą na ustach i krwią na całym ciele, padł kupiec na chłodny marmur posadzki.

— No, widzisz, mój kochany — tłumaczył Ali słodko — czemu nie oszczędziłeś tych kłopotów zarówno mnie jak sobie.

I skinął na ludzi, żeby usunęli kupca.

Tak Ali robi złoto.

Istotnie, łatwy to rodzaj alchemii.

Przyszła kolój na drugiego.

Był to dumny starzec o wyniosłym czole; potrafił on patrzeć na męki towarzysza nie drgnawszy ni razu.

— No jakże, dzielny zuchu, nie powiesz mi jak się nazywasz? — łagodnie spytał Ali.

— Powiedz raczój twoje imię: dyabeł, szatan, syn Beliala.

— Dziękuję ci, kochanie. Zbyt jesteś łaskaw. Wolałbym raczój usłyszeć twoje nazwisko. Jesteś pewno bogaty szlachcic wenecki, rodzina pragnie o ciebie się dowiedzieć, i wdzięczną byłaby, gdyby ją kto uwiadomił... Dużo po tobie się spodziewam.

— A więc słuchaj. Jestem bogaty szlachcic, posiadam skarby i pałace; lecz ty nie dostaniesz z nich szeląga, gdyż połknąłem truciznę. Czy widzisz te ciemne plamy na rękach? wystąpią one na twarz za chwilę. W pięć minut skończy się wszystko.

Dotrzymał słowa. Zmarł niebawem. Ali pieniał się ze złości i przeklinał proroka.

Młoda kobieta patrzyła prosto na twarz męża. Jakie myśli przychodziły jój do głowy?

Wyniesiono trupa.

Ali skinął na siepaczy. Jednemi drzwiami wprowadzili cudnej piękności dziewczę, drugiemu wszedł po chwili wysoki, silnie zbudowany młodzian. Gdy spojrzeli po sobie, łzy trysnęły z ich oczu. Kochali się. Była to dobrana para.

Zdumiona młoda kobieta dowiedziała się po raz pierwszy, że nie każdy mężczyzna ma siwą brodę. Wzrok jój rozkoszował się widokiem pięknej twarzy o szlachetnych, regularnych rysach; nic podobnego nie widziała dotychczas. Ali zbliżył się do pięknej pary ze słodkim uśmiechem na ustach.

— Bądź przeklęty! — zawołali oboje razem.

Temi słowy odpowiadali później na wszystkie pytania.

Gdy Ali szepnął czule:

— Wyrzeknij się narzeczonej, a daruję ci życie.

— Bądź przeklęty! — brzmiała odpowiedź.

Potém zwrócił się do dziewczyny.

— Kochaj mnie, bądź moją. Pozwolę mu żyć.

— Bądź przeklęty! — rzekła dziewczyna.

Sama nie wiedząc co mówi, Eminah szeptała za każdym razem:

— Bądź przeklęty!

Porwano młodzieńca; ukląkł, eunuchowie zdarli z niego wierzchnią szatę. Jeden ujął krucze zwoje pięknych włosów i trzymał je wysoko po nad głową, drugi stanął opodal z ciężkim, ostrym mieczem.

— Twój kochanek umrze w tym momencie — krzyknął z gniewem Ali. — Możesz go uratować, jeszcze czas. Uściskaj mnie, albo za chwilę ujrzysz trupa.

Młodzi powtórzyli z mocą:

— Bądź przeklęty!

Przysięgli sobie nie mówić nic więcej.

Miecz błysnął w powietrzu, piękna głowa spadła z łoskotem i potoczyła się ku wejściu aż do niszy, w której Eminah zapłakana i drżąca przeklinała swą ciekawość.

Martwy kadłub przewrócił się w tejże samej chwili z wyciągniętą prawicą, którą narzeczona uścisnęła po raz ostatni, a głowa zdawała się szepać i przeklinać, usta poruszały się jeszcze.

Pochyliwszy się całym ciałem, Eminah przyłożyła ucho do ust trupa.

— Słyszę co mówisz — rzekła z przekonaniem.

Zdawało jój się że słyszy. Może to tylko mówiło własne jój serce.

To powiedziawszy owinęła głowę swoim szalem i wybiegła z wieży, a dostawszy się do sypialni, straszną swą zdobycz ukryła pod sofą. Potem zwoławszy odaliski, kazała im tańczyć i śpiewać; gdy zawitał ranek bawiono się jeszcze.

Rankiem już Ali z czerwonej wieży powrócił. Uśmiechał się jak zwykle; a służba przydźwigała znowu ogromny kosz złota i klejnotów, które kazał złożyć u stóp Eminach.

Uradowana widokiem tych skarbów piękna turczynka, rzuciła się mężowi na szyję i posadziła na sofie przy swym boku.

— To są dary dobroczynnych duchów—szepcze Tepelenti.—Lecz — dodaje po chwili — miałem dziś szczególny wypadek. Brylant upadł mi na ziemię i pomimo najściślejszych poszukiwań, nie mogliśmy go znaleźć.

— Z pewnością zabrał go Dżin — żartuje Eminach.

Ali spojrzał uważnie w modre oczy żony i zdawało mu się, że może być zupełnie spokojnym, czytając w nich jak w otwartej księdze. Gdyby mógł przeniknąć jój duszę.

W tejże chwili wszedł Kadun Kiet-Khuda, dozorca, prowadząc dziewczynę osłoniętą gęstym welonem.

— Pani — rzekł składając niski ukłon — to dziewczę zwabione rozgłosem twój dobroci, pragnie tobie służyć.

Zdjął welon, Eminah poznała greczynkę, której narzeczonego Ali ściąć kazał téj nocy.

— Czyż nie widzisz Kadun Kied-Khuda — rzekła wpółżartem — ona drży, a gdy jéj nie podtrzymasz, upaść gotowa.

— Dziewczyna jest bardzo nieśmiała...

— Tak blada przytem, może chora.

Cień twej piękności padł na nią, o panil...

— Ależ ona płacze!

— To są łzy radości.

Za dowcipną odpowiedź, Eminah rzuciła dozorecy garść złota i zatrzymała dziewczynę.

Potem kazała przynieść nargyle, owoce i ciastka, a złożywszy na kolanach siwą głowę baszy, zaczęła śpiewać arabskie pieśni, pełne poetycznych zwrotek, przygrywając na mandolinie smętnemi akordy.

Pod osłoną jedwabnych warkoczy „w cieniach raj” upojony śpiewem i nargylem, basza zasnął głęboko.

Wówczas młoda kobieta kazała wyjść służebnym, zatrzymując tylko greczynkę. Usadziwszy ją na niskiem krzeselku, podała wachlarz, którym należało chłodzić twarz śpiącego baszy.

— Jak się nazywasz? — rzekła.

Dziewczyna poruszyła głowę przecząco, nie chciała mówić.

— Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

— Mam jeszcze jedną siostrę...

Eminah rozumiała co to znaczy.

— Chodź bliżej — rzekła słodko — opowiem ci sen, jaki miałam dziś w nocy. Znajdowałam się

w wieży, w której płonęło dwanaście pochodni. Strach mnie ogarnął; gdzie spojrzę spotykam niezwykajne, okropne jakieś przedmioty, a chociaż było tam tyle światła, ja ginęłam w ciemnościach, które wydały mi się nie mgłą lub dymem, lecz zbitą masą szarych, ludzkich postaci, połyskujących krwawemi oczyma. Potem ukazał mi się Ali basza na czerwonym, aksamitnym krześle, z łapami jak tygrys, a gdy siadając składał nogi, widziałam wyraźnie, że były to także łapy tygrysie, tylko całe pokryte warstwą złota. Potem ujrzałam rzeczy straszne, tak straszne, że na samo wspomnienie w głowie czuję zamęt; nareszcie zjawili się dwoje młodych ludzi, którzy powtarzali ciągle te słowa:

— Bądź przeklęty! — bądź przeklęty!

— Ali basza mówił: kochaj mnie, dziewczyna rzekła: — bądź przeklęty! — i oto głowa młodzieńca potoczyła się aż do mych stóp, kroplą krwi znacząc biały atłas mego pantofla. Co za dziwne zjawisko, wszak to był sen, a plama znajduje się do téj pory. Patrz, czy to krew; czy też tylko moje przywidzenie?

To mówiąc, Eminach wysunęła drobną nóżkę, ukrytą w długich fałdach białej szaty.

Dziewczyna padła na ziemię u stóp swojej pani. Całowała krew ukochanego.

— Widzisz, ta krew pali mnie jak ogień, a cóż dopiero dzieje się z duszą mordercy!

Odgarnawszy jasne pierścienie swoich włosów z twarzy spiącego, przyglądała mu się z obrzydzeniem.

Ali spał spokojnie snem sprawiedliwych.

Siedmdziesiąt ośm lat życia przeżył ten człowiek w szczęściu, tryumfach i miłości. Krew którą wylał i przekleństwa unoszące się nad jego głową nie są zdolne wywołać zmarszczki na czoło, zachmurzyć lica, zburzyć pogodę snów. I teraz oto zasnął spokojnie obok swjej ofiary z głową na poduszce, pod którą leży głowa młodego greka. Pochyliwszy się nad Alim, Eminach odsłoniła kaftan na jego piersi, falującej miarowym oddechem.

— Tam na stole znajduje się nóż — rzekła do greczynki. — Przynieś mi go natychmiast.

Dziewczyna spełniła rozkaz; z nożem w zaciśniętej dłoni przysunęła się do baszy, gotowa pchnąć go w serce.

— Nie, nie! — rzekła Eminah. — Pocóż przecinać jego życie, gdy idzie nam tylko o sznur na którym nosi klucz od wieży.

— Ciesz się — rzekła po chwili. — Ten klucz utoruje nam drogę. Gdy wrzucano ciało, słyszałam plusk wody jaknajwyraźniej. Jestem pewna, że i z owjej fatalnej wieży tortur, można się spuścić na jezioro. Nie brak tam sznurów, obie umiemy pływać... Ty umiesz, wiem na pewno, wszak jesteś córką hydrioty *).

Dopłynąwszy w góry, uciekniemy dalej przez las. Dokąd? wszystko mi jedno, wolę iść pomiędzy wilki i niedźwiedzie niż zostać z tym człowiekiem. — Pierś greckiej dziewczyny nabrzmiała ra-

*) Sekta, która powstała w owym czasie u Greków.

dością. Ze łzami w oczach całowała białe ramiona swojej pani.

— Będę wolną—szepnęła wśród łkań.—Przedewszystkiem pomyślała o wolności.

— Nikt nas nie zobaczy —rzekła Eminach zdejmując z siebie złoto, którem się brzydziła teraz, wiedząc z kąd pochodzi. Dziś jest ostatnia noc święta Bejramu, każdy wynagradza sobie umartwienia i posty, jedni śpią, drudzy się bawią. Znaczna część załogi zebrała się u beja Muhtar, zaprosił i synów Alego. Uciekajmy, cały świat otwarty dla nas.

Dziewczę ścisnęło drobną rękę swój pani.

— Pójdziemy razem. Mój brat mieszka pod Koryntem, to dzielny wojak, on nas obroni.

— Ty pójdiesz sama, ja wrócę do Stambułu, gdzie mam krewnych. A teraz biegnij do pokoju odalisek i zażądaj pochodni. Mój plan jest gotów. Gdy w haremie wszyscy spać się położą, ty z pochodnią przyjdź tutaj do mnie. Kadun Kiet-Khuda śpi tylko jednem okiem, bądź więc ostrożna... Gdy zapyta dokąd spieszysz, pokaż mu chustkę Alego.

Rumieńce oblały twarz greczyнки; nawet jako nieuniknione kłamstwo, myśl ta wydawała jój się potworną.

Zostawszy samą Eminach, wyjęła z pod sofy głowę nieboszczyka, a postawiwszy ją na stole, wpatrywała się długo w spuszczone powieki i napół otwarte usta pięknego młodzieńca. Czarne łoki spadały na stolik.

Eminach gładziła włosy, powiodła delikatnemi

palcami po równych, szlachetnych rysach twarzy greka, lodowate zimno nie przerażało ją ani trochę. Spędziła parę godzin w towarzystwie trupiej głowy pod bokiem Alego, który jaknajspokojniej zasypiał. Niewiadoma całej grozy swego położenia, nie domyślała się nawet na co się naraża opuszczając tyrana i uwalniając greczynkę.

Dziewczyna powróciła nareszcie. Szła cicho nikogo nie spotkawszy, tak cicho, że Eminah wówczas dopiero spostrzegła jej obecność, gdy na widok drogich rysów, głuchy jęk wyrwał się z piersi narzeczonej.

Jęk trwał sekundę nie więcej; siłą woli stłumiła go biedna. Kogo jej krzyk obudził, ten zasnął natychmiast, sądząc, że marzył.

Milcząc, pochyliła się nad głową narzeczonego, łzy jak grad ciężkie płynęły z jej oczu, lecz zaciśnięte usta nie poruszyły się nawet.

Eminah nagliła o pośpiech.

Greczynka łzy otarła, i ująwszy głowę postawiła ją przed śpiącym na stole. Potem ucięła pukiel włosów i ucałowawszy zimne oczy z namiętném uniesieniem, chwyciła pochodnię i poszła za towarzyszką przez długi szereg komnat. Po kilku minutach dostały się do wieży. Była pustą, ślady krwi już usunięto, nic nie przypominało strasznych scen ostatniej nocy.

Otworzyły spuszczone drzwi, przez które zwłoki ofiar wyrzucono w wodę. Na dnie ciemnej przepaści szumiało jezioro. Bez wątpienia w tej chwili sroży się nawałnica. Zanim uciekną, jakże trudną stoczyć będą musiały walkę. W tém ciasnym wy-

ściu pod ziemią może spotkają jeszcze trupa, który świeżo się tam dostał.

Czyli z téj otchłani można raz jeszcze zobaczyć słońce?... A gdyby umrzeć tam przyszło.. tak: lepiej zginąć niżli wrócić w objęcia baszy. Obydwie kobiety wstrząsnęły się z odrazą; jedna go nienawidzi, druga zaś kochała go wczoraj jeszcze.

— Nie bójmy się — rzekły sobie — i wzięwszy pochodnię, sznurem od tortur spuściły ją w głębie. Gdy woda zgasiła światło, przymocowały drugą linę na zawiasach ciężkich drzwi wieżowych i zaczęły spuszczać się na dół.

Zginą razem lub zaczną nowe życie. Ali basza traci dwa talizmany, których strzedz był powinien: ducha błogosławieństwa i klątwy. Gdy ujął obydwóch, należało ich trzymać, bo oto uciekają razem.

W chwili, gdy młode kobiety zniknęły w jeziorze, sen Alego zwykle równy i spokojny strasznym się stawał.

Było to dla niego uczucie zupełnie nowe, nieznane do téj pory. On, który dotąd trwogi nie uczuł nawet we śnie, doznał wrażenia stokroć gorszego od choroby: zaczął się lękać; śnił, że głowa młodego greka, której w wieży napróżno szukano, stoi przed nim na stole, i patrząc szklannemi oczyma powtarza jego imię:

— Ali basza! Ali basza!

Zimny dreszcz przebiegł ciało śpiącego.

— Ali basza! — usłyszał po raz trzeci.

Zmęczony, na drugą stronę się przewrócił. Głowa zsunęła się z poduszek, a krew napływająca

do mózgu budziła w nim sny złowrogie, okropne.

— Raz! dwa! — mówiły martwe usta. — Zrozumiał Ali, że dwa lata dzieli go od śmierci. Patrz — szeptała dalej głowa — nie mam rąk, ani nóg. Ali zmuszony był spojrzeć czyli tak jest istotnie.

— Widzisz, oto stoją obok ciebie dwie głowy odcięte od kadłuba. Czy będziesz śmiać spojrzeć mi w oczy? Dwie ludzkie postacie klękają przed tronem Najwyższego. Po czémże rozpozna cię Pan, gdy każda z dusz ma białą szatę?... Z ręką na sercu zaparłeś się własnego imienia. Ty jesteś Ali! Krwawe ślady twych palców splamiły białą szatę.

Z głuchym jękiem Ali rękę do serca przyłożył.

Głowa nie ruszyła się z miejsca, a blade jej usta mówiły dalej:

— Słuchaj Tepelenti: Mene, mene, tekiel, ufar-sin! Dłoń wszechmocna, która rządzi światem, osądziła twe postęпки. Nie bohaterem, którego cały świat podziwia, lecz zbrodniarzem jesteś, którego przeklinają wszyscy. Ci których kochałeś, błogosławić będą dzień twojej śmierci, a nieprzyjaciele obleją go łzami. Bóg pozwoli, że ty sam własną ręką zatracisz swój ród.

Powtarzając niewyraźnie oderwane dźwięki, Ali z boku na bok się przewracał, a powstać nie miał siły, ciężar grzechów świata całego spoczął na jego piersiach. Zadrżała pod nim ziemia, niebo ciemne bez słońca zapadło nad głową. Ali drżał wobec śmierci.

— Czy widzisz? — mówiła głowa — dwa pta-

ki wyfrunęły z zamku: śnieżny gołąbek i czarny kruk. Gołąbek to spokój, który na zawsze uleciał z twych progów, a kruk to zemsta. Gołąbkiem jest twoja kochanka, krukiem czarna greczynka, którą usidlić chciałeś, narzeczona trupa. Tepelenti strzeż się tych dwóch kobiet.

Przerażony i drżący Tepelenti powiódł dokoła błędnym wzrokiem, sprawy sobie zdać nie mogąc czy śni w dalszym ciągu, czyli też spotyka się z rzeczywistością.

Zdawało mu się, że słyszy jeszcze straszne słowa potępienia; mimowoli przyłożył rękę do serca, jak gdyby ślady krwi chciał zasłonić. Dłoń jego dotknęła sznura, był odcięty, bez klucza, to wróciło mu przytomność. Schwyciwszy miecz, rzucił się ku wieży.

Miedziane drzwi stawily opór. Uciekając Eminal zamknęła je, a klucz rzuciła w wodę, by zyskać na czasie.

Miotany wściekłym gniewem, Ali przebiegł długi szereg komnat.

Zbudzone odgłosem jego kroków, ujrawszy gniewne oblicze swego pana odaliski, ukryły twarze w poduszkach. U drzwi wsparci na lancach, niby posągi, stali dozorczy.

Ali wpadł do ogrodu, przebiegł dobrze znane ścieżki i nie zatrzymał się aż pod bramą. Tu ujrzał ze zgrozą, że most łączący zamek z mieszkaniem jego synów spuszczoney został. Co się stało z ludźmi, którzy go strzegli dniem i nocą? Dowiedziawszy się że Ali zasnął, żołnierze chcąc użyć święta

przyjęli zaproszenie sług Muhtara beja, który wydawał świetną ucztę na cześć Velya i Solimana.

W towarzystwie wesołym czas żołnierzom biegł wesoło; grano, śpiewano, nie gardząc napojem wyklętym przez proroka; w kuchniach zaś służba wyprawiała szaloną orgią wśród dzikich krzyków pijanej hołoty. Bramy zamku były otwarte, nikt o nich nie myślał, odurzeni winem żołnierze padali po kątach jak muchy o bożym świetle nie wiedząc. Nieprzyjaciół mógłby bezkarnie wkroczyć do miasta.

Chłodne powietrze oddziaływało na wzburzony umysł starca. Tepelenti uspokoił się i równowagę odzyskał. Cicho, skradając się, kroki swe skierował w stronę pałacu Muhtara beja.

Raj wyznawców Proroka.

Wystawiwszy piękny zamek w Janinie, Ali był tyle mądrym, że po skończeniu wielkiego dzieła, budowniczego cichutko z drogi usunął. Tym sposobem on tylko jeden znał tajemnice zamku. Sekretne wejścia, kryjówki, forty na pozór odosobnione, łączące się pod ziemią mnóstwem korytarzy, przez które wszędzie i wzdłuż niespodzianie przejść było można, słowem labirynt wielce niebezpieczny dla wrogów Alego baszy.

W pałacu trzech bejów zarówno na dole jak i na piętrze wił się korytarz, przez który dokoła

obejść go można, lecz nikt z mieszkańców o korytarzu tym nie wiedział. Było to wszakże przejście wśród grubych murów między oknami, ztamtąd zaś za zwierciadłem, pod podłogą lub oknem, prawie do każdej komnaty wiodły tajemne drzwiczki bez zamków i klamek, na skrytych zawiasach, tak szczelnie przystające do ściany, iż najbaczniejsze oko nie zdołałoby ich wypatrzyć.

Ali Basza stoi w bogatej sali, wspaniałej uczcie się przygląda, niewidzialny jak duch. Wsparty o marmurową kolumnę umieścił się tuż pod czarną tablicą, na której słowa proroka jaśnieją złotymi zgłoski. Jest spokojny, że nikt go nie ujrzy. Biesiadnicy nie zwracają się w stronę Kaaby, unikając jęj widocznie. Używajmy życia! Ktoby myślał o raju niebieskim? Ziemski raj to rozkosze! Na co pytać o Mahometa lub Izrafila, który z korzeni drzew nalewa wiernym nektar słodki, gdy w srebrnych puharach pieni się wino od nektaru gorętsze, upajające. Precz z Mahometem! Cóż to za prorok?—nie umiał nawet urządzić raju. Muhtar bej służyłby mu za mistrza pod tym względem.

Mahomet wie tylko, że są nagrody wyznawców islamu na tamtym świecie. Muhtar zna coś lepszego, o czém prorok zapomniał widocznie: czyż nie byłoby rozrywką dla wiernych zamieniać swoje żony z żonami sąsiadów, choć raz na dziesięć stuleci. Tym sposobem raj Mahometa zyskałby na wartości, nie byłby nudnym, ożywiałyby go rozmaitość.

Tak, wieszczka Malach-Tavaise poddała Muhtarowi tę myśl, objawiwszy mu się w nocy po

świętach Beiramu, a on wspólnie z braćmi wykona ją dziś jeszcze.

Wszyscy trzej mieszkali w jednym domu, a każdy miał żony walczące z sobą o palmę pierwszeństwa pod względem wdzięków i urody. Muhtar bey kazał poddać najlepsze wina a po wieczerzy rzekł do braci:

— Zamieńmy nasze żony!

Soliman przystał bez wahania, a Vely bey roześmiał się tylko, potem oświadczył wyraźnie, że nie ma do tego najmniejszej ochoty.

Bracia wyszydiali go niemiłosiernie i bawiąc się jego kosztem zamienili żony.

Żona Muhtara ma piękne oczy jak dwa bławatki, a w zamian za nią dostał śniadą żydówkę, której wzrok płonie jak brylant. W jej źrenicach kryje się czar, o jakim Vely nie ma pojęcia i dlatego tak się upiera.

Vely milczał.

Nareszcie znudzony przycinkami braci, powiedział z całą otwartością, że jedna z żon jego, piękna albanka, której nie kupił ani też porwał lecz dobrowolnie została jego żoną, wymogła na nim uroczystą przysięgę, że zatrzyma ją przy sobie do śmierci. Vely szanuje dane słowo, i za nic na świecie żony swojej nie oddałby nikomu.

Wytłumaczyli mu nawpół żartem, że mógłby sobie zachować tę jedną, gdy mu jest tak miłą, byleby nie sprzeciwiał się co do reszty swoich.

Vely przestał się opierać i z wyjątkiem Neljanty wszystkie żony z braćmi zamienił.

Bawiono się.

W ostatnią noc święta Beiramu, rozweselony Muhtar bej, najprzód braci a potem samego pro-roka na wielką ucztę do pałacu swego zaprosił, w tym celu głównie, by przyjrzawszy się uciechom wiernych, urządził dla nich królestwo niebieskie. Dla Mahometa jak dla innych gości nakryć rozka-zał, puhar winem napełnić polecił, a odaliski mia-ły go zabawiać rozmową.

Podobna zabawka nie jest u turków nowością, a w czasach których dzieje kreślimy, bezbożność wyższych warstw społeczeństwa dochodziła do ostatnich granic. Zestawiwszy ją z fanatyzmem mas trzymających się ściśle przepisów alkoranu, spotkamy sprzeczności tak jaskrawe, że aż często nieprawdopodobne.

Zaprosiwszy wielkiego Mahometa, synowie ba-szy starali się jaknajlepiej go zabawiać.

Odaliski śpiewały i tańczyły kolejno, potem są-dzono która z nich najpiękniejsza.

Zarówno tańcem jak i śpiewem wyróżniały się: Lizza żona Sulimana i Rebeka piękna żydówka żona Muhtara beja. Trudno było wyrzec, której należy się palma pierwszeństwa.

Nareszcie zaczęły tańczyć obie razem.

— Patrz — rzekł Muhtar rozpromieniony, uśmiechnięty — widziałeś kiedy taki wzrost? Niby kwiat bananu kołysze się w lewo i prawo, jak czarująco w tył odrzuca głowę! Co za oczy! Chciał-bym być ziemią aby deptały mnie jęj stopy, lub powietrzem które ogarnia całą jęj postać.

— Śliczna istotnie — odparł Soliman gładząc

brodę — i gdyby nie tamta modrooka Lizza, nazwałbym ją najpierwszą gwiazdą piękności. Spójrz na Lizzę, każdy jój ruch jest pieszczotą. W Rebecce masz kobietę, Lizza to wieszczka, czarodziejka. Tamta zabija, ta w martwych życie obudzić zdolna.

— Niesprawiedliwym jesteś — przerwał Muhtar bey.

Śpiew Rebeki to nektar, o jakim marzą wierni synowie proroka.

Nie mogąc na jedno się zgodzić wezwali zdania trzeciego brata, który odurzony winem wsparł głowę na ramieniu Nelianty i zasnął. Zbudzili go by osądził dwie piękności.

Bey spał jak zarznięty, rozmówić się z nim było trudno, nareszcie zrozumiawszy o co idzie, rzekł z trudnością wymawiając każdy wyraz:

— Nelianta jest najpiękniejsza ze wszystkich. — Ucałował żonę i znowu zasnął.

— Dajmy mu spokój — zawołał Muhtar bey. — Niech sam Mahomet spór nasz rozstrzygnie i przyzna palmę piękności. Z temi słowy zwrócił się do niezajętego miejsca na sofie, przed którym stały półmiski różnych potraw i puhar napełniony winem.

— Mahomecie — rzekł drwiąco: — Kochałeś dużo kobiet za życia, masz ich pewno w raju jeszcze więcej, a będąc znawcą niepowszednim, powiedz która z tych dwóch jest piękniejsza. Widziałeś jak tańczą, słyszałeś śpiew, teraz dla porównania pocałuj obie.

Na dany znany odaliski siadły na sofie i piesz-

cząc niewidzialną postać, pocałunkami wyścigały się wzajemnie.

— A teraz, Mahomecie, rzeknij słowo! — krzyczał pijany Muhtar — a ująwszy kielich, dodał zapalając się coraz bardziej:

— Spełnij toast za zdrowie téj, która najpiękniejsza!

Bezbożne wyzwanie Muhtara beja echem rozległo się po sali. Tepelenti zadrżał, ujął pistolet, który miał zawsze za pasem, i pociągnął za cyngiel.

— No, dalej Mahomecie! — wrzasnął gospodarz — pij za zdrowie piękności, i powiedz, którą wybierasz.

Zaledwie skończył, przerażający huk zagrzmiał w powietrzu, puhar rozprysnął się w kawałki a rubinowy płyn rozlał się po podłodze.

Zdjęci trwogą wszyscy z miejsc się porwali.

— Kto wystrzelił?

Prócz trzech braci i kobiet w sali nie było nikogo, tylko pod czarną tablicą unosił się dym, który jednak zniknął za chwilę. Nikt nie miał broni, nie było przytem drzwi ni okna, przez które mógłby się dostać obcy człowiek.

Z minaretów zabrzmiała pieśń poranna:

„La Allah il Allah; Mahomed rasul Allah.”

Tepelenti nie ścigał zbiegłych. Tylko dnia tego modlił się do rana. Potem zamknął się w ostatniej komnacie by go nikt nie ujrzał w tej chwili, i czynił to, o czém zapomniał przez lat siedmdzieści: płakał. Czuł się złamanym.

Kobieta, którą tak kochał sprowadza nieszczęście, zwiastuje, że czas walki się zbliża.

Niech idzie! Jój biały welon będzie najpierwszym sztandarem wiodącym wrogie zastępy wojsk; Ali jój gonić nie chce. Przez całą godzinę drobna postać ukochanej żony stała przed nim w myśli jak żywa; stracił energią, płakał i narzekał. Potem wspomniał niebezpieczeństwo zbliżające się do bram miasta, a serce jego odzyskało znowu spokój i krew zimną.

Ali basza nie zna trwogi, przed niebezpieczeństwem nie ucieka, lecz idzie wprost na nie pytając: czemu tak się opóźniasz?

Kazał zawołać derwisza zakonu Nimetullahila, którego już oddawna w pałacu zatrzymywał, chcąc usłyszeć prorocze jego słowa. Tepelenti rad niczych zasięgać nie lubił, lecz miał upodobanie w prorocत्वach, indyjskich czarach, a przepowiednie derwiszów posiadały pewien wpływ na jego działalność.

Derwisz był zgrzybiałym staruszką, nikt nie wiedział, ile lat może liczyć ten człowiek. Od dawnego już czasu, tylko czary utrzymują w nim życie. Każdego wieczoru, wyprężony, jak struna wyciągnięty, poddaje zaschłe mięśnie nacieraniom ożywczym balsamem. Takim sposobem trzyma się jeszcze.

Dwaj milczący dozorczy przywiedli starca, a zgiąwszy mu nogi, posadzili go na miękkim dywanie.

— Siklam — rzekł Tepelenti — czuję, że straszny dzień się zbliża. Przez jedną noc miecz mój rdzą się pokrył, tarcza cała ze złota pękła na dwoje, głowa trupa, której napróżno szukałem, zaraz po ścięciu przyszła do mnie gdym spał, wróżąc śmierć, a także we śnie synowie moi przyjmowali w gości — proroka.

— Nie pytam co to znaczy — wiem i bez ciebie. Jak za nadejściem zimy gromady wron obsiadają dachy meczetów, tak spadną na mnie zastępy nieprzyjaciół. Zbyt długo żyję na tym świecie. Czyliż kto słyszał, żeby w monarchii Osmanów, człowiek bogaty i potężny, ośmdziesięciu lat mógł doczekać spokojnie. Niech przyjdą. Chciałbym jednak wiedzieć, kto na mnie rzuci się najpierwszy. Powiedz mi, jak się nazywa ten człowiek?

Derwisz rozkazał przynieść drewnianą tabliczkę, a postawiwszy na niej próżną szklankę, położył na szklance cienką laseczkę bambusu. Potem nakreślił dwadzieścia dziewięć liter tureckiego alfabetu, trzykrotnie do ziemi się pochylił, i oczy w szkło wlepiwszy, wsparł końce palców na tabliczce, dokoła szklanki.

Po upływie kwadransa, szklanka wydała dźwięk, jak gdyby wilgotnemi palcami dotknięto jej brzegów. Następnie, dźwięk stawał się wyraźniejszy, aż wreszcie szklanka zaczęła się poruszać, przyczem laseczka kręciła się wkoło. Ruch stopniowo się wzmaczał, chwilami dochodził do takiej szybkości,

że laseczka stawiała się prawie niewidzialną, odróżnić jej było niepodobna.

Derwisz odjął palce, szklanka zatrzymała się natychmiast.

Laska dotknęła litery Ghain.

— Zapamiętaj litery nazwiska twego wroga. Pierwszą jest Ghain (G).

Tą samą kolejną następowały dalsze głoski, aż złożyły się słowa: *Ghasko-bey*.

Przy ostatniej literze nagle się zatrzymawszy szklanka, pozostała już na miejscu.

— Nie znam człowieka tego nazwiska — rzekł Ali zdziwiony wielce, iż mając tylu głośnych nieprzyjaciół, lękać się ma takiego, o którym nigdy nie słyszał.

— Gdzie mieszka ten człowiek? — pytał dalej?

Starzec rozpoczął nanowo poprzednią sztukę, a szklanka odpowiedziała wyraźnie:

— W Stambule.

Ali nie żądał więcej.

Skinął na dozorców, by wyprowadzili Siklama. Potem przywołał z załogi czterdziestu albańczyków i dał każdemu dwadzieścia sztuk złota.

— Macie zadatek. Żądam śmierci człowieka, o którym wiem tylko gdzie przebywa i jak się zowie! Jest nim Ghasko-bey, mieszkaniec Stambułu. Głowa beya ma dla mnie wagę złota. Kto ją przyniesie, otrzyma tę cenę. Kto będzie pierwszym zwiastunem jego śmierci, dostanie dwieście sztuk złota, kto go sam zabije — tysiąc.

Naradziwszy się pomiędzy sobą, albańczycy wy-

rzekli, iż jeżeli bey znany tylko z nazwiska istnieje naprawdę, zgładzą go ze świata.

W południe, Ali wezwał trzech synów, nie mówiąc im o swych obawach, ani téż wspominając wypadków ubiegłej nocy; gdy wszyscy trzej ucałowali jego rękę, kazał im siąść przy sobie. Po prawej stronie umieścił Vely'a, a z lewej Muhtara, naprzeciw zasiadł Soliman, do którego Tepelenti z temi słowy się zwrócił:

— Ty jesteś najmłodszy i najodważniejszy, jutro zatem wysyłam cię na morze. Z trzema okrętami do Sycylii popłyniesz, wyładujesz je siarką i niezwłocznie w przeciągu trzech dni będziesz z powrotem.

Soliman odparł z niechęcią, której nie myślał ukrywać:

— O, mój ojciec, zły wiatr panuje teraz na morzu i któżby śmiał puszczać się w drogę? Wszystkie potwory morskie pływają na powierzchni, czyhające na upragnioną zdobycz, ukazują się różne straszidła otoczone mgłą w tysiącach postaci.

Ali do Muhtara beya z kolei się odezwał:

— Ty jesteś przebiegły i mądry, udasz się więc dziś jeszcze do kapitana Suliotów z rozkazem, by jak najspieszniej uzbroił wojsko i do Janiny przybył. Świetnych obietnic możesz nie żałować — to potrzebne — zwłaszcza w nagłych wypadkach.

Muhtar odwrócił się ze złością, nie wytrzeźwiawszy jeszcze po hulankach ubiegłej nocy, odparł z gniewem:

— Cóż znowu! śnieg topnieje w górach — wezbrały strumienie! Trzeba być ptakiem chcąc prze-

być tę drogę, żadna armia tego nie dokona. Poczekaj z tydzień, aż wody opadną i podeschną błota, wszak nic ci nie zagraża w téj chwili. Co tu pilnego? Na cóż ci trzeba tyle wojska i prochu?

Jak gdyby nie słysząc uwag Muhtara, Ali rzekł do najstarszego syna:

— Słuchaj, Vely, pojedziesz do Mirvimu i zakupisz dla mnie dwa tysiące koni. Tysiąc pod wierzch, a drugi tysiąc do armat.

— O, mój ojcie — rzekł Vely, najmądrzejszy z braci — trudna to sprawa! Wszak wiesz, że teraz od stepów wieje samum, który dla mnie jest niczem, lecz mógłby zaszkodzić cennym wierzchowcom. Sądzę, że zmienisz swój projekt. Powiedz mi, proszę, dlaczego bez słusznej racyi gromadzisz ludzi i konie, sposobisz amunicją. Możesz obrazić tém Padyszacha i wywołać wojnę.

Ali wybuchnął śmiechem, co u niego zdarzało się rzadko.

— A teraz — rzekł — na mnie kolój dowieść wam, iż jesteście w błędzie. Zjedzmy razem obiad i bądźcie dobrej myśli; po obiedzie pokażę wam, iż morze jest spokojne, nie wezbrały wody, a samum nie tak straszny jak go malują. Posiadam talizman, który was przekona.

Długo jak najweselój z synami się zabawiając, czasem tylko dozorcem coś szeptał. Po obiedzie zaprosił młodych beyów do wieży, której drzwi otwarte były szeroko, i powiodł do przysionka o jedném wielkiem oknie, wychodzącém na jezioro. Przy tém oknie, opatrzoném grubą żelazną kratą,

zasiadł z nimi do kawy, a następnie kazał podać nargyle.

Lepiej byłoby sięść na dachu i tam, na świeżym powietrzu, zabawiać się rozmową; lecz Ali tłumaczył żartobliwie synom, że wiatr naprzemian chłodny i gorący mógłby im zaszkodzić; samum rozgrzewa zbyt znacznie, a fassat przejmuje aż do kości.

Rozkoszując się wybornie przyrządzoną kawą, usłyszeli szum wioseł tuż przed oknem i ujrzeli trzy wielkie łodzie kołyszące się na spokojnej fali jeziora. To piękne żony beyów wybrały się na ulubioną przejażdżkę.

Wypogodziły się na ten widok oblicza młodych, a Muhtar bey szepnął do Solimana:

— Jak sądzisz, możeby zaprosić starego?

Ali uśmiechnął się, usłyszawszy słowa syna.

— Macie piękne żony — odezwał się gładząc siwą brodę. Cóż dziwnego, że nie łatwo wam z domu się wybrać, że lękacie się wiatru, będącego tchnieniem Boga, a co od Allaha pochodzi, dobrem jest z pewnością. Piękne — śliczne istoty! Miałem dziś szczególny sen, który opowiem. Ukazał mi się prorok i rzekł, że wzywaliście jego zdania aby rozstrzygnął, która z waszych żon najpiękniejsza?

Zdziwieni, trwogą zdjęci synowie, spojrzeli po sobie milcząco.

— Słuchajcie teraz — dodał z uśmiechem — ja do proroka wasze żony wysyłam.

— Co czynisz! — krzyknęli synowie.

Ali srebrną rurkę do ust przyłożył; głośny świst rozległ się w powietrzu; na dany znak, czarni słu-

dzy wyrwali na dnie łodek ukryte zapory, sami zaś wskoczyli w wodę.

Trzy łodzie zostały na środku jeziora. Woda zaczęła je napęlniać, kobiety struchlały. Przerażający okrzyk rozdarł powietrze.

Z wściekłym gniewem Muhtar do drzwi się rzucił, a gdy znalazł je zamknięte, rwał i szarpał w bezsilnej złości, chcąc podnieść je z zawias. Ująwszy żelazną kratę okna, Soliman próbował ją wysadzić, jak dziki zwierz targał się i miotał, nic wskórać nie mogąc.

Albanka i żydówka wzywały go w śmiertelnej trwodze; chłodne fale bałwanów obejmowały ich smukłe postacie, zatapiając je z wolna.

Tylko Vely bey stał w miejscu nieporuszony. On nic nie zgrzeszył, piękna greczynka nie cbraziła proroka. Kochał ją, był kochany, i oto nieszczęsna znalazła śmierć w toni jeziora.

Łodzie idą coraz głębiej, krzyk ginących kobiet się wzmacnia; dwaj synowie Alego widzą zgubę swych żon, nie mogąc pospieszyć z pomocą i wyratować ani jedną. Jeszcze raz krzyknęły, potem głuchy jęk wydarł się z piersi nieszczęśliwych; przez chwilę jeszcze, na powierzchni jeziora kołysały się białe ramiona, jaskrawe wstęgi, zawoje i splety bujnych włosów — potem wszystko przepadło.

Zanosząc się od płaczu, Soliman padł pod oknem na ziemię.

Muhtar do drzwi kołatał jak wściekły, zda się że tym łoskotem pragnął zagłuszyć rozpaczliwe jęki tonących. Tylko Vely milczał, patrząc z goryczą na złudne fale, pochłaniające raj trzech wiernych.

Daleko tam, daleko jakiś czarny punkcik unosi się zwolna — któż wie co to być może? A gdyby ocalała choć jedna!... Teraz go nie widać — oto ukazał się znowu na powierzchni — co to ma znaczyć?... Płyń — posuwa się jeszcze. Czyżby to ona? Greczynki płynąć potrafią.

Ali basza z sofy się podniósł i rzekł do synów:

— No, teraz mam nadzieję, że ani samum, ani burza przeszkadzać wam w drodze nie będzie. Wybierzcie się przededniem. Gdy wrócicie, każdy z was w rozkoszach najlepiej zapomni o dawnych żonach.

To powiedziawszy, Ali wyszedł.

Soliman i Muhtar popłynęli niebawem. Biada temu, na kim wywrą wściekłość, którą tłumić muszą.

Vely bey stał przy oknie zapatrzony w wodę — stał tak do wieczora myśląc o ojcu.

Bracia miotali przekleństwa — on milczał.

Tamci pogodzą się z ojcem — przebaczą — on nigdy *).

G a s k h o b e y.

Nie skryjesz się przed błyskawicą, ona trafi wszędzie.

*) Jest to fakt historyczny, że Tepelenti chcąc wpływ nad synami odzyskać, wszystkie ich żony potopić rozkazał.

Nieszczęście, niby wściekły pies, goni zwykle za uciekającym.

Przyszedłszy do Stambułu, najemni siepacze Alego zaczęli szukać Gaskho beya.

Był to człowiek prosty, z powołania dozorca Izoglanów, dobry, spokojny Turek. Usposobienie jego było flegmatyczne, a nawet do pewnego stopnia melancholijne; sympatyczna blaszka na jego dłoni, zaledwie zgięła się na brzeżkach, gdy tymczasem w rękach Tepelentiego zwinąwszy się zupełnie, drżała i chwiała się na wszystkie strony (w owych czasach podobne zabawki były u Turków w wielkiej cenie.)

Okazałój postaci, mogącej służyć za model Herkulesa, Gaskho bey jedną ręką wstrzymywał skrzydła wiatraka, w dzień urodzin następcy tronu wziął na plecy armatę i kazał z niej wystrzelić, a gdy był w dobrym humorze, piastry zębami przegryzał na części.

Nie można powiedzieć, że strasznój siły jaką go Allah obdarzył, używał na szkodę współbraci — bynajmniej, wszyscy go znali jako człowieka niezwykłej cierpliwości. Gdy przypadkowo w czasie fechtunku, który z Izoglanów ciął go mocno brzeszczotem po plecach, Gaskho bey gniewał się na ucznia, lecz nie z powodu bólu jaki mu sprawił, tylko o niewłaściwe uderzenie.

W domu był to wzorowy ojciec rodziny. Ileż razy chodził na czworakach, a mały jego synek poganiał go zawzięcie. Były też to jedyne zatrudnienia Gaskho beya. W seraju uczył młodzież

władać bronią, w domu synkowi z papieru ptaszki wycinał, puszczał latawce, lub grał w ślepą babkę.

Czas wolny od tych zatrudnień przepędzał na swój sposób—leżąc w otwartym oknie pałacu nad brzegiem „słodkich wód“ (Gökk sü), z fajką w ustach, spuszczoną aż do ziemi, przyglądał się obłokom.

Gdyby kto był ciekawy zapytać co też tam widzi na niebieskiem sklepieniu, odrzekłby z pewnością, że nic zgoła.

O zmroku, po zachodzie słońca, w gajach Gökk-sü wrzał ruch i życie; po całodziennym upale, kobiety zabawiały się tutaj huśtawką, tańcami i śpiewem, wędrowni perscy czarodzieje produkowali różne cuda, janczarowie urządzali szlachetne walki. W piątek zwłaszcza, ustawivszy się w dwa przeciwne szeregi, wojowali zawzięcie—co tydzień dwóch lub trzech nieboszczyków zostawiając na placu. To zabawka!

Gaskho bey tém wszystkiém nie zajmuje się zbytecznie. Pali fajkę na długim cybuchu, gdy pociągnie, niby z krateru sine kłęby dymu w górę się wznoszą, przybierając coraz inne kształty,—on tym kołom i kółeczkom się przygląda, rzekłbyś, że zamierza pisać książkę o filozofii fajki.

Nie widzi nawet, że dwaj zbrojni albańczycy w wysokich czapkach i czarnych bluzach, śledzą go od pewnego czasu, przysuwając się coraz bliżej, a gdy kto obcy przejdzie koło domu, uciekają spiesźnie.

Uwaga beya zwróconą jest gdzieindziej — pilnuje on kogoś w mieszkaniu. Toczy wojnę z małym Sidali, który dla zabawki strzela z łuku do pięt

ojcowskich. Gdy chybi, strzała padnie na plecy lub w głowę, Ghasko bey śmieje się z synka, który się złości.

Zmrok zapadał; postacie przechodniów stawały się coraz mniej wyraźne. ginąc wśród drzew.

Albańczycy zbliżali się śmieliej — tuż, tuż pod okno. Ghasko bey puszczał olbrzymie kłęby dymu, niebo i ziemia giną w tych obłokach.

Najemni zbrodniarze śledzą jego ruchy — przy czajeni, umieściwszy się po obu stronach okna, wyjęli pistolety i z odległości trzech kroków, mierzą w skronie beya.

Ożywiony, rumiany jak jabłuszko, Sidali strzela coraz częściej — nabrał nieco wprawy i to go uszczęśliwia.

Trafił teraz ojcu w samą piętę — tak, tak wybornie! Bey głowę do syna odwrócił, a jednocześnie rozległ się huk przerażający, i dwie kule przebiły ramę okna.

Nagły ruch beya był tak niespodziany, że mordercy celności swoich strzałów pewni, ujrawszy go nietkniętym, w osłupieniu, jak w ziemię wrośli, stracili przytomność.

Zanim do ucieczki się porwali, Ghasko już był za oknem, a ująwszy nędzników, silnemi rękami do ziemi ich przygiął, i do wiązania się zabierał, gdy na krzyk malca wpadli słudzy. Ciężko dysząc, na wpół nieżywi, siepacze Alego dostali się w ręce sprawiedliwości. Niepodobna przytem, by z rąk beya wyszli zupełnie cało, nie jedno żebro im złamał lub uszkodził.

Zawleczono ich natychmiast do Kapu-Kiaja, Gaskho téż ze swymi ludźmi się udał. Wzburzony do najwyższego stopnia, uspokoić się nie mogąc, przez całą drogę powtarzał głośno:

— Straszny wypadek! straszny! niesłychany!

— Czy zdarzyło się kiedykolwiek—mówił przyszedłszy do Kapu-Kiaja — żeby strzelano do człowieka, który spokojnie pali fajkę, bawiąc się z dzieckiem. To rzecz niesłychana. Kto chce do mnie strzelać, niech uprzedzi o swym zamiarze, bym się umył, skończył pacierz i oddalił dziecko. Ale wtenczas gdy palę fajkę—to niesłychane.

Gniewało go najwięcej, że strzelano gdy palił fajkę.

Przy téj sposobności Kapu-Kieja zastanawiał się nad godną uwagi kwestyą, czy pierwszy lepszy łotr ma prawo zabić człowieka przed, czy po pacierzu.

Albańczyków téż zaraz ostro do tłumaczenia wewał, chcąc przedewszystkiem się dowiedzieć, co było pobudką tak niecnój zbrodni.

Obnażono im pięty, a po kilku plagach wyśpiewali szczerą prawdę.

Kapu-Kieja nie chciał im wierzyć, przypuszczając, że kłamią. Tepelenti do téj sprawy jest wmieszany niegodnie; on wcale nie zna Gaskho beya, który także ze swéj strony mógłby przysiąc, że nigdy Alego nie widział, a słysząc o cudach waleczności, baszę szanował i nie obraził go niczem w świecie.

Na potwierdzenie wiarogodności swoich zeznań, albańczycy dodali jeszcze, że prócz nich, na żołdzie

Alego znajduje się w Stambule osiemdziesięciu trzech ludzi, wysłanych po głowę Gaskho beya.

Zarządzono śledztwo, rozpoczęły się poszukiwania, przyczem zaledwie sześciu uniknęło kary, resztę zaś ujęto.

Wszyscy tłumaczyli się jednakowo, powtarzali także same, podobne słowa, iż nie ulegało już wątpliwości, że Tepelenti wysłał ich godząc na życie beya.

Oburzenie było powszechne.

Gaskho bey cieszył się popularnością, większą może niż Ali; dzielny wojak słynął z bogactw i męstwa, siłę i dobroć olbrzyma znano w całym kraju: opowiadano o nim tysiączne anegdotki, przedstawiające go w nader korzystnym świetle. Wszyscy też potępili Alego, Gaskho bey zyskał sympatyą i współczucie.

Dostojnicy państwa, którym Tepelenti był już od dawna solą w oku, gdyż zazdrościli mu powodzenia w bojach, sławy, korzystając ze sposobności, narobili wielkiego hałasu.

Wytoczono całą sprawę przed dywanem i powstał spór zawzięty jak ukarać zbrodnię.

Zdania prezydujących różniły się wielce, sala narad zagrziała od krzyków. Jedni żądali śmierci Alego, inni utrzymywali, że Gaskho bey zadowolnić się może ścięciem dwóch albańczyków, którzy wykonali zamach na jego życie, Tepelenti zaś otrzyma napomnienie, żeby, jeśli ma rozum, nie wyrzucał złota na zgubę niewinnych ludzi, którzy nic złego mu nie zrobili, ani też w przyszłości nie zrobią.

Tak radzili mądrzy, do których sułtan się li-
czył.

— Ali jest moim mieczem — rzekł Mahmud —
gdy ten miecz zrani kogo przypadkiem bez mojej
woli, mamże go złamać?

Przeciwnicy baszy drażnili Gaskho beya, wma-
wiając w niego, że powinien udać się do prześla-
dowcy i żądać zadosyćuczynienia.

Słyszając swoje nazwisko przechodzące z ust do
ust od kilku tygodni, olbrzym, łagodny niegdyś jak
dziecię, wściekłym się stawał. Następnie przywi-
działo mu się, że jest jakąś bardzo ważną osobistością,
powołaną do zgniecenia potęgi władcy Epiru, i tak
się upoił marzeniami owęj niedoszłej wielkości, że
stracił zupełnie zdrowy sąd o rzeczach.

Na lekcyi fechtunku, przez roztargnienie oćwi-
czył potężnie swoich wychowalców, jak gdyby byli
żołnierzami Alego.

Napróżno krzyczeli, wypraszałi się obiecując
mu domy, ogrody, piękne konie i niewolnice—nie
chciał słuchać, tylko bił i wrzeszczał żądając gło-
wy wroga, gdyż niegodziwością jest tak długo tę
sprawę odwłóczyć.

Sułtan Mahmud celował mądrością niepowsze-
dną.

Nie zasięgając rady astronomów, czarnoksiężni-
ków, ani prorocत्व Dżina, przeczuwał katastrofę,
oczekiwał burzy, jak gdyby ukazały się już zło-
wrogie jęj gońce.

— Nie znacie mnie i nie znacie Alego—tłuma-
czył tym, którzy go naglili o ukaranie zbrodni. —
Gdy wyrzeknę, że Tepelenti ma zginąć, zginie on,

choćby wszystkie te gmachy miały legnąć w gruzach, choćby połowę kraju zniszczyć mi wypadło. Gdy zaś on powie: nie! możecie być pewni, że nie zostanie kamień na kamieniu, zanim on się podda. Żądacie rzeczy strasznych, chcąc mnie z Alim poróżnić.

Nie zadowolnili się tém podszczuwacze, lecz rozdzieliwszy znaczne sumy złota między janczarów, kazali im otoczyć pałac Kapu-Kieja i żądać głowy Alego.

Usłyszawszy hałas, dość jeszcze w porę, Kiaja zdążył umknąć do seraju, który przed nosem panów janczarów zatarasować kazał.

Podnieceni sztucznym zapalem, janczarowie spotkali się oko w oko z poważnym szeregiem armat strzegących bramy. Nie mając wielkiej ochoty z armatami bliżej się poznać, zaspokoili swą wściekłość zniszczeniem miasta; podpaliwszy najbliższą dzielnicę, zrabowali ją do szczeru.

Nazajutrz gdy ucichło nieco, sułtan ze swym orszakiem wyjechał na miasto, aby obejrzeć szkody, zrządzone przez ogień i rabunek. Na placu serajowym nieopodal fontanny, jakaś kobieta wybiegła na drogę i śmiałą dłonią ujęła cugle wierzchowca padyszacha.

Sułtan w téj chwili konia powstrzymał, a sądząc, że ma przed sobą jedną z licznych ofiar pogorzeli, rozkazał podskarbiemu rzucić jęj worek złota i z drogi ją usunąć.

— Nie chcę złota—wołała—żądam krwi!—a głos silny i dźwięczny kazał wnioskować, że jest jeszcze młoda.

Mocno zdziwiony Mahmud, zapytał o imię nieznajomój.

— Eminah, córka baszy z Delvino, żona Alego Tepelenti — odparła z mocą.

— Czyjś krwi żądasz?—rzekł sułtan oczom swoim nie wierząc, że ta którą mógł uderzeniem kopyt końskich stratować i życia pozbawić, jest źrenicą oczu dzielnego baszy.

— Pragnę krwi Alego Tepelenti!—odpowiedziała z dziwną stanowczością — człowieka, z którego zamku uciekłam podziemnymi drogami i wodą, by go oskarżyć przed twém obliczem. Jeżeli zaś ty go nie osądzisz, pójdę ze skargą do samego Boga, szukać sprawiedliwości.

Sułtan cofnął się ze zdumienia.

Okropnie, gdy żona staje się oskarżycielką własnego męża, który ją dowodami najczulszej miłości obsypywał: strasznym zbrodniarzem musi być ten człowiek, gdy w słodkim gołąbku uczucie nienawiści rozniecić zdołał.

Skinął na Kislara Agę i kazał natychmiast wziąć tę kobietę pod dozór Kiethudy. Sam zaś wrócił niezwłocznie do pałacu, i zwołał Dywan, który też zaraz się zgromadził.

Sułtan był oburzony słuchając zeznania młodej kobiety, która po ucieczce z zamku przebyła u Suliotów dni kilka, i tam się dowiedziała o niecznych postępkach i okrucieństwach Alego Eminah. Dodała w końcu, że w tym czasie zmarła w Delvino bogata wdowa, niegdyś ideał Gaskho beya, i zapisała mu olbrzymi swój majątek.

Teraz wiadano co o tém myśleć — znalazł się klucz, który rozwiązał zagadkę zbrodni: Ali chciał zamordować beya, żeby zagarnąć skarby.

W niebezpieczeństwie.

Przez długi szereg dni następnych, basza Janiny same smutne odbierał wieści, a zanim księżyc dwa razy się odwrócił, Ali utracił już połowę swój władzy.

Najpierwszym gońcem hiobowym był jeden z albańczyków, który chociaż ścigany zawzięcie, wymknąć się zdołał, aby oznajmić panu, że zamach się nie powiódł, a mordercy wyznali na śledztwie czyj ręki są narzędziem.

— Własnym mieczem zadałem sobie ranę! — wrzasnął Ali — telentyjski prorok prawdę powiedział. Tak, on mnie ostrzegał o tém.

Wszystko miało się spełnić.

Zanim upłynął tydzień, doniesiono mu znowu, że najdroższa jego żona, piękna Eminah, padła do nóg Mahmuda, żądając krwi Tepelentiego.

— Wiedziałem o tém — westchnął Ali — prorok mi powiedział. Ale jeszcze nie koniec. Będę stał na srebrnym koturnie u bram seraju.

Nazajutrz rano przyszła wiadomość, że Gaskho bey został baszą Janiny.

-- Rządzą się, jak gdybym już umarł — szepnął z goryczą starzec. Zakopują mnie w ziemi za życia,

dziedzictwem mojem się dzielą, jak gdybym je już zostawił, a przecież mam stanąć na srebrnym kołturnie u bram seraju.

Potem nie tracąc czasu, rozesłał do wszystkich miast wezwania, żeby każdy kto ma braci lub synów, do Janiny bezwzględnie stawić im się kazał.

Następnie każdą mniej potrzebną sztukę bydła polecił wygnać w góry, wszystkie zaś okręty w porcie Durazzo zgromadzić.

Na wałach ustawiono szeregi armat i moździerzy, dowódcy pospieszyli na swoje stanowiska; cokolwiekby się stanie, nie zaskoczy Alego zniecka, znajdzie go przygotowanym. Zdąży czerwony sztandar rozwinąć, zanim Mahmud wyrok śmierci wyrzeknie.

O! Tepelenti nie łatwo odda siwą brodę. Strzelcy wiedzą dobrze, co to za lew, z którym gotują się do walki...

Baba Pelisan basza mianowany rządcą Lepantu, Soliman basza regentem Trikala, a Mahmeda beya, którego ojca Tepelenti niegdyś zamordował, sułtański firman ustanowił komendantem Durazzo.

Co za trafny wybór! dziwnym zbiegiem okoliczności padł na ludzi silnych, zawziętych, z których każdy widzi w Alim wroga i zemścić się pragnie.

Polowanie świetnie się zapowiada.

Ali zawołał do siebie synów, Muhtar rządcą Durazza, Vely Lepantu i Soliman Trikala stanęli przed ojcem.

Rozłożył wielką mapę, wskazał na nią rozległość ich władzy, i zapytał co im zostanie, gdyby

to stracili. Potem własną ręką przypasał im miecze i napominał, by sławy ojcowskiej naśladowcami starali się zostać.

Młodzi klęli się zawzięcie, przysięgali, że zwyciężyć muszą.

Vely nie wyrzekł słowa.

— Czyż nie jesteś moim synem? — zapytał starzec.

— Jestem nim, z woli Allacha — odparł młody bey—i walczyć będę na równi z braćmi. Lecz nie dla ciebie, ani dla siebie nawet, nie o życie, ani o wieczność, lecz że w Lepanto mam syna, a nieprzyjaciel szturm do miasta przypuścił. To małe dziecko jest mi całym światem, będę walczył jak ojciec w obronie syna. Dołożę wszelkich starań, aby go oswobodzić, lecz nie dbam czy ty zwyciężysz lub zginiesz. Gdy otrzymasz wiadomość, że nieprzyjaciel zdobył miasto, a syn mój zginął, przestań liczyć na moją szablę, nic już ona nie będzie warta.

Z temi słowy Vely odwrócił się i wyszedł.

Gdy oddalał się spokojnym krokiem, Tepelenti rozważał w duchu, czy nie wyjąć pistoletu z za pasa i nie strzelić do syna zanim opuści bramy miasta.

Teraz wiedział już wszystko. Żona, dzieci i broń jego własna, wszystko to mierzy na jego zgubę!

A jednak, stanie kiedyś na srebrnym koturnie, u bram seraju.

Dwudziestotysięczna armia złożona z albańczyków i greckich suliotów, do boju jest już gotowa. Dzielna armia!.. Lecz za kogo ci ludzie walczyć będą, za niego, czy za sułtana? Czy wi-

dząc go w niebezpieczeństwie, nie zechcą pomścić spalonych wiosek, wymordowanych siostr, zabranych kochanek?... Wszak wiedzą wszyscy, że Tepelenti przez całe życie gromadził skarby a nie znał dobrych czynów. Te skarby zgubią go dzisiaj. Czas przyniósł mu odpowiedź, nie dając na nią czekać zbyt długo. Zanim nadeszły nieprzyjacielskie hufce, w górach, gdzie Zaid zbierał ochotników, zbuntowani sulioi pod wodzą dziewczęcia napadli na wojsko baszy i do szczętu je wycięli. Jednemu tylko umyślnie darowali życie, by poniósł swemu panu głowę Zaida i oznajmił, że jest to dar młodej greczynki, której niegdyś zamordował na rzeczzonego.

Od téj pory nieszczęście zaczęło go ścigać.

W jego oczach prawie kapitan Zunga opuścił albański obóz, a gdy nadciągnęła armia padysacha i Gaskho bey z firmanem na szyi wezwał prawowiernych do walki przeciw baszy, całe wojsko przeszło na stronę Gaskho beya. Soliman najmłodszy syn Alego uciekł sam jeden, nie dobywszy miecza, następnie w drodze go schwytano.

Dwaj starsi pozostali mu jeszcze. Muhtar bey w Durazzo z licznym oddziałem i Vely; choć zły na ojca jest dzielnym wodzem i musi bronić syna.

Ma on tam jeszcze kogoś w Lepanto.

Owego dnia, tak pamiętnego w dziejach hare-mów, jedna z pomiędzy tylu kobiet ocalała, Neljatha, greczynka. Kochając szczerze swego męża, zawiadomiła go natychmiast gdzie się znajduje. Vely bey posłał ją z dzieckiem do Lepantu, chcąc oboje od ojca usunąć.

Młody bey spieszył z bijącym sercem, a za nadejściem nocy ujrzał w płomieniach miasto, w którym przebywa jego żona i syn.

Czyżby zapóźno przybył?

W dzikim szale jak wściekły zwierz rzucił się na oblegających i pokonał ich po długiej walce, która trwała aż do północy. Żołnierze okazali się godnymi wodza.

Cóż to pomogło? Dali pomoc obleżonym, lecz forteca była już dawno w płomieniach. Rycząc z bólu wódz do bramy się rzucił, z trudnością poznając miejsca, które opuścił przed niedawnym czasem.

Szukał pawilonu—tam mieszkali jego najdrożsi.

Byłto drewniany dom z ciężkim miedzianym dachem; tak, oczy go nie mylą, wśród stosu gruzów stopiona jakaś masa mieni się czerwoną barwą. Z głuchym jękiem Vely w tę stronę się rzucił, kazał usunąć nawpół poczerniałe belki i odszukał dwa trupy spalone na węgiel. Naramienice z koralami, których ogień zniszczyć nie zdołał, usuwają wszelką wątpliwość, Veli poznał Neljathę i syna ¹⁾.

Nie jęknął nawet, lecz schował szablę do pochwy i bezbronny zupełnie, w nocy do obozu zwyciężonych pospieszył, sam się oddając w ręce nieprzyjaciół.

Wojsko rozpierzchło się w nieładzie i nazajutrz rano Ali usłyszał wieść straszną, że Vely bey po

¹⁾ Gazeta Augsburska z r. 1820.

odniesioném zwycięztwie dobrowolnie poddał się sułtanowi.

Porzucili go wszyscy, miasta otwarły się przed wrogiem, zdradzili przyjaciele, opuścili dwaj synowie, jeden tylko trzyma się jeszcze. Tak, Muhtar bey z nich najdzielniejszy, najlepiej się bije i kocha ojca.

Po dwóch dniach znowu nadeszła wiadomość, że Muhtar ze swymi ludźmi zdał się na łaskę Kapudana baszy.

— I to mi przepowiedział—rzekł spokojnie Ali—tak było napisane w niebie. „A jednak, stanę jeszcze na srebrnym koturnie u bram seraju.“

Lew w lisiój skórze.

Grom za gromem pada na twoją głowę stary wodzu!

Cała armia przeszła na stronę twoich wrogów, porzucili cię wszyscy, zdradzili synowie, bez walki oddając twoje miasta, — sprzymierzeńcy zwracają przeciw tobie lufy karabinów, które za własne pieniądze sam kazałeś przywieźć z Francyi — sulioci z murów twierdzy strzelają niemi do albańczyków.

O! bo też sulioci potrafią się bronić. Stosami trupów zaścielali pole, walcząc obok siebie. I teraz zbierają żniwo, składają szereg przy szeregu—lecz z twoich ludzi. Prowadzi ich młodziutkie rodzeństwo, brat i siostra—Kleon i Artemiza.

Tak, Artemiza, gdy wymawiasz to imię, czujesz ból w sercu.

Tę dziewczynie ofiarowałeś miłość, ona uciekła z kobietą, którą kochałeś nad życie, a dziś, w ślad za jej imieniem idą wieści o porażce i klęskach.

Niby siostrzyca anioła Azraela wkracza śmiało w najgorętszy wir boju, wśród gradów kul unosi biały sztandar nietknięty, bezpieczny... Widzisz ją jak zakłada chorągiew na bramie i nie masz siły życzyć jej śmierci, sam każesz, by ucichły działa, zabraniasz do niej strzelać.

Zewsząd nadciąga burza, niebezpieczeństwa się mnożą... O, Tepelenti! musisz wychylić kielich go-ryczy aż do dna, do ostatniej kropli—a potem?... staniesz u bram seraju na srebrnym koturnie...

Nareszcie jednej nocy na siedmiu wieżach twierdzy rozległ się odgłos bębnow, a ze szczytu gór rzucona bomba padła w sam środek rynku.

Daléj! albańczycy! niech spieszy każdy, w czy-ich żyłach płynie krew żołnierza. Na wszystkich siedmiu bramach wróg obsadził armaty i grozi nam zniszczeniem.

Ali dosiadł rumaka, w prawicy dzierży miecz, który zawsze towarzyszy mu w bojach. Ileż-to razy Tepelenti nic już nie miał prócz miecza, a jednak odzyskał znowu wszystko.

W jednej chwili ustawił szeregi, rozpatrzył pozycją nieprzyjacielską i uśmiech okolił mu usta. Gaskho bey, olbrzym, wiezie swój szwadron na pole bitwy; za godzinę z tych ludzi nie ostanie się

żaden, by mógł służyć za świadka sromotnej porażki.

Plan godnym jest wodza, który posiwiał w bojach. Kto spojrzy, musi przyznać, że nieprzyjaciel wymknąć się nie ma sposobu! Chodźcie!

A jednak Ali zginie z pewnością. Za pierwszym strzałem, nie zdążywszy dobyć miecza, armia się poddaje, i paszcze armat zwrócą się teraz przeciw dawnemu panu twierdzy.

Wszystko przepadło! Tylko siedmuset albańczyków dotrwało przy nim do ostatka, inni uciekli.

Stary lew koło mieczem w powietrzu zakreślił, i przepatrzywszy wierną gromadkę woła grzmiącym głosem:

— Zobaczycie jak Ali umiera!

I wpada na rynek ze swymi ludźmi.

Wszystkimi bramami jednocześnie wkroczył nieprzyjaciel do miasta. Ali basza w samym środku się umieścił, i chociaż ma tylko siedmuset ludzi i dwanaście armat, podczas gdy przeciwnicy rozporządzają dwoma setkami dział i olbrzymiem wojskiem, Gaskho bey wyprzeć go z rynku nie jest w stanie i zawładnąwszy jedną połową miasta, nie otrzyma drugiej.

Gdyby przyszło do walki na pięście, jedną ręką mógłby pokonać starca, tylko że do niego nie może się dostać—trzeba tutaj nie siły, lecz rozumu.

Oblegający podpalili miasto, Tepelenti wcale się nie ruszyli.

Wiatr sprzyjał oblężonym, Gaskho bey zaczął się cofać, gdyż ogień dokuczał mu strasznie; wów-

czas Kleon i Artemiza stanąwszy na czele wojska śmiało rzucili się naprzód.

Cztery armaty gotowe były odeprzeć atak—ujrzawszy biały sztandar swęj prześladowczyni, Tepelenti zachmurzył czoło, szablę schował do pochwy, artylerzystom ogień wstrzymać rozkazał; odprzęgli konie i cofnęli się do twierdzy.

Ośmielony tak nagłym odwrotem, Gaskho bey ścigał uciekający oddział przez miasto, chociaż co prawda, w wązkich uliczkach przychodziło mu to z trudnością.

Dopiero na moście wrogie zastępy do siebie przypadły, pomieszały się niby dwa roje, z dzikim wrzaskiem pchając się naprzód. Tutaj rozpoczęła się walka. Oko w oko, niby w śmiertelnym pojedynku, kolbą lub kindżalem mordowali się wzajemnie, jak drobne mrówki zabici z mostu padali w wodę; wściekły szal ogarnął bratobójców, nie są to już ludzie lecz dzikie zwierzęta.

Sześciuset albańczykom udało się zbiedz do fortecy, tam na rozkaz Alego spiżowe bramy zaparli; stu zaś, przemocą zwalczonych, legło na moście. Bronili się do upadłego, dziesięciu do dwudziestu tymorjotów na jednego albańczyka.

Most ugiął się pod tym ludzkim ciężarem, jeszcze chwila a runie w przepaść. Z wałów twierdzy rozległy się wystrzały—filary mostu ze strasznym łoskotem załamały się pod nogami walczących, i wszyscy razem, turcy i albańczycy znaleźli śmierć w głębokiej fali.

Oblegający ujrzeli ze zgrozą, iż ani jedna ludzka istota nie ocalała w tym upadku, tylko woda

zabarwiła się krwią walecznych i purpurową smugą popłynęła w dal.

Dawno już bardzo, Tepelenti powbijając tam kazał ostro zakończone pale,—ukryta w wodzie mordercza zasadzka zadanie swe spełniła jak należy.

Tymczasem pozamykano bramy.

O, stary basza tak łatwo wziąć się nie da!

Zwyciężyli go na każdym punkcie—ten już ostatni, a jednak jeszcze nie koniec.

Do fortecy przystęp jest niemożliwy; sześciopudowe działa strzegą szanów budowanych na środku stawu; żaden okręt zbliżyć się tu nie zdoła. Od strony lądu na basztach sto armat się wznosi, a dalej rowy szerokie, niedostępne.

Tu w swoim gnieździe Ali się nie podda. Zapasy żywności i prochu na długo mu wystarczą, a że jest na wszystko zdecydowanym, dał tego dowód, gdyż zaraz w pierwszym tygodniu kazał jedną bramę zamurować. Nawet ucieczka z twierdzy byłaby niemożliwą.

Zostanie tam niby w sklepionym grobie — po-
grzebany za życia. Jedna tylko do nieba lub do piekła pozostała mu droga, innych sulioi pilnie strzegą; gdyby latał w powietrzu jak mucha, ujść by im nie zdołał.

Wojna skończona, zwycięzki olbrzym został baszą Janiny.

Cały Epir poddał mu się z ochotą, nie uznając już dawnego pana, w Stambule zaś dziękczynne modły sławią moc Allaha, wśród huku armat na placach publicznych ogłaszają zwycięstwo...

Wszystkie gazety w całej Europie zaznaczyły fakt doniosłej wagi, że sławny awanturnik, siedmdziesiąt lat z górą dowodzący wojskami, który do takiego znaczenia już doszedł, iż wątpić się ośmielił, że sułtan jest najwyższym panem w Turcyi, pokonany został i zamknięty w twierdzy.

Tak zginął marnie sprzymierzeniec Napoleona, człowiek, który przed niedawnym czasem królowej Anglii posłał w darze stoliczek wartujący trzydzieści tysięcy talarów, bogacz, mający więcej skarbów niż najpierwsi potentaci finansowi, dziś nędzarz, niepewny jutra.

Można już tylko oczekiwać jego śmierci, która nastąpi niebawem.

Nie czekano długo.

Pewnej nocy dwaj albańscy żołnierze, na linach z szanćów spuścili się w wodę, i z pomocą deski jezioro przepłynawszy, udali się do Gaskho beya.

Ali Tepelenti umarł. Przedewszystkiem zanieśli tę wieść beyowi.

Umarł ze wstydu i zgryzoty, być może, że się otruł.

Po trzeciej modlitwie Ramazanu, następnego dnia zaraz mają go pochować.

Przed śmiercią zwołał do siebie wszystkich generałów, przysiądz im kazał, że bronić się będą do ostatka i nie dadzą fortecy aż wszyscy wyginą. Wszystkie jego skarby znajdują się w czerwonej wieży, trzydzieści milionów piastrów pozostało po nim, darował je swoim wodzom.

Jakaż jest wartość tych skarbów, gdy ich nie można wynieść z tego gniazda. Nie mają prawa się poddać, gdyż przysięgli na wszystkich tureckich świętych, że po jego śmierci bronić się będą, chociaż załoga myśli zupełnie inaczej: chciałaby tylko mieć odwrót zapewniony.

Gdy Gaskho bey zechce tylko rękę wyciągnąć, niedostępna forteca z dwiema setkami dział i mnóstwem skarbów stanie się jego własnością.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, wywieszono na czerwonej wieży szary sztandar, bez półksiężyca. To znak śmierci.

Z wałów strzelano tygodzieści trzy razy, co także miało znaczyć, że Tepelenti umarł; następnie rozległ się stłumiony odgłos bębnow zakrytych sukniem i pogrzebowe pieśni kapłanów.

Ze szczytu gór, Gaskho ze swoim sztabem przyglądał się uroczystemu pochodowi.

Urządzono tam obserwatorium z galeryą, z której można było cały dziedziniec twierdzy dojrzeć dokładnie, teleskopy sprowadzone umyślnie z Wiednia oddawały znakomitą przysługę, gdyż przedstawiały wszystko jak najwyraźniej. Jeden szczególnie tak znacznie przybliżał oddalone przedmioty, że można było czytać pierwsze litery Alkoranu z wielkich ksiąg, z których imani modlili się przy grobie.

Na skromnym katafalku leżał Ali basza; tak, to on, każdy może się o tém przekonać. Leży martwy, zimny, niewzruszony — wodzowie otoczyli go płacząc, służba do rąk się ciśnie;

Dowiedziawszy się o zgonie Alego, suliości bombę do twierdzy rzucili. Niedokładnie wykierowana bomba pękła w powietrzu,— z obserwatorium widziano, jak cały orszak przeraził się tym hukiem, wszyscy spojrzeli w górę, tylko zmarły leżał bez ruchu, obojętny na wszystko.

Już go teraz nic nie obchodzi.

Kapłani wzięli go na ramiona i wśród żałobnych pieśni i odgłosu bębnów złożyli w otwartym grobie. Potem grób zasypano.

Wyznawcy proroka nie leżą w trumnach, lecz w grobie do połowy obstawionym deskami na pomieszczenie aniołów, którzy tu przyjdą, żądać sprawozdania z dobrych i złych czynów.

Ali Tepelenti został złożony w grobie.

Zagrzmiały działa, imani odśpiewali trzy wiersze, potem grabarze sypnęli ziemią, i złożywszy na grobie wielką tablicę z marmuru, po obydwóch jej stronach ustawili kamienne posągi.

Już pochowano nieprzyjaciela.

Gdy po skończonym obrzędzie odeszli wodzowie i kapłani, Gaskho bey zawołał wartowników obserwatorium i taki wydał im rozkaz:

— Przy tym teleskopie, jak obecnie jest skierowany, przez cały dzień, aż do późnej nocy, niech ciągle stoi człowiek, którego zmieniajcie co kwadrans i patrzy na grób, oka nie spuszczać. Wieczorem gdy niema księżyc, puszczajcie rakietę co pięć minut, żeby wartownik mógł dokładnie widzieć. Do mnie należy zdawać raport co godzinę.

Jakto? Czyżby Gaskho bey miał się obawiać, że siedmdziesięcio-dziewięcioletni Ali wstanie z grobu — podniesie ciężki kamień?

Są ludzie, o których trudno uwierzyć, że umarli i nawet po śmierci lękamy się ich jeszcze.

Do późnego wieczora, o każdej godzinie dawano znać nowemu baszy, że grób znajduje się w porządku, a przez całą noc nikt go nie ruszył.

Tepelenti umarł naprawdę.

Nazajutrz rano do Gaskho beya doszły dziwne wieści.

W koszarach topidżyków, gdzie stały armaty, gdy dobosz złożył na ziemi bęben, a na nim pałeczki, te ostatnie zaczęły skakać, jak gdyby jakaś niewidzialna ręka chciała na alarm uderzyć. Wojsko krzyczy, że cud się objawił, a dżinsiedzi w bębnie.

Gaskho bey nie chciał temu wierzyć, aż sam udał się do koszar i sprawdził własnymi oczyma, że pałeczki same skaczą i wydobywają z bębna dość wyraźne dźwięki.

— Zadziwiające! — mruknął i posłał po imanów żeby wygnali dżina.

Przyniesiono różne zioła i księgi, okadzono bęben czémś tak szkaradném, że przystąpić do niego było trudno i wśród krzyków i wrzasków wypędzono dżina.

Gdyby dyabeł zaklęty w bębnie miał nos i uszy, przed takim krzykiem i powietrzem czmychnąłby z pewnością, on jednak wcale nie myślał o ucieczce. Gdy kto trzymał bęben, pałeczki zachowywały się spokojnie, skoro go postawiono, rozpoczynały znowu zagadkowy taniec.

Imani darli się jak najęci.

Dozorca obserwatorium patrzył na te cuda. Renegat francuz na turka przerobiony, posiadał trochę nauki, o dżinie zaś nigdy w życiu nie słyszał i żadnego o nim nie miał pojęcia.

Widząc, że z wypędzeniem duchów nie mogą sobie dać rady, zbliżył się do Gaskho beya i szepnął mu na ucho:

— Nie rozumiem co to jest ten wasz dżin, po co robicie tyle hałasu i złego powietrza, wiem jednak co znaczy drganie pałek.

— Co? co? powiedz!

— Że trzeba ztąd co tchu się wynosić, gdyż po-
dłożono miny, ziemia zaczyna drgać, a z nią i te pałeczki.

Gaskho bey uśmiechnął się na te słowa. On tyle wiedział o podkładaniu min, co renegat o dżinie.

— Jesteś strasznie przesądny — rzekł łaskawie i poklepał francuza po plecach.

Ten ostatni jednak nie namyślał się długo i uciekł do obserwatorium, czując się tam bezpiecznym.

Po paru godzinach piekielnego wrzasku, udało się imanom wypędzić dżina; bęben przestał się ruszać, uspokoili się wszyscy, a żołnierzom kazano u drzwi broń ustawić w kozły, ażeby nie ośmielił się powrócić.

Tak też i uczynili.

Naprzeciw bramy fortecznej, za zburzonym mostem wznosi się mocny budynek z kamienia, będący teraz w rękach zwycięzców. Tam schronili się młodzi grecy, Kleon i Artemiza.

Chcieli oni znajdować się blisko, nie dozwolić Alemu wlecieć ptakiem lub duchem, pilnują go we dnie i w nocy.

Pod zamurowaną bramą stoją armaty,—podda się lub zginie w fortecy.

I oto znalazł grób bez ich współdziału. Na próżno ostrzyli broń, śmierć pospieszyła się i dosięgła go prędzej niż oni. Nie mogli zabić go w boju, ani też siwój głowy powlec na rusztowanie—skończył na łóżku, jak kończą sprawiedliwi.

Zniechęceni i smutni siedzą oboje przy słabém świetle lempy.

W ciężkim pancerzu, którego zdjąć zapomniała, dziewczyna zrywa się z krzesła i z rękami złożonemi na piersiach, przebiega niewielką stancyjkę. Kształtne jój rysy straciły wszelką cechę niewieściej natury, są chłodne jak rysy martwego posągu.

— Nie żyje już! nie żyje! powtarza nieustannie i zamyśla się znowu.—Ali umarł, nie zginął z méj ręki!

Kleon uderzająco do siostry jest podobny, lecz w jego oczach inne ognie się żarzą; twarz Artemizy budzi trwogę, w pogodnych rysach Kleona czytasz nadzieję.

— Z śmiercią tego człowieka straciłem owoc moich trudów—szepcze Kleon wzdychając.—Stary lis uciekł przedemną do piekła. Gdyby to było mo-

żliwe, udałbym się za nim, aby go ztamtąd wywlec za brodę i skąpać we krwi moich braci.

— A więc masz moję siwą brodę!—odezwał się jakiś głos z głębi mieszkania, a w ślad za nim Ali Tepelenti, we własnej osobie, stanął przed bratem i siostrą.

Przeżegnali się trwogą zdjęci. Strach przykuł ich do ziemi, odebrał im przytomność, gdy ujrzeli nieboszczyka w tych samych sukniach, w których go pochowano.

— Macie Alego!

Potem w ręce klasnął trzykrotnie; ze wszystkich kątów mieszkania wyskoczyły ukryte drzwiczki, a z nich żołnierze w pięknej zbroi.

Zanim Kleon i Artemiza chwycili za szable, ujęto ich i skrępowano.

Był to rzeczywiście Ali Tepelenti.

Pochowano go naprawdę, lecz on znał wszystkie podziemne przejścia. Sam urządził pogrzebowe widowisko, następnie wyszedł podziemnym korytarzem, a gdy w armii Gaskho beya zapanowała radość i spokój, rzucił się z nienacka.

Doskonale zbudowany tunel pod wodą rowów fortecznych prowadzi do owego budynku za mostem.

Ali podszedł ich tak zręcznie, że zanim który zdążył wystrzelić, sulioi bez broni musieli się poddać.

Wstań, Gaskho beyu, dalej mahomecie! na koń, do broni, Poliwanie baszo! Niebezpieczeństwo wam grozi—nie pora zasypiać!

I któżby spał?

Przerażający huk wstrząsnął ziemią, jak gdyby zapadać się miała, i w płomieniach, których światło słońca błednie, tysiące strzałów jednocześnie się rozlega.

Koszary topidżyków wyleciały w powietrze.

Od strasznego wstrząśnienia wałęsały się minarety i pałace, niby domki z kart — połowa miasta leży w gruzach, stosy płonących desek i skrwawionych trupów ściele się pokotem.

Ali zwiastuje wrogom o swém zmartwychwstaniu.

Zstąpił do ziemi i ztamtąd na nowo bój rozpoczął.

Kto chce go widzieć?...

Ledwie odziany Gaskho bey, olbrzym, zerwał się z łóżka i pędził przez ulice, sam nie wiedząc dokąd i po co. Żołnierze również nieprzytomni ze strachu, rzucali się to w lewo, to w prawo, o broń i o konie wołając.

Niby miecz ognisty, zawisło w powietrzu imię Alego, straszniejsze nad gromy, zwiastując śmierć i zniszczenie.

Na siwym koniu, z długą białą brodą, jedzie zmartwychwstały basza. Któż się ośmieli spojrzeć mu w oczy?

Rozpuszczone oddziały Gaskho beya giną setkami z rąk albańczyków, strumienie krwi znaczą obecność Alego baszy — zmarły wódz sieje postrach wśród nieprzyjaciół. Nikt mu się nie oprze.

Jeden tylko Pelivan, dzielny wojownik, może mu stawić czoło i ocalić armię by nie wyginęła od garstki armeńczyków. Nie tracąc czasu, gromadzi

zbiegów, uspokaja, a podczas gdy Ali urządza w mieście krwawe widowisko, on wpada ze swym oddziałem i wstrzymuje tryumfalny pochód zwycięzców,

Już było dosyć.

Trzy tysiące trupów we krwi się tarza, oddział suliotów w niewoli, nawet wódz schwytyany został, a wszystko w przeciągu jednej nocy, pamiętnej nocy zmartwychwstania. Czas już wreszcie udać się na spoczynek.

Alr zaczął się cofać.

Gaskho bey krzyknął na Pelivana:

— Czemu nie ścigasz go do fortecy?

— Niebezpiecznie jest gonić tego człowieka — tłumaczy przezorny wódz. — Cofnął się, zostawmy go w spokoju.

Olbrzym rzuca się wściekły, porywa miecz Pelivana, gdyż swój stracił gdzieś wśród utarczki, i na czele znacznego oddziału, pędzi za nieprzyjacielem.

Ali spokojnie do fortecy się zbliża, jak gdyby uwagi nie zwracając na prześladowców, których jest sześciu na każdego albańczyka.

Potém, gdy znajdowali się już w odległości, z której można było się rozmówić, Tepelenti zawołał:

— Złą drogę wybrałeś, dzielny beyu. — Jesteś na moim gruncie i nie wiesz, że wszystko tutaj do mnie należy.

Gaskho bey nie zrozumiał ani słowa, aż gdy na dany znak Alego, rakietą, niby wąż płomienisty

rozdarła powietrze i podpalono wszystkie miny znajdujące się pod miastem.

Dawno już bardzo, za lepszych czasów, gdy budowano kanały do wodociągów, Tepelenti kazał murować sklepienia tak wysokie, żeby mogły służyć na inny jeszcze użytek, i napełnił je prochem. Swoich ludzi dla bezpieczeństwa, za mostem zgromadził, a gdy dzieło zniszczenia spełniło swe zadanie, on przyglądał się z wieży strasznym rezultatem wybuchu i ostatni prawie podziemnym wyjściem do fortecy się oddalił.

Głośnie jęki rozległy się szeroko. Trzecia część armii oblężniczej śmierć tam znalazła, ci zaś, którzy szczęśliwie uniknęli śmierci, usunęli się za miasto na otwarte pole.

Wschodzące słońce zastało tutaj okropny widok. Nie ma już Janiny! Piękne miasto zburzono do szczętu, wysokie domy, wspaniałe meczety, białe, smukłe wieżycy minaretów, olbrzymie koszary, wszystko to zbiło się w jedną masę, niewyraźną, bezkształtną. Wśród gruzów domostw i mieszkań ludzkich wały się zwęglone zwłoki, czarne, poszarpane, ohydne, a pod basztą, przez otwór kanału gęstawy płyn koloru krwi toczył się z wolna do rzeki.

— Biedne dzieci, jak one mocno zasnęły! — rzekł Ali do swoich ludzi.

W czerwonej wieży Kleon i Artemiza spali obok siebie strudzeni łzami. Objąwszy się za szyję, zasnęli nad ranem, a nawet wzrok Alego obudzić ich nie zdołał.

— Nie budźcie ich! — rzekł do niewolników. — Niechaj śpią jeszcze.

I przyglądał się im z uśmiechem na ustach, rad że tak słodko zasypiają.

Biedni! oni nie wiedzą, czy po tym śnie żyć im będzie wolno.

Ali nie chciał im przeszkadzać. Posyłał do nich potem jeszcze trzy razy, lecz nakazywał, aby ich nie budzono.

Szczęk łańcuchów u rąk młodzieńca zbudził oboje.

— Błądziłem po ulicach Koryntu—rzekł Kleon, wnosząc do nieba wielkie czarne oczy, w których malowała się poetyczna jego dusza.

— Ja stałam pod Termopilami—szepnęło dziewczę—a setki wrogów stały przedemną.

— Teraz pójdziemy na stos—westchnął młodzieniec, gdy ciężkie drzwi skrzypnęły na zawiasach.

— Bądź mężny — rzekła dziewczyna, ściskając dłoń brata.

Dwaj dozorczy powiedli młodą parę do Alego baszy.

W śmiertelném ubraniu Tepelenti siedział na sofie; wszystkie meble osłonięte czarnymi pokrowcami przypominały wczorajszą żałobę, wyniesiono ztąd złocene lustra i stoliki, obszerna komnata przybrała cechę klasztorną, ponurą.

Trzymając się za ręce brat i siostra, stanęli przed nieprzyjacielem.

— Kochane dzieci—rzekł Ali drżącym głosem—nie patrzcie na siebie, lecz na mnie spojrzycie.

Na te słowa wypowiedziane z niezwykłą łagodnością, Kleon i Artemiza zwrócili wzrok w stronę Alego. Sędziwy basza był zmieniony i smutny, łzy błyszczały w jego oczach.

Na dany znak, milczący dozorca zdjął kajdany z rąk brata i siostry.

— Jesteście wolni, wracajcie do domu — rzekł Ali.

Jak gdyby dotknięty elektrycznym prądem, młodzian zerwał się z żywością, a na szlachetne jego rysy wystąpiły rumieńce.

— Cieszysz się?—rzekła Artemiza, surowa lecz spokojna.—Czyż nie widzisz, że ten potwór z nas żartuje? On chce się nacieszyć naszą męczarnią,—rozbudza nadzieję, aby śmierć przykrzejszą uczynić. Po co te igraszki, stary szatanie? Zabij nas prędko, odbierz życie, lecz zaprzestań męki.

Tepelenti wzniosł oczy do nieba.

— Dusza moja—rzekł po chwili—jest to księga otwarta. Powiedziałem wam, iż możecie odejść. Znamy się dostatecznie! Ja spaliłem wasze sioła, wy zburzyliście moje miasta,—obłożyłem was ciężkim haraczem, wyście za to moje państwo zdobyli. Porwałem cię z domu rodziców i zabrałem narzeczonego, tyś mi wydarła najdroższą żonę i kazała ścierać ukochanego wnuka. Skwitowaliśmy się wzajemnie. Puszczam was—idźcie w pokój.

Tyle słodczy, tyle serdecznego żalu drgało w prostych słowach starca, że nawet zawzięta, mściwa dziewczyna spojrzała na niego z litością.

— Dziwisz się, żem tak zmieniony — rzekł Ali, wrażenie swoich słów na twarzy dziewczyny czytając—niegdyś inaczej na mnie patrzałaś. Tamten Ali nie żyje—umarł, już go pochowano. Skruszony grzesznik pada przed tobą za grzechy żałując, całuje kraj twój szaty i błaga o przebaczenie.

To mówiąc, Ali na kolana się rzucił, łzami oblewał stopy dziewczyny, która wszelkiej urazy zapomniawszy, pochyliła się ku niemu i starała się go podnieść.

Była [znowu kobietą, wrażliwą i czułą na widok lez.

— Słuchajcie, co wam powiem — rzekł uspokoiwszy się nieco—byście nie sądzili, że Ali dostał pomieszania zmysłów. Dziś w nocy miałem objawienie, które nie było snem, za co mogę zaręczyć. Piękna niewiasta cała w promieniach, zstąpiła do mnie z otwartego nieba, otoczona licznym orszakiem skrzydlatych dzieci. Spoglądała na mnie przyjaźnie i słodko, kwiaty zwracały do niej kielichy, jak gdyby do słońca, na rękach trzymała dziecię, przed którego wzrokiem ja starzec pochyliłem czoło. Nad głową dziecka jaśniały gwiazdy, a uśmiech jego ust wydawał mi się niebieskiem zbawieniem. Wzniosłem do góry drżące ramiona, oni oboje do mnie ręce wyciągnęli, a niewiasta wyrzekła te słowa:

— Ali Tepelenti, ja ciebie wzywam!

Pod wpływem tego głosu padłem na ziemię drżąc ze strachu.

Kleon i Artemiza zgięli kolana i powtórzyli z serdecznem przejęciem:

— Święta dziewico, bądź pozdrowiona.

Tepelenti mówił dalej:

— Odwróciłem głowę, a niebieskie zjawisko zaczęło mnie wołać smutnym, przejmującym głosem, który rozdzierał mi serce: „Ali Tepelenti, nie odwracaj głowy—spójrz na mnie!“ Gdy podniosłem oczy, ujrzałem siedm ostrych mieczów zwróconych prosto w serce matki — przerażony, sam nie wiedząc co czynić, opuściłem ręce.

— Ali Tepelenti!—rzekła poraz trzeci—siedmio-ma mieczami serce moje przebiłeś, a moja krew spadnie na twoją głowę.

Jęcząc z żalu odparłem:—Czyżbym to mógł uczynić, gdy nie znam ciebie!

— Tak,—odpowiedziała—kto moich prześladowe, mnie prześladowe, kto obdziera kościoły, mnie obdziera. Czyż nieburzyłeś świątyń w zdobytych miastach?

— Przysięgam, że odbuduję — rzekłem uroczystie, a na te słowa jeden miecz wypadł z serca niewiasty.

— Czyż zwyciężonym suliotom nie zabrałeś dziatek?—rzekła znowu—aby z nich zrobić wyznawców proroka?

— Przysięgam, że powrócę ich dawnéj wierze. Drugi miecz wypadł z krwawiącej rany.

— Nie porywałeś dziewczę do haremu?

— Przysięgam, że je wrócę rodzinie.

Trzeci miecz potoczył się z wysoka.

— Czyż nie gromadziłeś licznych skarbów z zabranego mienia wdów i sierot?

— Oddam je na twoją chwałę!

Tak wyliczała kolejno wszystkie moje grzechy, ja przysięgłem je naprawić, a za każdym razem ostry miecz z serca niewiasty padał u moich stóp. Jeden tylko tkwił jeszcze gdy rzekła:

— Czyż nie prześladowałeś młodych suliotów, brata i siostrę, wiernych obrońców mego ołtarza? Nie trzymałeś ich w ciężkiem więzieniu? Czyliż w myśli swojej na śmierć ich nie skazałeś?

Wylękły, położyłem rękę na sercu, gdyż rzeczywiście miałem ten zamiar, i rzekłem, chcąc się usprawiedliwić:

— O, Pani niebieska, to są śmiertelne moje wrogi, przeciwnicy, którzy zgnębić mnie pragną... Gdy rozkażesz, złożę w ich ręce siwą głowę i oddam się w ich moc, chociaż są dziećmi, bezbronni i słabi.

Na te słowa ostatni miecz z serca jój wypadł, a ona rzekła:

— Ali Tepelenti, pozbieraj te miecze i spełnij wszystko co przyrzekłeś wykonać.

To powiedziawszy, uniosła się wyżej, coraz wyżej, obłoki zamknęły się za nią, u stóp moich leżały miecze a na każdym z nich wypisana była przysięga.

Taki cud widziałem dziś w nocy, a teraz pomyślcie i zastanówcie się nad znaczeniem słów moich.

Wzruszeni do głębi, brat i siostra słuchali opowiadania baszy. Stary wódz mówił z takim przejęciem, z tak gorącym namaszczeniem o dziwném zjawisku, że wątpić było niepodobna. Wyraz jego twarzy, łzy płynące strumieniem i głos drżący, niepewny, wszystko świadczyło, że to co mówi, czuje całém sercem.

Potém Ali wziął ich za ręce, do skarbca poprowadził, pokazał złoto, srebro i pieniądze nagromadzone w beczkach.

— Rozporządzajcie temi skarbami, jak wam się podoba.

Wybrał kilka brylantów znacznej wartości i daje obojgu z temi słowy:

— To dla kasy wojennéj „Heteryi.“

W jakim celu wspominał tajne stowarzyszenie, które niby mina grożąca wybuchem podkopuje spokój tureckiej monarchii? Czyżby chciał i do niej lont przyłożyć?

Ręka Alego do Bukaresztu dosięgnąć jest w stanie.

Następnie powiódł ich do zbrojowni, gdzie w długich skrzyniach złożona była wyborowa broń angielskich i francuzkich fabryk.

— Patrzcie — rzekł — tém co tu się znajduje, możnaby uzbroić cały naród.

Młodzi westchnęli.

— Tepelenti! — rzekła Artemiza.

— Spełnię wszystko co każesz.

— Wyrzuciłeś nam jedno złe, my również odpłaciliśmy się krzywdami i nienawiścią. Zapomnij o tém.

— Już wam przebaczyłem.

— Ja na tém miejscu, zapominam, że straciłem narzeczonego, ty wymaż z pamięci śmierć wnuka, który zginął z mojej ręki. Zważ jednak, iż nietylko my jesteście uwięzieni w twierdzy, lecz i ciebie wrogowie ztąd nie puszcza.

— Ja tylko jeden zostać tu muszę — odparł z abnegacją starzec. Przysięgam na Allaha, jak owój niewieście przysięgłem, że wszyscy odzyskacie wolność. Co się wówczas ze mną stanie, mało mnie obchodzi. Ali jest gotów umrzeć, choćby zaraz. Wy zaś macie przed sobą długie lata ciężkich bojów; gdy przyjdzie czas w którym zabraknie wam broni i złota, pamiętajcie, że w Janinie jedno i drugie znaleźć można w obfitości.

Nareszcie po długim wahaniu Artemiza w prawdę słów Alego uwierzyć była zmuszoną. Wybrawszy dwa wyborne damasceńskie miecze, Tepe-lenti bratu i siostrze własnoręcznie je przypasał. Radość obojga nie miała granic.

Na dziedzińcu fortecznym przedstawiał rodzeństwu wziętych w niewolę towarzyszków, którym też zaraz oznajmił, że wraca im wszelką swobodę. Kazał wytoczyć parę beczek wina i uradowanym jeńcom ze swemi ludźmi pić i jeść dozwolił. Zanim nadszedł wieczór, wino spełniło swą misję należyte, ściskano się, całowano, przysięgając dozgonną przyjaźń.

Widząc to Ali, kazał przynieść najlepsze karabiny i rozdzielił je pomiędzy suliotów. Chociaż mógł się obawiać, że natychmiast przeciwko niemu

się zwróca, nawet mu to wcale nie przyszło do głowy.

Na czole dwojga młodych złożywszy ojcowski pocałunek, Tepelenti błogosławił ich, a następnie wskazał podziemny korytarz, przez który mogli się dostać do miasta...

Tymczasem w obozie Gaskho beya zaczęły krążyć dziwne wieści. Schwytani przy rabunku albańscy żołnierze, opowiadali rzeczy niesłychane, którym nawet wierzyć trudno.

Czyż podobna żeby sulioi znajdowali się w porozumieniu ze swym dawnym panem?

Zauważono wprawdzie, że Ali do nich nigdy nie strzelał, cofał się raczej, gdy mu z suliotami bić się wypadło.

Jeńcy opowiadali nieprawdopodobne fakta.

Twierdzili uparcie, że Kleon i Artemiza bywają w fortecy, wchodząc przez podziemny korytarz i że podstępnie dali się ująć i rozbroić.

— Tak, tak było z pewnością! — wołali wszyscy, którym Bóg dozwolił przeżyć straszną noc zemsty Alego.

Mówili jeszcze, że gdy Ali rozpocznie nowy szturm przeciw armii oblężniczój, wszyscy chrześcijanie z obozu beya przejdą do niego.

Tym podobne wieści szerzyły się pomiędzy wojskiem, nie bez dodatków coraz strasniejszych. Tu i owdzie turcy z chrześcijanami rozpoczynali kłótnie, drobne utarczki coraz częściej się powtarzały; grożono, wykrzykiwano, tworzyły się grupy i partyjki.

Widząc na co się zanosi, Gaskho bey i Pelivan zrobili walną naradę, na której zapadła stanowcza decyzja, że trzeba niezwłocznie rozbroić greków. W tym celu wszystkim bez wyjątku w obozie zebrać się kazali, a w sam środek ich ująwszy, Turkami otoczono, i pod lufami armat grożąc śmiercią w razie oporu, kazali broń złożyć.

Sulioi i albańczycy podnieśli straszny lament.

Oddani w ręce krwiządnego tłumu, mieli sposobność sprawdzić własnym przykładem, że często aby ocalić życie, człowiek broń z ręki wypuszcza, gdy mógłby się nią bronić.

Po krótkim wahaniu, wybrali z pomiędzy siebie dwunastu młodzieńców, którzy postanowili się udać do wodza i zapytać o przyczynę tak strasznej niełaski.

Gaskho bey rozgniewał się bardziej jeszcze. Śmiałe słowa młodych greków doprowadziły go do wściekłości; kazał ich wywieść na otwarte pole, ustawić w szeregu, głowy im pościnać a następnie ogłosił pozostałym, że taki sam los czeka wszystkich, którzy myślą się opierać.

Na rozkaz wodza młodzieńców obnażono i wezwano kata, który miał wszystkie głowy pościnać. Nie zdążył jeszcze uciąć żadnej, gdy od strony miasta rozległ się hałas i gwar niezwykły.

To Kleon i Artemiza ujrzawszy niebezpieczeństwo grożące rodakom, opuścili czerwoną wieżę, aby na czele oddziału pospieszyć z pomocą. Na szczęście udało im się przybyć w porę.

Sulioi ujrzeli swoich — straszny krzyk rozdarł powietrze.

Był to krzyk bólu i wścieklej rozpacz, dochodzącej do szaleństwa.

Z obydwóch stron rzucono się na Turków, w jednej chwili obóz Gaskho beja stał się obrazem zamieszania i nieładu.

Albańczycy, spahowie, sulioi i tymorjoci, rzucali się na oślep nie wiedząc w kogo uderzyć. Ani chorągwie alemdarów, ani grzmiące okrzyki agów, spahilarów i sorbadzów nie mogły ich powstrzymać. Nawet straszny ryk Gaskho beja nie trafiał im do ucha—rzucali się jak wściekli.

Nieprzyjaciel choćby najsilniejszy, nie byłby w stanie tak pomieszać szeregi, jak to zrobili własni towarzysze.

Około południa sulioi zajęli góry, rozpaczny olbrzym cofnął się do Durazzo. Zostało mu już tylko dwunastu czerkiesów, cała armia wyginęła, lub popadła w niewolę.

Mnóstwo broni i armat zabrał nieprzyjaciel.

Z uśmiechem zadowolenia Ali z czerwonej wieży tryumfowi suliotów się przyglądał. Armia się rozperszyła, a on nie potrzebował strzelić ani razu.

Albańska rodzina.

Porzućmy wojenną wrzawę, zamknijmy oczy na walki i boje, które następowały kolejno.

Ulises Ypsilanti, Kolokotroni, przez Alego baszę zwani najdroższymi braćmi, uderzali jeden po drugim na władzę i tron sułtana.

Opuśćmy pola użyznione krwią wiernych i chodźmy w gaje Dodony, gdzie głos świętej wyroczni zabrzmiał przejmującemi dźwięki w uszach poety, marzyciela. Odszukajmy tam cichą, zapadłą dolinę, której mieszkańcy nie słyszą nigdy o bożym świecie, bo do nich złe ani dobre wieści wcale nie dochodzą; wszystko co się dzieje poza obrębem tych gajów, jest im zupełnie obce. Raz chyba tylko na całe stulecie zabłądzi tam spahio i ściągnie podatki należne władcy osmanów.

Dom żony Halila nie stoi już nad strumykiem, nawet grób w którym spoczęła śliczna „Gül-Bajaze“ nie jest znany nikomu. „Białej róży“ nie ma tu już w dolinie, i nikt jej nie pamięta. Tylko stara babka, gdy ją dookoła obśiadają prządki wesołe, figlarne, uśmiechnięte, opowiadając baśni, które jeszcze z ust swjej matki lub babki w dzieciństwie zasłyszała, snuje powieści o pięknej obląkaniej. Była ona młodzieńcem jak kwiatek, białą różą zwali ją wszyscy, gdy zamieszkała tu w dolinie. Nakrywała stół każdego wieczora, na każdą noc słała łóżko dla gościa, którego nikt nie widział, ona zaś nazywała swoim mężem.

Ta kobieta miała syna, zwał się Behram.

Dzielny to był młodzieniec, niezwykle odważny i śmiały. Z pomocą kilku towarzyszków wypędził z Epiru całe bandy opryszków, którzy często nawiedzali dolinę rabując co się dało.

W najbliższej chacie mieszkała wdowa Khamko, której męża zabili podczas wojny, a ona z małym Ali na plecach, nie mając gdzie się podziać, uciekła tutaj w góry.

Dawniej podobno wdowa Khamko odznaczała się łagodnością i dobrocią, gdy jednak z obłąkaną poznała się bliżej, i jej widać przewróciło się w głowie. Znienawidziła świat i ludzi, a powtarzała często, że byłaby w stanie podpalić cały kraj na cztery rogi, by wyginęli źli i dobrzy bez wyjątku. Oby Allah łaskawy nie zważał na podobne bluznierstwa!

Behram słodki, łagodny, miał już wtedy rok dwudziesty szósty, podczas gdy Ali zaczął szesnastą wiosnę. Był już jednak dziki i samowolny, całymi dniami włóczył się po górach, a przyszedłszy do domu, miał zawsze dla matki trochę pieniędzy a czasem nawet drogi kamień. Nikt nie wiedział z kąd on to bierze, prócz Behrama, przed którym chłopak zawsze się przyznał, kochając go nad życie.

Ali przystał do zbójców, plądrował z niemi okoliczne wioski, czatował na bogatych kupców po gościńcach i drogach; następnie zaś obdzielał łupy.

Gdy nic nie przyniósł, matka lżyła go i przeklinała, spokoju mu nie dając, aż wybrał się na nową wyprawę i wrócił ze znaczną zdobyczą.

Widząc go na tak fatalnej drodze, Behram napomniiał młodego towarzysza, dawał mu rady mądre i dobre, których wpływ oddziaływał jeszcze na umysł Alego, gdyż od czasu do czasu od zbójców się usuwał, i aby mieć pieniądze dla matki, prze-

dawał owce i kozy, nareszcie rozstał się z ulubioną strzelbą w srebrnej oprawie.

Pozostała mu tylko szabla — nie miał już nic więcej.

Khamko gniewała się na syna, a gdy zażądał jeść, wypędziła go z domu.

Ali błdził po lasach, przez długi czas żywiąc się tylko owocami. Nareszcie głód go zapędził do samotnej chaty starego albańczyka, który właśnie stał w progu domostwa.

Albańczyk był to człowiek zacny i pocziwy — ujrawszy Alego grzecznie go zapytał:

— Czego chcesz, mój synu?

Zawstydzony chłopak zmieszał się i rzekł spuszczać oczy:

— Chcę sprzedać szablę.

Przed chwilą jeszcze miał zamiar tego starca życia pozbawić.

Albańczyk kupił szablę za dziesięć cekinów, nakarmił Alego jeszcze i напоił, potem chłopak wrócił bez szabli do domu.

Ujrawszy syna bez broni, którą zawsze miał za pasem, Khamka krzyknęła ze złością:

— Co zrobiłeś z szablą, niegodziwcze?

— Sprzedałem ją — odparł Ali.

Matka zerwała się jak wściekła, a schwyciwszy kij, obila syna bez litości.

Duży, silny chłopak, nie płakał wprawdzie, lecz bić się pozwolił i bronić się nie myślał.

— A teraz włóż spódnicę! — wrzeszczała Khamka — ucz się prąść, zajmij się wrzecionem, abyś darmo nie jadł chleba na świecie. Mężczyzna który

sprzedał szablę, do niczego już niezdolny, tylko do wrzeciona.

Ali przął gdy matka mu kazała.

Przez dwa dni z rzędu znosił udręczenia, których mu nie szczędziła wdowa Khamko, trzeciego poszedł do armeńczyka, zamordował go własną bronią, zabrał co się dało, potem chatę podpalił i został zbójem sławnym na całą okolicę.

Matka żyła jeszcze dość długo, niby robak tocząc duszę syna; uczyła go zabijać bez żalu, bez litości, aż wreszcie syn ją zamordował, mało się troszcząc że zabija własną matkę.

Tym chłopcem był Ali Tepelenti, basza Janiny.

Ileż zdrad, krzywoprzysięstwa i krwi wylanęj doprowadziło go tak wysoko? Ileż-to razy nie miał już nic prócz szabli i wrodzonej przebiegłości, która mu starczyła za majątek.

W najświetniejszej epoce swojej wielkości wspominał często dwie chatki w dolinie, i Behrama, o którym nic nie mógł się dowiedzieć. Rozmyślał nieraz, czém byłby na świecie, gdyby słuchając rad przyjaciela, wiódł życie ciche, spokojne.

Z pewnością nie doszedłby do takiego znaczenia, nie miałby tyle bogactw; lecz kto wie, czy nie byłby szczęśliwszy niż obecnie?

Raz nawet, jako możny basza, pojechał do owęj chaty, w której mieszkała obłąkana matka z synem. Behrama jednak tam już nie zastał — kto wie dokąd się udał, może już nie żyje?...

Pióro Mahmuda.

Gdy za panowania Mahmuda II, wędrując do Mekki, karawana została napadniętą przez Rechabitów ¹⁾, sułtan nakazał władzom sądowym w Mece i Medynie posłać do obozu i ujętych derwiszów wykupić.

Za dobre pieniądze ludzi zaraz wydano, lecz Rechabici byli kupcami w całym znaczeniu tego pojęcia: uwolniwszy jeńców zabrali im nawet suknie, nie darowali bielizny, Mahmud zaopatrzyć ich musiał w potrzebne ubranie.

Pomiędzy wykupionymi znajdował się derwisz zakonu Nimetullahita, który po tym zdarzeniu do sułtana poszedł i odezwał się w te słowa:

— Mój biedny panie! Najsmutniejszy ze wszystkich kalifów i sułtanów, którzy panowali i panować będą po tobie, dzięki żeś mnie wykupił z rąk kacerzów, a w dowód wdzięczności przyniosłem ci to, co szczęśliwie ukryć mi się udało, chociaż mnie rozebrali donaga.

To powiedziawszy dał sułtanowi czarne pióro, a zapytany, jakim sposobem ukryć je potrafił, powiedział, iż schował je w brodę, którą miał długą do pasa.

Mahmud przyjął podarunek derwisza, obok innych relikwii zachował i zapomniał o nim zupełnie.

¹⁾ Rechabici są kacerzami mahometańskiej wiary.

Pewnego razu, gdy jedna z faworytek kazała przynieść relikwie, które obejrzyć przyszło jej do głowy, na widok pióra podarowanego przez derwisza zaczęła dowodzić, że widziała na własne oczy jak poruszało się samo.

Mahmud obejrzał pióro na wszystkie strony, i żartując z przesadnego strachu faworytki, pokazywał jej przez trzynastu sułtanów nagromadzone w *khazne* (skarbcu) kosztowności, a następnie pozwolił odalisce wybrać co jej się podoba.

Były tam klejnoty wysoką ceną dorównywające dochodom niejednej monarchii, całe wysadzone brylantami; były rzadkie pamiątki, osobliwości: odaliska ledwie na nie spojrzawszy, ku wielkiemu zdziwieniu padyszacha, poprosiła o czarne pióro.

Mahmud próbował odaliskę przekonać, że mogłaby uczynić korzystniejszy wybór; widząc jednak, że upiera się przy swoim, dał jej pióro, czyli raczej obsadkę bambusową, najprostszój roboty.

Ucieszona darem, młoda kobieta wzięła pióro, pewna, że znowu poruszać się zacznie.

Przez cały dzień i noc następną pióro leżało spokojnie, ciekawa odaliska już zaczęła żałować swojej lekkomyślności, która ją pozbawiła kosztownego podarunku, gdy pewnego wieczora, podczas wizyty padyszacha, wśród pocałunków i miłosnych szeptów, usłyszała szelest pióra, przesuwającego się po twardym pargaminie.

Spojrzeli oboje i zdumienie ich nie miało granic: podniesione nieco, jak gdyby trzymała je niewidzialna ręka, cudowne pióro zdawało się kreślić jakieś wyrazy.

Odaliska trzęsła się ze strachu jak w febrze, sułtan odważny i w żadne przesady nie wierzący, zaczął jęć tłumaczyć, że niewątpliwie pióro uczepiło się pajęczyny i dlatego w powietrzu się porusza. Chcąc faworytkę uspokoić i przekonać, chwycił pióro, by przerwać niewidzialną przędzę. Pajęczyny nie było, a pióro do pisania zabrało się znowu.

Sułtan zdumiał się tak niezwykłym zjawiskiem. Co pióro pisało tak pilnie, nikt nie mógł przeczytać, ponieważ nie było umaczane w atramencie. Dla próby, niemal żartem, Mahmud zabarwił je karminem, którym piękne damy malują usteczka. Następnie położył je na czystym kawałku papieru i patrzył jak pióro unosząc się zwolna, wypisało dwukrotnie:

„Mahmudzie! Mahmudzie!“

Nie bez drżenia, ujrzawszy wypisane własne imię, sułtan zapytał:

— Czego chcesz odemnie?

Pióro napisało znowu: „Mahmudzie! Mahmudzie!“ i skończyło na tém.

— Tak—rzekł sułtan—to jest moje imię, a kto ty jesteś, duchu?

— Halil Patrona.

Mahmud zadrżał usłyszawszy nazwisko człowieka, którego jeden z poprzednich sułtanów podstępnie życia pozbawił. Obecność ducha jest w każdym razie straszną, a cóż dopiero ducha ofiary.

— Czego chcesz tutaj? — spytał Mahmud z pewną obawą.

Pióro odpowiedziało:

- Chcę ciebie ostrzedz.
- Czy grozi mi jakie niebezpieczeństwo?
- Nawet bardzo blizkie—była odpowiedź.
- Z której strony?

Pióro wypisało długi szereg wyrazów, streszczających co następuje:

„Ze wschodu wielkie, z zachodu większe, z południa jeszcze większe, a najstraszniejsze, największe grozi ci z północy.“

- Gdzież wierni walczyć będą?
- W całym państwie.
- W których miejscowościach?
- Pod każdym miastem i w każdym mieście.
- Jak długo potrwa wojna?
- Dziesięć lat.

Było to w tysiąc ośmset dwudziestym roku, w kraju panował pokój niczem nie zmacony.

Sułtan spytał jeszcze:

- Powiedz mi, kto zwycięży?
- Ty ani razu.
- Wskaż nieprzyjaciół!

Zatrzymało się pióro, jak gdyby dla zebrania myśli.

— Innym razem—napisało po chwilowym przestanku.

Nie rozumiejąc odpowiedzi, sułtan powtórzył pytanie, i wyczytał te słowa:

- Zapytaj mnie gdzieindziej.
- Gdzie?
- Sam.

Zawadzała mu obecność faworyty — widocznie, trzeba mieć się na ostrożności.

Sułtan zaledwie mógł uwierzyć, że to wszystko nie dzieje się we śnie; uspokojona już trochę odaliska, przysunęła się bliżej i wsparła na ramieniu Mahmuda, spytała cichym szeptem:

— Czy zechcesz mi odpowiedzieć potężny duchu?

Pióro odpowiedziało:

— Tak.

Odaliska spytała znowu:

— Powiedz, czy Mahmud będzie mnie kochał do śmierci?

Przerażony sułtan za rękę ją chwycił.

— Na proroka!—rzekł—jak można dawać podobne pytania?

Wszak to był przedmiot dla zakochanej chyba najciekawszy...

Wyraźnie, pięknymi literami napisało pióro:

— Będzie cię kochał aż do *twojej* śmierci.

— A kiedyż ja umrę?

Nie było odpowiedzi.

Napróżno pytała odaliska, za ile lat, dni, miesięcy.

Duch milczał.

— Od czego umrę?—spytała znowu.

Zgorszony jej brawurą, padyszach próbował faworytkę od stołu odprowadzić, lecz w tej chwili zaraz pióro napisało te słowa:

— Będziesz zamordowaną.

Chwiejąca i pobladła, piękna turczynka zdobyła się na pytanie:

— A kto mnie zamorduje?

Przerażeni, wstrzymując oddech w piersiach, czekali oboje na odpowiedź...

Zwolna, wyraźnie napisało pióro:

— Mahmud.

Odaliska padła zemdlona w objęcia padyszacha, który ją na sofie położył i po długich usiłowaniach do przytomności przywiódł, starając się przytem uspokoić ją i pocieszyć najczulszemi słowy.

— Zły, przewrotny duch siedzi w tem piórze — tłumaczył Mahmud całując ukochaną. — Jedynym jego celem jest przerazić nas i zaniepokoić. Wszak powiedział, że będę cię kochał dopóki nie umrzesz, a kochając mógłżebym cię zamordować? Duch kłamie, jestem tego pewny.

A jednak drżał pomimowoli.

Sen odbiegł mu z powiek, cała noc przeszła na posępnych dumaniach, a następnego ranka odebrał odalisce pióro, mówiąc, że wrzuci je w ogień.

Nie zrobił tego jednak.

Przeciwnie, rozmawiał z duchem bardzo często, a gdy proroctwa się nie sprawdzały, zaczął je uważać za prostą zabawkę czarodziejską, której zadaniem oryginalnością swoją rozśmieszać i zabawiać. Rozweselał też często cały harem, gdy zwoławszy odaliski, na różne pytania duchowi zakłętemu w piórze kazał odpowiadać.

Ile lat ma Kadun-Kiet-Khuda? ile cekinów znajduje się w kieszeni Kislara-agi? o której godzinie budzi się sułtan? kiedy rozkwitną tulipany? ile głów rzucono dziś w morze? czy poeta Sadi żyje jeszcze? i t. p.

Czasem znowu kazano mu tłumaczyć wschodnie pieśni Wiktora Hugo na język turecki, perski lub arabski.

Pióro spełniało każde zadanie. Odaliski cieszyły się z prześlicznej zabawki—faworytka zapomniała już o strasznej przepowiedni.

Pewnego dnia zdarzył się niezwykle wypadek.

Głośny wódz piratów *Microconchalis*, który nawet flocie sułtana dał się nieraz we znaki, nieopodal Kandyi, na otwartym morzu spotkawszy się z angielskim okrętem, napadł nań zdradziecko swemi trzema galarami.

Anglicy musieli się bronić,— w godzinę później z trzech statków rozbójniczych na powierzchni morza nie było ni śladu, tylko pozostałą flagę kapitan *Murisson* przywiózł na swoim okręcie do Stambułu i posłał sułtanowi.

Padyszach ucieszył się bardzo śmiercią groźnego rozbójnika i żywo objawiał swą radość.

Tryumf anglików święcony był w haramie wspaniałą iluminacją, a następnego dnia, *Murisson* kapitan okrętu otrzymał zaproszenie do pałacu i mnóstwo podarunków.

Przez całą noc trwała zabawa. Sultana wina nie żałował, odaliski raczyły się niem bez końca, a sułtanka, odurzona trochę pieniącym szampanem, kazała przynieść cudowne pióro i męczyła ducha tysiącem nedorzeczných pytań. To chciała się dowiedzieć, ile jest włosów w brodzie *Mahmuda*, to znowu pragnęła się przekonać, czyli duch zgadnie ile koni znajduje się w stajni padyszacha, ile wojska na morzu.,

Nareszcie, wśród żartów i śmiechów rzuciła pytanie, ile godzin żyć ma jeszcze na świecie?

Tak piękna i młoda! Ma przed sobą długie lata szczęścia i rozkoszy...

A jednak sułtan poruszył się niespokojnie i pobladł—są pytania któremi nie należy kusić Allaha.

Pióro nie chciało pisać.

Sułtanka zaczęła się gniewać i krzyknęła ze złością:

— Mów, albo ci każę liczyć krople w morzu.—
Odpowiadaj! ile godzin mam żyć jeszcze?

Po pewnym wahaniu pióro zaczęło się poruszać, wydając trzy ciche, niewyraźne, zbliżone nieco do płaczu lub jęku, i napisało cyfrę 8, a potem kropkę na znak, że już skończyło.

Głośny śmiech rozległ się po sali.

Duch jest dowcipny i chce się zemścić za trudne pytania, któremi dręczy go sułtanka.

Wybiła trzecia po północy. We wszystkich salach powtórzyły ją zegary. Odaliski wypocząwszy trochę, wróciły znowu do tańca. Potem eunuhowie wprowadzili drewniane lalki na scenę urządzoną z pewnym gustem i znajomością rzeczy i rozpoczęło się przedstawienie, za którym przepadają turczynki.

Faworyta nie mogła jednak zapomnieć fatalnej ósemki, a gdy wybiła czwarta, z uśmiechem na twarzy, spytała drżącym głosem:

— Duchu, jeżeli jeszcze pamiętasz, powiedz mi, ile godzin mam żyć?

Pióro napisało „7“.

Wszyscy zadrżeli.

Chcąc całą kwestyę w żart obrócić, Mahmud do tańca nakłaniał i o duchu zapomnieć radził.

Wrócono do zabawy.

Wybiła piąta.

Wysunawszy się z grona współbiesiadników, młoda kobieta powtórzyła duchowi poprzednie pytanie, i ujrzała cyfrę 6 wypisaną jak najwyraźniej.

Coraz mniej godzin!...

Tknięty do żywego zmartwieniem ukochanej odaliski, chcąc z pięknego czoła smutne myśli odpędzić, sułtan radził żeby spać poszła. Sam zaś po krótkim spoczynku udał się do swoich komnat, aby zmienić ubranie, gdyż za kilka godzin miał się ukazać w sali narad.

Zbudziwszy się ze snu, sułtanka zaraz spojrzała na zegar, który wskazywał siódmą. Potem kazała przynieść pióro i z bijącym sercem zadała mu fatalne pytanie.

„Już tylko 4”.

Sułtan kazał poprosić Murissona.

Czuąc się panem na swoim okręcie, angielski marynarz, po długich wyprawach na Wschód i Południe, tak się już przyzwyczał do różnych wizyt dworskich, że wiele z nich sobie nie robiąc, rozglądał się tylko i co najciekawsze w dzienniku zapisywał.

Zaprosiny padyszacha nie wydały mu się łaską ani zaszczytem, interesowały go jednak trochę, jak polowania na słonie, sekretne posiedzenie kwaków lub podróż balonem.

Ubrał się w karmazynowy mundur, wsadził na głowę paradny kapelusz, i w towarzystwie izogłana, z kaiku, w lektyce nieść się kazał.

Wprowadzony przez wielką bramę „wodotrysków“, czekając kilku minut w olbrzymiej „sali lwów“, rozglądał się i szkicował coś naprędce.

Odjęto mu szpadę, ponieważ przed obliczem sułtana z bronią stawać się nie godzi, ubrano w kaftan obszyty futrem. Nie wiedział prawie, kiedy i jak się to stało, zajęty rysowaniem, później dopiero spostrzegł, że jest zielony aż do pięty. Pokiwał głową i przez „salę siedmiu wodzów“ kazał się prowadzić do sułtana, który go oczekiwał.

Wszedłszy do głównej sali, powitał padyszacha, jak gdyby króla Karola lub Jerzego.

— Skłoń się nisko, panie, jeszcze niżej: do ziemi,—szepnął tłumacz.

— *God damel* ani myślę. Nie wypada kłaść się na ziemi w tym mundurze.

— Dlatego właśnie daliśmy ci kaftan—zauważył żartobliwie tłumacz. — U nas taki zwyczaj.

— Głupi zwyczaj!—mruknął anglik, a po namyśle, niby przypadkiem upuścił kapelusz i schylił się aby go podnieść. Następnie zaś wyprostował się jak trzcina i tak pozostał do końca.

Sułtan wyrzekł uprzejmie słów kilka, na poczekaniu zaraz tłumacz rozwinął z nich długą mowę, na dowód, że umie i to wypowiedzieć co jego pan miał dopiero na myśli.

Nazywał anglika hippopotamem, koniem rzeźnym, który swemi kłami przebił krokodyla, ogłuszył go trąbą, a kopytami zdeптаł na śmierć. Po

tem co zdziałał, ma słuszne prawo zasiąść pod skrzydłami płaszcza wielkiego władcy wiernych.

Jeżeli zechce, może żądać nagrody połowy królestwa i t. p.

Gdyby kto w takich okolicznościach naprawdę zażądał owę połowę królestwa, danoby mu tę, która znajduje się w łonie ziemi.

Anglik za łaskawą ofertę grzecznie podziękował, prosił tylko żeby mu sultan przedstawił jedną z żon, którą najbardziej kocha.

Tłumacz zadrżał, usłyszawszy śmiałą prośbę, twarz sultana okryła się bladością, mięśnie drgały konwulsyjnie, jak gdyby pod wpływem miotających nim sprzecznych uczuć.

Gęste brwi dumnie ściągawszy, śmiertelnie obrażony spojrzał na anglika.

Murisson zżymał się tylko sam na siebie, że w podobny sposób brwiami poruszać nie jest w możności, ponieważ są jasne i trochę za wysoko umieszczone.

Tymczasem tłumacz czułemi słowy przekonać go usiłował.

— O, przezacny giaurze—mówił—różany kwiecie angielskiego narodu, który władasz morzem, nie żądaj tego od naszego pana! Spójrz w jego zagniewane oczy i powiedz, żeby ci oddał połowę swoich skarbów, wszystkie niewolnice, lecz nie chciej oglądać twarzy sultanki! Ty nie wiesz jak okropne jest twoje żądanie!

Murisson ramionami wzruszył.

— Nie chcę waszych niewolnic ani skarbów, pragnę tylko zobaczyć sultańską faworytę.

Mahmud zadrżał, lecz nie powiedział ani słowa. Tylko łza błysnęła w dużych ciemnych jego oczach i potoczyła się po bladej twarzy.

Na ten widok zerwali się wszyscy, a z pomieszanych krzyków domyśleć się było nie trudno, że chcą śmierci anglika,

Tłumacz padł na ziemię, wołając:

— O, ty, pogromco wielorybów! psie niewierny! Widzisz mnie u stóp swoich, podła gadzino, i nie chcesz zwolnić z obietnicy, którą sultan wyrzekł przez moje usta. Czyliż się nie wstydzisz deptać nogą po głowie pana! Żądaj czego innego!

Wszystko na próżno, anglik przekonać się nie dał. Ze zwykłym spokojem powtórzył raz jeszcze:

— Chcę widzieć sułtanę.

Z wściekłym krzykiem turcy do Murissona przypadli, on jednak przytomności ani na chwilę nie stracił; lecz widząc bliską burzę, uważał za stosowne zrzucić z siebie kaftan, by odkryć mundur znany i szanowany w całym świecie, a z nim błyszczące orderzy, pamiątki z pod Trafalgaru i Aleksandryi.

Padyszach zstąpił z wysokości tronu i niemym gestem jenerałów swoich pożegnał, szepnął coś do ucha kislara agi, który wyszedł natychmiast.

Złożywszy niski pokłon jenerałowie, opuścili komnatę.

Potem weszli dwaj czarni eunuchowie z szablami, w czerwonych fezach i białych szatach.

Prócz sułtana i anglika, w gwarniej przed chwilą komnacie nie było nikogo.

Wielki zegar wydzwonił trzy kwadranse na jedenastą.

Sułtanka raz jeszcze zwróciła się z pytaniem do ducha zaklętego w piórze.

Odpowiedziało, że tylko $\frac{1}{4}$ godziny.

We drzwiach ukazał się kislar aga.

Drżąca, niby zbłąkane jagnię gdy ujrzy wilka, spytała po co przyszedł?

Skłoniwszy się aż do ziemi, kislar aga do stojącej opodal dozorczyńni się zwrócił i szepnął z cicha:

— Czy sułtanka odmówiła już modlitwy?

— Tak, panie.

— Ubierz ją w najkosztowniejszy kaftan, opasz trzema rzędami pereł i złotego brylantami wysadzanego ptaszka wepnij ję we włosy.

Nie mówiąc ani słowa, sułtanka pozwoliła się ubierać.

Obrzuciwszy ją welonem, zasianym w srebrne gwiazdki, dozorczyńni poszła z nią razem do drzwi porcelanowej sali. Tutaj wskazawszy gdzie ma się udać, kislar aga puścił ją samą.

Przy każdych drzwiach stało dwóch ludzi na straży, ostatnie tworzyła ciężka zasłona z perskich dywanów.

Za tą zasłoną, sultan przyjmował anglika.

Odaliska nie spostrzegła cudzoziemca, gdy stał na uboczu, ujrzała tylko padyszacha, który siedział na tronie blady, lecz spokojny. Podbiegła ku niemu i wtedy dopiero ujrzała Murissona, wpatrzonego w jej uroczą postać.

— Giaur! — jęknęła głucho, kryjąc twarz i uciekając w objęcia małżonka.

Wówczas Mahmud za rękę ją przytrzymał i w obec niewiernego ściągnął zasłonę z twarzy odaliski.

Krzyknęła, jak gdyby pod dotknięciem gadu. Potem do nóg swego pana się rzuciwszy, błagała o litość.

W oczach sułtana błysnęły łzy ciężkiego bólu.

Biędna, któżby nie zapłakał nad jój losem.

Murisson z galanterią się uklonił, a ponieważ nie było pod ręką tłumacza, powitał odaliskę zwykłym tureckim pozdrowieniem.

— Salam Alekim.

Oczarowany wdziękami sułtanki, zapomniał na chwilę, że to jest żona padyszacha; zdawało mu się, iż ma przed sobą piękną córę Albionu, jedną z podobnych czarodziejek, z którymi na uroczystościach dworskich się spotykał.

Cała we łzach odaliska z ziemi się podniosła; wzruszony jój cierpieniem, Mahmud opuścił welon i skinął na kislara agę. Ten ujął białą dłoń sułtanki i spieszenie wraz z nią się oddalił. Jednocześnie także wyszli dwaj eunuchowie, stojący nieopodal tronu.

Blady jak trup sułtan zasłonił oczy.

Po chwili, głuchy jęk, niby przeciągłe westchnienie przerwał głęboką ciszę zalegającą salon.

Mahmud zatrzęsł się jak w paroksyzmie febry, na wszystkich zegarach wybiła jedenasta.

Sułtan powstał z tronu i szepnął z trudnością oddychając:

— Allach tego chciał. Taka była jego wola.

Następnie rzekł do Murissona czystym włoskim akcentem.

— Widziałeś ją? czy ładna?

Zdumiony, że sułtan który zwykle używa tłumacza, potrafił rozmówić się po włosku, Murisson nie mógł w pierwszej chwili znaleźć odpowiednich wyrazów.

— Chodź, zobaczysz ją raz jeszcze—rzekł Mahmud, prowadząc go za portyere.

Anglik cofnął się przerażony.

Uroczą, pełną życia odaliska leżała blada, martwa, z zamkniętymi oczyma i zastygłą piersią. Tylko na białej szyi rysował się delikatny, różowy paseczek—to ślady sznura!

— Ach! co za barbarzyństwo! — zawołał anglik, od przytomności odchodząc.

— Tak giną kobiety, na które padnie wzrok chrześcianina—odrzekł chłodno sułtan.

Potem dał znak Murissonowi, ażeby się oddalił.

Jak szalony, anglik na okręt pospieszył, kazał spuścić kotwicę i odpłynął nie czekając wschodu słońca, prześladowany wspomnieniem sułtanki, którą zgubił swoim wzrokiem.

— Widzisz, ach! widzisz — powtarzał Mahmud całując zmarłą—dżin prawdę mówił. Sułtan kochał cię do śmierci, a jednak zamordował!...

Z boleścią w sercu, kilkakrotnie powtarzał te słowa—potém na stopniach tronu zmarłą położywszy, rozdarł szaty na piersiach i szepnął ze łzami:

— Teraz, sprawdzi się reszta!

Spełniło się wszystko. Od wschodu i zachodu, północy i południa, nadciąga nieprzyjaciół, zbliża się straszna burza, która wstrząśnie olbrzymim dębem osmanów i połamie konary rozrośnięte szeroko.

Ali, dusza Janiny, pierwszy pochodnię buntu zapalił i od Morei aż do Smyrny zniszczył co było na drodze, od północy zagraża oddział Ypsylantego; grzmiące okrzyki wiernych rozlegały się nad brzegiem Dunaju, u stóp Olympu i pod murami Aten. W Stambule, na każdą wieść o nowej klęsce, janczarowie kąpią się we krwi greków, a gdy niebezpieczeństwo doszło do najwyższego stopnia, szach perski wtargnął na czele swoich ludzi, aby zająć Bagdad.

Sułtan wcale nie myślał o śmierci. Pragnął żyć i panować. Człowiek słabego umysłu, wołałby rzucić berło i koronę i w Arabii pod cieniem palm wieść rozkoszne życie, podczas, gdy tutaj w kraju czekają go wojny bez końca, a dzień dzisiejszy w następnym widzi swego wroga. Tron stał się podobnym do beczki napelnionej prochem, w około której uwijają się ludzie z płonącymi lontami.

A jednak Mahmud pragnął siedzieć na tym tronie!

Często z haremu wymykał się nocą i samotny przyglądał się z wieży obrotowi gwiazd, przysłu-

chiwał się gwarowi płynącemu od miasta, łowił uchem śmiertelne jęki nieszczęśliwych ofiar, gdy na ulicach powstał ogień, świadectwo dzikiej zemsty janczarów. Ogarniało go wtedy ostre, przejmujące tchnienie, jak gdyby lodowaty wichur nadciągał z północy — delikatne odaliski drżały z zimna — chłód owiał sypialnię.

To był wiatr dotychczas w Stambule nieznany. Mahmud wiedział z kąd on pochodzi i jakie ma znaczenie, a jednak śmiało spoglądał w przyszłość, od której nic dobrego nie mógł się spodziewać.

Dzieci Czerkiesa.

Działo się to w czasach, gdy Kasi Mullah nie był murszidem (najwyższym przedstawicielem wiary) lecz prostym szeikiem w małym miasteczku Himri.

Sama natura uczyniła to miasteczko warowną, trudną do zdobycia twierdzą. Olbrzymie skały ciągną się z obydwóch stron podwójnym murem, wysokim aż do nieskończoności; w osłoniętej zimą i latem dolinie, wznosi się trzecia grupa skał, a za nią wzgórze, z których sączą się dwa źródła. Wzgórze jaśnieje zielonością, która daje wyborną paszę.

Ponad długim łańcuchem gór, na powierzchni skał sięgających dziewięćdziesiąt przeszło stóp wysoko, widnieje płaszczyna zbudowana z kwadrato-

wych kamieni, olbrzymich kształtów. Dziwny kaprys natury stworzył na niej baszty, wieże, strażnice i szańce, nadając całości pozór warownej twierdzy, który uderza na pierwszy rzut oka. Rozejrzawszy się tutaj, nie potrzeba być wytrawnym strategikiem, aby przyjść do wniosku, że z pomocą czterech armat w takiej fortecy znacznym siłom można stawić opór, zwłaszcza, że w górach bydło i owce na wyżywienie załogi pasłyby się bezpiecznie choćby całe lata.

Co za myśl! Komużby przyszło do głowy oblegać Himri, małą czerkieską wioszczynę, której spokojni mieszkańcy, oprócz bydła, kóz i pięknych dziewczek nie posiadają nic zgoła. Któżby ciągnął armaty i wojsko na tych pocziwców, trudniących się przez całe swoje życie wyrobem serów i wyprawą kozich skór, którzy jeżeli walczą kiedy, to chyba z niedźwiedziem, a strzelają tylko do kozłów.

Skromni i prości, pobudowali chaty nie w owęj fortecy, na skałach, lecz u jej stóp, niby gniazdeczka. Na każdej znajduje się gołębnik, przed chatą zaś ogródek, a zamiast od przybyszów bronić się strzałami, oczekują ich na drodze, zapraszają do domów, przyjmują jaknajczuliej, do dłuższego pobytu zachęcają. Jeżeli gościem jest człowiek młody, przystojny, najpiękniejsze oczy płaczą po jego odjeździe.

Któżby pomyślał kiedykolwiek, usypiając przy dźwiękach pieśni pełnych marzenia, że przyjdzie czas, w którym strumienie krwi zabarwią te skały, a tysiące ludzi znajdą śmierć u stóp gór...

Dom szejka nie wyróżnia się niczém od innych;

zbudowany z drzewa, składa się z trzech komnat; dwa piękne orzechy rozsiadły się przed chatą.

Kasi Mullah znajduje się na ganku, ocienionym z dwóch stron długimi pędami indyjskiej fasoli. Zawiesił na gwoździu dwanaście drobnych rzemyków z koziej skóry, i z uroczystą powagą, nader pilnie plecie z nich bat.

Tuż obok na szeroko rozłożonej niedźwiedziej skórze, z podkulonemi nogami, spoczywa obcy człowiek. Zarówno rysy, jak ubiór, zdradzają w nim cudzoziemca, kilka mułów do drogi już gotowych czeka na niego pod gankiem.

Jest to bogaty kupiec, aż ze Smyrny, corocznie odwiedzający czerkieskie siola. Handluje skórami, i posiada już trzy pałace w Smyrnie, trudno nawet uwierzyć, żeby na skórach tak się zbogacił. I tym razem także muły uginają się pod ciężarem skór przeróżnego gatunku; gość popija nędzny napój przygotowany z kobyłego mleka, niemiał woń przewybornym tytoniem odpędzić się starając.

Gospodarz wykończa podarunek dla gościa. Jest to długi bicz z pięknych rzemyków, zakończony białą trzaskawką, z końskiego włosa. Robota już gotowa—czerkies trzaska na próbę tak zawzięcie, aż przestraszony grek zasłania oczy, żeby ich nie stracić.

— Prześliczny bat—odzywa się nareszcie—tylko dajcie już spokój! trzaskacie już ze dwie godziny.

— Czy dobry, później dopiero się dowiem—mówi czerkies najspokojniej w świecie.

— A to jakim sposobem?—zapytuje grek.

— Gdy dzieci powrócą.

— Twoje dzieci?

— No, zapewne! Cóż mnie obchodzą dzieci cudze?...

— Przecież chyba na nich nie spróbujesz bata?

— A to na kim? Dziecko powinno być bite, aby było dobre, uczyło się porządku i nie myślało o głupstwach. Bicie zawsze się przyda, gdyż przyzwyczajają człowieka do znoszenia drobnych cierpień, aby potem, gdy go dotknie cięższe, mógł mu dać radę. I mnie także bił ojciec, za co go dzisiaj błogosławię całym sercem, gdyż zrobił ze mnie uczciwego człowieka. Dziecko posiada z natury bardzo wiele złych skłonności—kto je wypędza, czyni mu łaskę prawdziwą.

— Lecz nie bijesz dzieci bez słusznego powodu?

— O to mniejsza — powód zawsze się znajdzie. W każdej chwili możesz się z nim spotkać, gdyż dziecko błądzi na każdym kroku. Kto na podobne błędy nie zważa, źle czyni, jest-to gospodarz, który nie wyplenia chwastów z ogrodu.

— Kasi Mullah,—rzekł gość, puszczając olbrzymie kłęby dymu — a ja ci mówię, że ty nie powinienś mieć dzieci, bo nie umiesz ich wychowywać. Co prawda, w waszym kraju nikt o tém nie ma pojęcia!

— A dlaczego mamy najdzielniejszych synów i najpiękniejsze córki?

— O wieleż byłyby dziewczyny piękniejsze i dzielniejszymi chłopcy, gdyby ich chowano w oj-

czyźnie cudnej Bryzei, oraz szybkonogiego (podas okiös) bohatera, Achillesa. O, Helladol...

Wymówiwszy tę klasyczną nazwę, grek wpadł w egzaltację i puścił z cybucha kilka kłębow dymu, w których cały Olymp mógłby utonąć jak w chmurach.

— Jeszcze raz ci powtarzam — mówił dalej — że dzieci są darem Boga; kto bije dzieci, podnosi rękę na Stworzyciela, który opiekuje się maleńkimi. Popełniasz ciężki grzech. Daruj mi twoje dzieci!

— Tyś chrześcijanin, a ja wyznawca Mahometa — mógłbyś moje dzieci wychować?

— Chciój mnie zrozumieć. Ja nie mam zamiaru trzymać ich przy sobie, lecz postaram się o wyszukanie miejsca, w którym czeka ich świetna przyszłość. Oddałbym je któremu z baszów, może nawet samemu sułtanowi, lub też na opiekę jednego z dostojników, który bardzo kocha twój naród.

— Dziękuję ci, Midasie — nie oddam moich dzieci nikomu.

— Nie nazywaj mnie tak, proszę cię bardzo... To fatalne imię — znasz mnie nie od dzisiaj — dziesięć lat handluję z tobą, mógłbyś już pamiętać, że jestem Leonidas Argyrocantharydes, potomek w prostej linii dzielnego Leonidasasa, który na czele trzystu spartańczyków znalazł śmierć pod Termopilami. Jeden z moich przodków zginął pod Issus, przy boku Aleksandra Wielkiego, zasłaniając monarchę własnymi pierściami, przed mściwą ręką jednego z perskich satrapów. Jeżeli nie wierzysz,

przyjrzyj się téj staréj sztuce złota, a nawet i wszystkim, jakie mam tutaj w worku. Pochodzą one z czasów Filipa Macedońskiego, Michała Kantakuzena i Konstantyna Porphyrogenity, sławnych cesarzów greckich, którzy mieszkali w Konstantynopolu, nazwanym teraz Stambulem i zbudowali kościół świętej Zofii, w którym dzisiaj zamiast chrześcijańskiego duchowieństwa modlą się derwisze. Przyjrzyj się uważnie wizerunkom odbitym na tych pieniądzach, i powiedz, czy nie jestem kubek w kubek do nich podobny?... A co — nieprawda?... A teraz zabierz sobie złoto, a mnie daj dzieci.

Czerkies, który wziął worek, i w najlepszej wierze rysy byzantyjskich monarchów porównywał z twarzą kupca, usłyszawszy o co idzie, związał go spieszenie i oddał gościowi.

— Dziękuję ci — rzekł chłodno — handluję skórąmi kóz a nie ludzi.

Na chytréj twarzy greka odbiło się zdziwienie. Nie każdy odgadł z taką łatwością, co jest istotnym przedmiotem jego handlu, a w razie gdyby domyślił się nawet, nie śmiał mu tak otwarcie rzucić prawdy w oczy. Tam dalej, ku południowi, ludzie są lepsi i łagodniejsi, można się z nimi potargować, przyjmując zaliczki nawet na niemowlęta. Za dziesięć do dwudziestu denarów sprzedadzą dwuletniego dzieciaka — a gdy ten dojdzie do lat trzynastu, jaśnie wielmożny basza da za niego dziesiątki tysięcy. Takim to sposobem powstały owe piękne pałace handlarza skór.

— Bredzisz, pocziwy Czorbacziu — rzekł znowu

kupiec uspokoiwszy się nieco. Mógłbym ci tego dowieść, że nie masz racyi, ale nie chcę, wierz mi szczerze. Bo i na cóż mi się to przyda?... Po pierwsze: ty wcale dzieci nie sprzedasz, a powtóre: czemużbyś ich nie miał sprzedać. Gdy czerkies, z niedźwiedzią skórą na plecach, przyjdzie po twoją córkę i poprosi o nią — czyż mu jej nie przehandlujesz? Cała różnica, że on ci da dwanaście krów albo tyleż osłów, ja zaś chcę wypłacić okrągłe tysiąc piastrów, dla beya lub samego sułtana, a tobie jeszcze nie dosyć.

Czerkies niecierpliwić się zaczynał, jeszcze chwila a wybuchnie złością. Wiedział dobrze, iż kupiec nie ma racyi, lecz prosty jego umysł sofizmatów przebiegłego greka odeprzeć nie był w stanie. Prawda, że wielka to różnica oddać dziewczynę czerkiesowi za dwanaście sztuk bydła, a władcy Rumelii za tysiące piastrów — jednak swój ma pierwszeństwo.

Przebiegły grek śledził wrażenie słów swoich na twarzy czerkiesa, niby lekarz robiący doświadczenie na żywej żabie lub króliku.

— A jednak nie wątpię, że dzieci sprzedasz, widzę to, Kasi Mullah—rzekł po chwili kupiec, nakładając świeżą fajkę. Mądry jesteś, znam ja się na tém wybornie. Pewno zrobiłeś już układ z kim innym! Bagdacki handlarz obiecuje dać więcej—no, tak — oni mogą płacić, bo tylko tém się trudnią i zarabiają wielkie sumy. Co za chytry naród, ci armeńczycy! Kupują za marne pieniądze chłopaka lub dziewczynę, w ośmnastym roku życia sprzedają wielkim panom, a w dwudziestym

przychodzą suchoty lub febra i na tém koniec.— U mnie inaczej. Jestem człowiek uczciwy — spełniam dzieło chrześcijańskiego miłosierdzia. Dość, gdy ci powiem, że przyszedłem na świat w miejscu pobytu Arystydesa. Przodkowie moi zasiadali w areopagu... Nie myśl, braciszku, że ja każdemu robię to co tobie; tylko dla najserdeczniejszych przyjaciół mogę się podjąć takich trudów, przyjaźń to rzecz święta!... Kastor i Polluks są przykładem siły, jaka ożywia to uczucie! Gdzie się ukażę, wszyscy mnie błogosławią, całują moje stopy. Córka georgijskiego obywatela, którą ojciec powierzył w moje ręce, jest teraz najpierwszą sługą żony egipskiego beya. Nie myśl, że to fraszka! Syn biednego pastucha nakłada fajkę baszy Saloniki, to już dygnitarz!... zupełnie jak Ganymedes, za dawnych klasycznych czasów, przy boku Jowisza!... Ach! lży zaciemniają mi wzrok!... O, Helado!...

Pozwalając gościowi płakać, ileby zechciał, czerkies groźnie się nachmurzył, a podjąwszy na nowo młotek, stukał nim ze złością i przybijał mosiężne gwoźdźniki do bata.

— Kasi Mullah—rzekł Leonidas Argyorcantharides podniesionym głosem, gdyż inaczej, przy silném stukaniu nie mogliby się zrozumieć; — dotąd żartowałem, teraz zaś chcę pomówić na seryo. Powinieneś, kochany przyjacielu, zastanowić się poważnie nad losem twoich dzieci; jestem twój stary znajomy, pragnę ich dobra, kocham jak gdyby były moje własne i płaczę przy każdym rozstaniu. Co z nich będzie gdy dorosną? Tylko mi

nie przerywaj! Dobrze to wszystko póki ty żyjesz, ale gdy ciebie zabraknie... Możesz umrzeć dziś albo jutro—wszyscy jesteśmy w mocy Boga. Powiem ci coś wcale nie na żarty, czego przecież z palca nie wyssałem: Topał basza już się dowiedział, że masz dwoje prześlicznych dzietek, nikczemni handlarze z Erzerum wysledzili to kiedyś, przy sposobności, znajdując się w tych stronach, i podobno nawet dał im już zaliczkę. Nie masz pojęcia co to za brudny człowiek—przekleństwo każdemu kto się do niego zbliży!... Wiem ci ja, wiem, Kasi Mullah, podli wysłańcy Topała zawarli z nim umowę i zobowiązali się odstawić mu dzieci jeszcze w tym roku. Cóż ty poradzisz? Powiesz zapewne, że ich zrzucisz w przepaść—myśl dobra! nie mam nic przeciwko temu! Uprzedzam cię jednak, że oni mają rozum; nie przyjdą jak ja na przykład, z tobą się umówić zgodnie, po przyjacielsku załatwić sprawę, lecz zaczaiwszy się w lesie, gdy nikt nie będzie widział, schwytają twego syna i córkę, i uniosą Bóg wie jak daleko. Lub co gorzej, w chwili gdy spokojnie, zapomniawszy o niebezpieczeństwie, zasiądziesz przed chatą, oni cię wypatrzą—wycelują—kulka świśnie ci nad uchem i—już po tobie, a dzieci zostaną w ich mocy. Cóż ty na to? he? Powiedz mi z łaski swojej, czy należy odemnie się odwracać, czyli też lepiej posłuchać rady przyjaciela.

Szeik milczał, ważąc każde słowo. Nie lubił dużo mówić, rozmyślał, zastanawiał się, snuł tysiące obrazów. Widział już swoje dzieci w marmurowych komnatach, ustrojone w różnobarwne su-

kienki... grube łapy beya dotykają ich delikatnych twarzyczek—krew uderza mu do głowy—płoni się dziewczątko, chłopak zadrżał — pan uśmiecha się łaskawie.

Tak rozmyślając szeik trzaskał batem coraz mocniej—grek strachem zdjęty do ściany się cofnął i zasłonił uszy.

— Przestań już, proszę, kochany synu — wołał — moje muły wystraszą się i uciekną. Gdzie będą ich szukać? Wierzę całém sercem, że twój bat jest wyborny, tylko już nie trzaskaj! Złóż go—tak—doskonale—ja nie zapomnę za brać go z sobą. Dobrze, iż mi nie wybiłeś oka, serdecznie się cięszę. Ale pomówmy spokojnie. Powiedz, jak sądzisz—czy jestem uczciwym człowiekiem?

Czerkies nie drgnął nawet.

— Dobrze, nie wątpisz o tém, jesteś najmocniej przekonany. Od Pauzanasza nie było ani jednego zdrajcy w naszym narodzie, a i ten w świątyni замуrowany został. Jestem szczery, otwarty, znasz mnie dobrze. Posiadam jednak władzę, o jakiej nie masz wyobrażenia! O! pod tym zniszczonym kaftanem kryje się człowiek, którego nie domyślasz się wcale. Ja sam tylko wiem, kto jestem: znam wielkich panów, potężnych władców monarchii, o jakich nie słyszałeś nigdy w życiu. W jednej ręce trzymam Helladę, w drugiej dziedzictwo Osmanów, cały świat drży gdy ja się poruszę. Na co mi to wszystko? Dla świętych cieniów Milcyadesa, Temistoklesa i Demostenesa... dla ciebie wielki Solonie, Likurgu i Pytagoresie — przyjdzie czas, że dam tego dowód! Twoja pamięć, Atheno,

zapala mnie i krzepi... zbieraj skarby, święta bogini wolności szepcze mi do ucha—abyś miał znaczenie i wpływ na wielkich i na małych!

To powiedziawszy, grek zerwał się z miejsca i dał rękę czerkiesowi:

— Kasi Mullah! Ty jęczysz pod jarzmem, które i nam dolega, ciężko dolega, otwarcie ci mówię. Złączmy się przeciw naszym prześladowcom, stopmy serca wodzów najsilniejszym ogniem, płomieniem oczu czerkieskich i greckich dziewic oplączmy ich siecią utkaną kwiatami.

Szeik podanej ręki nie przyjął i odparł chłodno, z miejsca się nie ruszywszy:

— Przykro mi, zacny gościu, że poczęstowałem cię napojem, który, jak uważam; idzie ci do głowy, gdyż nie mówiłbyś głupstw, iż w imię swobody, chcesz wolnych ludzi sprzedawać wrogom. Że jęczymy obaj pod jednem jarzmem, to także kłamstwo—nikt nie gnębi czerkiesów, lecz gdyby tak było, czyżbyśmy zechcieli się bronić oczyma naszych córek?... Nie mówmy o dzieciach, gdyż nie dam ich nikomu. Kto mi będzie płacił temu od mówię, kto zechce je uprowadzić tego zbiję jak psa, a gdyby próbował użyć siły—zamorduję. Powiedz to owym handlarzom, i mówmy o czém innym.

Oblicze greka wyciągnęło się fatalnie. Zły, niemal wściekły, palił fajkę tak zawzięcie, aż na obydwóch policzkach uformowały się dwie głębokie bruzdy, niby dwa doły, a brwi mocno zmarszczone zeszyły się razem.

Trząsł głową okrytą czerwonym fezem, to w tę, to w ową stronę i poparzył palce napychając tytoń.

— Dobrze już, dobrze, Kasi Mullah. Ty jesteś dzielny człowiek... Zobaczmy, zobaczmy...

Słońce zniżało się ku zachodowi; od czasu do czasu odgłos dzwonek powracającej trzody rozległ się w dolinie u stóp skał.

Pięćdziesiąt krów białych jak mleko, starannie utrzymanych, jedna po drugiej weszły kolejno na dziedziniec szeika. Za krowami ukazały się dzieci Kasi Mollaha, pełniące obowiązki pastuszków. Chłopiec miał najwyżej rok dwunasty, dziewczynka niewiele młodszą się zdawała, a tak podobni do siebie, że z profilu odróżnić ich nie było można. Oboje mieli czarne włosy, spadające w lokach na ramiona, białe, lekko zarumienione twarzyczki, delikatne niby aksamit, rzekłbyś nie zaznały słońca. Na licu chłopczyka maluje się dziewczęca nieśmiałość, twarz siostry zdradza energię i siłę, możnaby wziąć jedno za drugie, gdyby zechcieli na ubranie się zamienić.

Gdyby dziewczynka nie miała na sobie gorse-cika, niezbędnego stroju czerkiesek, który uwydatniał jej drobne kształty, wyglądałaby zupełnie jak starszy braciszek, zwłaszcza teraz, gdy idą razem, objąwszy się za szyję.

Czarne, błyszczące oczy dziewczynki spoczęły na twarzy brata, jak gdyby czerpiąc w niej odwagę, chłopczyk opasał ramieniem smukłą kibić siostry i z największą czułością coś do niej przemawia.

— Cudowne dzieci!—zawołał z uniesieniem Leonidas Argyrocantharydes. — Co za szkoda, gdyby miały zginąć w tym kącie poza światem!... Ale cóż u licha niesie ten chłopak? Co to jest! Bój się Boga, nie przynoś tu do mnie! Co to za jakiś potwór! Odsuń się, stań trochę dalej!

Z tryumfującą miną, chłopczyk przed handlarzem się zatrzymał, dziewczę pobiegło do ojca i objąwszy go drobnymi rączkami, ukryło zarumienioną twarzyczkę przed wzrokiem nieznajomego.

— Nie znasz małego niedźwiedzia? — zawołał chłopak silnym dźwięcznym głosem, a w miarę gdy mówił, ożywiał się coraz bardziej, zdradzając energię właściwą mężczyźnie.

I wlokące się po ziemi zwierzę podniósł do góry za tylne nogi. Był to młody, roczny niedźwiadek, zdobyty widać po ciężkim oporze, gdyż miał czaszkę rozłupaną na części.

— Zkąd masz to obrzydliwe zwierzę? Kto ci je dał?—woła Leonidas, kryjąc obydwie ręce poza siebie, jak gdyby się obawiał, że martwy niedźwiedź za chudą, kościstą łydkę uchwycić go może.

— Zkąd mam niedźwiedzia? Kto mi go dał?—powtarzał z dumą chłopak, skinąwszy na siostrę, jak gdyby własnego bohaterstwa się wstydząc.—Miljewo, opowiedz temu panu.

Czerkies patrzył z niechęcią na córkę i syna.

Nie spostrzegli jednak, że ojciec jest w złym humorze.

— Byliśmy w lesie—mówiła dziewczynka.—Thomar zrobił fujarkę, ja plotłam wianeczek, podczas gdy on wygrywał na niej prześlicznie. Aż tu w je-

dnęj chwili przypada giemza, a za nią kozłátko. Małe do mnie ucieka, jak gdyby ukryć się chciało, a matka biega w kółko i beczy. Zerwał się Thomar, patrzymy na wszystkie strony, a tam o kilka kroków od nas suną dwa młode niedźwiedzie, jeden trzyma w paszczy białe kozłą, którego matka wzywa nas na ratunek.

— Słuchaj, Thomar, powiadam, gdybym była mężczyzną, goniłabym niedźwiedzia, aby ratować kozłą.

— Myślisz może, iż ja zrobię inaczej! — woła Thomar i ująwszy kij, śmiało idzie na wroga. Jeden go spostrzegł, i w téj chwili wdrapał się na drzewo, drugi nie chciał puścić zdobyczy i ani się ruszył. O, gdybyście widzieli, jak Thomar łomotał kijem z całej siły, aż trysnęła krew, niedźwiedź puścił kozłátko, a ono becząc przeraźliwie, uciekło do matki.

Tak opowiadając, dziewczynka spoglądała z dumą na braciszka, ojciec pogłaskał ją łagodnie po rumianej twarzy.

— Wówczas—mówiła dalej — niedźwiedź rzuca się na Thomara i chwyta go zębami za kaftan. Pilnuj się! wołam, bo strach mnie ogarnął. Ale on nie bał się ani troszeczkę i wyjąwszy z za pasa nóż, pchnął nim niedźwiedzia!

— Oho—przerwał chłopiec — nie zapomnij dodać, że zanim zdążyłem wyjąć nóż, ty schwyciłaś zwierzę za uszy, chcąc je odciągnąć odemnie.

Z zachmurzonym czołem czerkies spojrział na syna, potem na córkę, a grek pokiwał głową i obie ręce podniósł do góry.

— O, zaślepiione, zuchwałe dzieciaki!

— Tak, istotnie — ciągnęła dalej dziewczeczka, strojąc poważną minkę—to jednak nie wiele pomogło. Niedźwiedź nam się wyrwał i z okropnym rykiem schronił się do jaskini. Zabrał nawet z sobą nóż, który utkwiał mu w czaszce. Thomar dostał ten nóż od Hassan beya—trzeba było go odebrać koniecznie. Co tu robić? Wsunął się za niedźwiedziem, ścisnął go za szyję i udusił, a potem wywlókł z jaskini.

Zimny pot wystąpił słuchaczom na czoła.

— Niedźwiedź był ciężki, Thomar udźwignąć go nie mógł, musieliśmy ciągnąć we dwoje. Należało się spieszyć, bo już niedźwiedzica wytropiła ślady i zaczęła nas gonić. Na samym skraju lasu zabili ją pasterze, a my przynieśliśmy młodego niedźwiadka.

— O, dzieci, dzieci!—zawołał handlarz — czyliż zapominacie, że gdyby to zwierzę raz jeden tylko po twarzy was drasnęło, jużbyście nie wyleczyli się do śmierci. Zasłużyliście, co prawda, żeby was ojciec oćwiczył nowym batem!

Tak się też i stało.

Doprowadzony do wściekłości, szeik uchwycił bat, drżąc jak gdyby trzęsła go febra.

Wchodzić do jaskini—co za szaleństwo! Wszak stary niedźwiedź mógł ich rozszarpać na części.

Czyliż nie zasłużyli na surową karę?

Thomar nie płakał, nie prosił, chociaż go to zaskoczyło znienacka, tylko usta zacisnął, wyprostował się i nie wydawszy jęku, nie drgnąwszy nawet, znosił ciężkie razy.

Miljewa padła do nóg ojcu, a piękne jój oczęta napełniły się łzami. Od płaczu się zanosząc, błagała go czule:

— Kochany ojcze, nie bij Thomara, nie bij! On nic nie winien, to ja go namówiłam, żeby gonił niedźwiedzia—on uległ moim prośbom!

Kasi Mullah odepchnął córkę.

Rzuciła się do brata i zasłaniając go swoją pierśią, powtarzała z uniesieniem:

— To ja jestem winna, ukarż mnie, ojcze—ukarż!

Chłopiec się wyrywał i nie jęknąwszy z bólu, rzekł:

— Wszystko nie prawda, Miljewa nie kazała mi tego robić, ona tylko patrzyła zdaleka. Nie była przy tém nawet. Nie bij jój, ojcze!

Dziewczynka trzymała brata za szyję; Thomar nie mógł się uwolnić z rąk siostry, a Kasi Mullah ujrzał się zmuszonym ukarać i córkę.

Widząc to, chłopak pochwycił bat i zawołał z płonąćym wzrokiem:

— Nie dotykaj jój, ojcze, ona jest niewinna! Bij mnie ile zechcesz, a gdy ją uderzysz, pójdę z domu i nigdy już nie wrócę.

— Ach, ty niegodziwy!—zawołał czerkies, rozwścieczony oporem syna, i wyrwawszy bat przemocą, spuścił go na ramiona dziewczynki.

Miljewa przestała płakać, zacisnęła usta i podobnie jak brat przymknęła oczy; za każdym drgnięciem jój delikatnego ciała, przytrzymując siostrę, Thomar zrywał się, niby lew raniony.

Czerkiesowi żal było córki, lecz się z tém nie

zdradził. Spostrzegłszy, że zadaleko już zaszedł, zaczął zwijać bat.

Thomar pochylił się nad siostrą, ucałował ślady razów, które spadły na nią z jego winy, potem złączyły się ich usta.

Było to pożegnanie.

Nie powiedział ani słowa, tylko wziął kij i fujarkę, a nie obejrzawszy się nawet, wyszedł z domu ojca.

Miljewa zalała się łzami.

— Ojcie—rzekła wśród łkań — Thomar odchodzi, aby już nie wrócić.

Stary czerkies milczał. Chłopiec nie spojrzał na niego, ani on na chłopca, chociaż obydwóch żał serdeczny ogarniać zaczynał.

— Wróci—rzekł w duchu szeik—głód go przypędzi.

Jednak Thomar nie wracał. Słońce dawno już zaszło, zerwała się burza, wiatr szumiał i świszcział po lesie, wilki wyły w górach.

— Ojczulku, każ go sprowadzić—prosiło dziewczę, patrząc w dal ciemną u okienka.

— Niech wróci z własnej woli—odparł zawzięty czerkies, nie puszczając córki.

— Czy słyszysz, jak deszcz pada strumieniem, jak wyją wilki?... Thomar jest sam na dworze, wśród deszczu i ciemności!

— Tem lepiej, to jest właśnie pogoda stosowna dla syna, który ojca porzucił — odpowiedział szeik, dodając w duchu:—pewno który z sąsiadów da mu przytułek.

Po północy burza ucichła, wspaniały księżyc

wyrzwał z za chmur. Tęskne echo fujarki oddalone, niewyraźne, doszło jednak tutaj oderwanemi dźwięki.

Ojciec i siostra nie mogli zasnąć.

— Czy słyszysz, ojczulku — rzecze Miljewa. — Thomar gra na fujarce, pozwól mi go zawołać!

— Zdawało ci się — odparł ze złością szeik. — To słowik śpiewa. Śpij!

Lecz sam również spać nie mógł.

Nad ranem ucichła fujarka. Stary czerkies udawał że śpi, głośno chrapiąc. Dziewczyna siadała na łóżku, aby się przekonać czy zasnął, a widząc, że oczy ma zamknięte, ubrała się co żywo i wybiegła z chaty.

Ojciec nie myślał jej bronić. Dawno już przebaczył synowi, a nawet, ściśle mówiąc, wcale na niego się nie gniewał.

Kochał go całą duszą i ukarał z konieczności za szalony postępek, który mógł życiem przypłacić.

Po jakimś czasie, rozległ się odgłos dzwonek; widocznie grek przepędziwszy noc pod gołym niebem, do wyjazdu się zabierał.

Szeik zerwał się z łóżka, aby go pożegnać i wyprowadzić w drogę.

Handlarz spieszył się jakoś bardzo; pakował swój towar prędko i niedokładnie, niejedno zostawiając. Monologował przytem, wymachiwał rękami i umilkł nagle, gdy czerkies ukazał się na progu domostwa.

— Chciałem właśnie pożegnać się z tobą, mój synu — rzekł słodko — po co wstałeś tak wcześnie?

Wróć do łóżka, bardzo cię proszę. Co za piękny dzień po wczorajszej burzy! *Salem alekum!* Zostań z Bogiem. Kłaniaj się odemnie wszystkim krewnym—ucałuj dzieci. Albo nie, o dzieciach wolę już nie mówić, ponieważ ci przyrzekłem, a co ja raz przyrzeknę, to... Cały mój targ na nic się nie zdał... ty jesteś uczciwy człowiek, Kasi Mullah, a przytem dobry ojciec — tak, ojciec jakich mało! Dałby Bóg, żeby wszyscy byli do ciebie podobni! Tembardziej żałuję, że nasz święty związek do skutku doprowadzić się nie da; ród hellenów i czerkiesów pod jednem jarzmem... nie sądzę, że nie mamy sprzymierzeńca. Nasz wielki sąsiad pomógłby nam z pewnością. Więcej nie powiem; mądrzej głowie, dość na słowie! Wy nie macie walecznych przodków, nie dążycie do sławy, wspomnienie Marathonu i Platei nie ściga was we śnie... Bóg z tobą, Kasi Mullah, życzę ci szczęścia, zabij dużo kóz i niedźwiedzi, to może ze skórami mniej będziesz się drożył. Ucałuj odemnie syna i córkę... Nie—nie chcesz?—No, zostańże z Bogiem!

Szeik odetchnął swobodniej, jak gdyby ciężki kamień spadł mu z serca, a czuły gość zdaleka jeszcze prawił wiele pięknych rzeczy o Leonidasie i jemu podobnych bohaterach.

Ale czerkies już tego nie słyszał, ponieważ zaraz wrócił do mieszkania i czekał na dzieci.

Leonidas Argyrocantharides żwawo poganiał muła paląc fajkę, a wjechawszy do lasu zaczął wyśpiewywać rewolucyjną pieśń „Hetairyi“, przyczem tak się zapalił, że jak szalony wywijał kijem potę-

żne młynki, żałując, iż niema blisko wroga, w którego mógłby trafić.

Popelniliśmy wielką niesprawiedliwość, posadzając handlarza, że napróżno trudził swe szacowne płuca. Przeciwnie—śpiewał on coraz głośniej, lecz rozglądał się przytem w lewo i w prawo, wiedząc dobrze co czyni. Obliczył dokładnie—widać takie sztuki nie były mu obce. Każdy, ktoby się ukrył w gęstwinie drzew, mógł do niego trafić. Zaledwie postąpił ze dwieście kroków, usłyszał głos dobrze znajomy.

— Ach! bardzo proszę...

Udawał z początku, że nie wie, z kąd pochodzi głos i kto to się odezwał, a zasłoniwszy oczy od słońca, którego blask wcale mu nie przeszkadzał, rzekł po chwili:

— Bodajże cię! To ty, mała Miljewa! Wybornie, żeśmy się spotkali—chodź-że tu bliżej!

Dziewczyna nie szła sama—wynałazła już brata i popychała go naprzód, zmieszana nieco. Thymar spuścił oczy, wstydząc się handlarza, który był świadkiem gniewu i kary jaka go spotkała.

Przed chwilą właśnie, namówiła go Miljewa, żeby do domu wrócił i przeprosił ojca. Chłopak przystał po długim wahaniu, nie dla siebie to zrobić lecz ze względu na siostrę.

— Co za szczęśliwy traf, żeśmy się zeszli!—zawołał kupiec.—Chodź do mnie, mała, nie bój się! Powiem ci coś, w sekrecie przed braciszkiem.

I schyliwszy się z siodła, dodał niby szeptem, dość jednak głośno, aby go usłyszeli oboje:

— Moje dziecko, nie prowadź go do domu w téj

chwili, gdyż ojciec gniewa się bardzo i myśli, że i ty także od niego uciekłaś. Pospieszyłem też zaraz, aby was uprzedzić i śpiewałem umyślnie, wiedząc, że zbliżycie się do mnie, gdy będziecie mogli trafić. Otóż, powiem wam, moi drodzy, że Thomar miałby rozum, gdyby się ukrył gdzie daleko, bo gdy odjeżdżałem, ojciec nabijał fuzyą i klął się na wszystko, że go psami wytropi i zastrzeli.

— Niech strzela!—mruknął chłopak usłyszawszy o co idzie.

Dobroduszny grek pokiwał głową.

— Nie bądź taki gorący—tłumaczył—na nic się to nie zda. Lepiej na parę tygodni ztąd się oddalić, a Miljewa tymczasem przeprosi ojca i ułagodzi... Choć, co prawda, Kasi Mullah i dla niej przygotował postronek.

— Co!—krzyknął Thomar, a z ocz jego strzeliły błyskawice—chce ją bić—Miljewę bić postronkiem!

Głos zamarł mu w piersiach. Biedne dzieci, objąwszy się za szyję, wybuchnęły płaczem.

— Biedactwa! kochane sieroty!—szepnął Leonidas, głaszcząc piękną główkę dziewczynki. Znać zaraz, że nie macie matki. Przysięgam, iż własną krwią radbym was bronić, napróżno jednak tłumaczyłem temu szaleńcowi, który rzuca się tylko, ni by wściekle zwierzę. Powiedział mi nakoniec, iż wasza matka nie była mu wierną i dlatego mści się na dzieciach.

— A więc dobrze, nie zobaczy nas już nigdy

w życiu! — zawołał Thomar, całując siostrę. Mam odejść, zabiorę i ciebie.

— Dokąd?—spytało dziewczę, trwogą zdjęte.

— Świat duży i szeroki—rzekł chłopiec z rezygnacją. Widziałem nieraz ze szczytu góry, że iść można przed siebie daleko, daleko. Ja pójdę jak najdalej.

— Co będziecie jedli, powiedz, kochany synu—zapytał grek.

Chłopiec zmieszał się, zaczerwienił — trwało to jednak chwilę—potem odzyskał dawną śmiałość.

— Mówiłeś, że potrzebujesz pomocnika, gdyż dawny poganiacz mułów w drodze cię porzucił, a teraz sam musisz wszystko robić. Przyjmij mnie na jego miejsce, nie żądam zapłaty, tylko pozwól mi zabrać siostrę i do roboty jej nie zmuszaj. Ja będę pracował za nią i za siebie.

Kupiec był rozczulony serdeczną prośbą malca.

— O, mój Boże!—zawołał—drogie dziecieczki, co też wy mówicie! Ty jesteś perłą młodzieży—szkoda tylko, żeś się nie urodził na wyspie Samos, ojczyźnie bohaterów. Nie będziesz poganiaczem, lecz moim synem, a ty, dziewczeczko, moją córką... Siadźcie na muły, w najbliższej wiosce znajdę poganiacza, nie jednego lecz dziesięciu gdybym potrzebował; podzielę z wami każdy kawałek chleba, zabiorę do pałacu i kochać was będę jak własne dziatki.

To powiedziawszy, uściskał dzieci, które chociaż zdumione jego łaskawością, przyjęły ją bez wahania.

Miljewa szepnęła cicho, patrząc mu w oczy:

— Ale później do ojca nas odprowadzisz?

— Czemużby nie?—i owszem! Przecież to mój przyjaciel. Gdy staniemy już na miejscu, zaraz do niego napiszę, że jesteście u mnie. Wyobrażam sobie, jak go to ucieszy. Zobaczycie wspaniałe miasta, morza, a na nich pływające trzypiętrowe domy! I ja mam pałace, na dziedzińcu każdego z nich pomieściłby się wasz ogród razem z chałtą; mam piękne sady, a w nich mnóstwo owoców, słodkich, soczystych, jak te, które przywoziłem wam czasem. Thomar dostanie ślicznego konia—czy lubisz jazdę wierzchem? Nie bój się, chłopcze, pomkniesz jak wiatr, i nic ci się nie stanie! Zobaczysz, co to za rumak! Biały jak łabędź—a może wolałbyś karego lub kasztanka? Mam ja ich dosyć—jest w czém wybierać! Jakże ty pięknie będziesz wyglądał na koniu, z szablą u boku, a cóż dopiero gdy wyjmiesz ją z pochwy! Damascenka, jakiej dotąd nie widziałeś, opasać się nią można, tak jest giętka i cieniutka. Mógłbym dziś jeszcze iść o zakład, że w rzucaniu dzirytem nikt ci nie wyrówna, i że dostaniesz sznur pereł, o który pięciuset tureckich młodzieńców pójdzie z tobą w zawody. Dasz go siostrze, sam ubierzesz jej głowę! Wyobraź ją sobie w jedwabnej sukni, opasaną szalem w złote kwiaty, wyćwiczoną w tańcu!... Ach, drogie dziateczki!

— A kiedy nas zaprowadzisz do ojca?—wtrąciła dziewczynka.

— O, to już później! Gdy Thomar zostanie sławnym człowiekiem, jako dzielny bey da się poznać ludziom, a echo jego wielkości dosięgnie aż

tutaj, wtedy może do ojca się wybrać. Przyjedzie na wspaniałym koniu, ubranym w złoto; za nim liczny orszak bohaterów, dalej piękna lektyka ciągniona przez muły, a w lektyce siedzi jakaś strojna, kobieca postać. Mnóstwo ludzi zatrzymuje się na gościńcu, każdy patrzy się i pyta: kto jest ten bohater, kto szlachetna dama?

Kasi Mullah siedzi przed bramą, a ujrawszy wspaniały orszak złoży niski ukłon, witając przejezdnych.

Wówczas ty zsiądziesz z konia, podasz rękę siostrze i oboje pójdziecie do ojca. On was nie pozna, Miljewa będzie wyższa, pełniejsza, ty z brodą i pewno niejedną blizną na twarzy... Kasi Mullah wprowadzi was do swego domu, każecie przynieść z powozów jadło i napoje i zmusicie go, żeby z wami zasiadł do uczty. Wtedy, najlepsza sposobność zapytać, czy miał dzieci i gdzie się one znajdują. Kasi Mullah nie może wstrzymać się od łez...

— O!—westchnęła dziewczyna.

— Nie! nie! tak zaraz nie dacie się poznać—nagła radość mogłaby mu skrócić życie, sprowadzić apopleksyą. Ty, Miljewo, nic się nie odzywaj, pozwól mówić bratu. Thomar powie naprzód, że słyszał coś o jego dzieciach, potem przyzna się, że widywał je często, że mógłby je tu przywieźć—nareszcie pada mu na szyję i woła: jam jest Thomar, a to Miljewa, twoja córka! Jakże to będzie ładnie!

Dzieci były ogłuszone, olśnione mową kupca i szły za nim z ochotą do najbliższej wioski. Tam,

szanowny Argyrocantharides urządził mały popas, i razem z dziećmi wszedł do najbliższej chaty aby się pożywić. Wyjął butelkę z winem, dał się napić obojgu, a wtedy pierzchnął smutek, zniknęła obawa; chłopak energiczny i rzutny, stał się zupełnie pewnym siebie, dziewczyna przestała wzdychać i wspominać o ojcu.

Greki oddał muły poganiaczowi, który jakoś zaraz się znalazł i kazał mu jechać gościńcem; trzy osiodłane konie stały już przed chatą, nasi podróżni, pokrzepieni winem, puścili się inną drogą. Dzieci były zachwycone końmi i głośnym śmiechem wyrażały swą radość.

Szeik tymczasem, czekał powrotu córki, pewny, że i zuchwały chłopak wróci z nią razem. Gdy nadeszło południe, udał się do sąsiadów, aby się zapytać, czy nie spotkali gdzie jego dzieci. Kobieta, która przed paroma godzinami powróciła z lasu, widziała oboje, jadących z greckim kupcem.

Kasi Mullah ryknął jak zwierzę ranione, usłyszawszy tę wiadomość.

— Porwał mi dzieci! porwał moje skarby!—zawołał z rozpaczą. I nie zwłócząc chwili dopadł konia, zarzucił broń na ramię i nie czekał na sąsiadów, którzy ruszyli tuż za nim, dogonić go nie mogąc. Pędząc co koń wyskoczy, dojechał do najbliższej wioski, tam zmyłony śladami mułów długo się błakał i tracił czas napróżno.

Z rozpaczą w duszy, wściekły z bólu, wrócił tą samą drogą. Jeździł tak do wieczora—o zachodzie słońca spotkawszy się z towarzyszami, konia tylko napoił i znowu wszyscy razem puścili się dalej.

Przez całą noc trwała pogoń, a gdy nad ranem *Argyrocantharides* obejrzał się za siebie, spostrzegł ogromny tuman kurzu, zbliżający się coraz spieszniej. Olbrzymie lance połyskiwały na słońcu, trudno było nawet przyjrzyć im się dokładniej.

— Zginęliśmy!—zawołał handlarz — ojciec nas dogoni i zabije. Dalej! dalej! co koń wyskoczy!...

Wylęknione dzieci z trudnością na siodle mogły się utrzymać.

Ujrzawszy greka, czerkies z krzykiem naprzód się rzucił. Leonidas rozporządzał lepszymi końmi, tamte zaś więcej przyzwyczajone do jazdy w górach, miały wytrawnych jeźdźców. Odległość między ściganymi a prześladowcami zmniejszała się widocznie; handlarz wściekle popędzał konie swoich pupilów—biedne dzieci nie śmiały się obejrzeć.

Stary ojciec krzyczał z początku, potem błagał i prosił żeby się zatrzymali, a powtarzając imię syna, kazał mu greka z siodła wyrzucić.

Chłopiec poznał głos ojca, słyszał swoje imię, zdawało mu się jednak, że towarzyszą mu klątwy i groźby, więc bardziej jeszcze konia popędzał, uciekał gnany rozpaczą.

Rwący strumień zatamował im drogę. Jeżeli uda im się skorzystać z dwóch minut czasu i przebywszy wąską kładkę, zerwać ją i w wodę wrzucić, będą ocaleni. Prześladowcy zmuszeni szukać innego przejścia, dadzą im godzinę czasu do ucieczki.

Dosięgnąwszy kładki znaleźli się w niebezpieczeństwie; ścigający byli tuż tuż blisko, na odle-

głość trzech strzałów, a Kasi Mullah najpierwszy, musi ich dopędzić, zanim handlarz zburzy mostek.

Miljewa zachwiała się cała drżąca—koń jój pada, widocznie złamał nogę.

— Ha!—zawołał z dziką radością szejk—mam już jedno dziecko!

Jakże okropnie się zawiódł, biedny ojciec!

Zamiast wrócić do niego, lub zatrzymać się na drodze, dziewczyna woła, narzeka, ręce łamie... Thomar, o ucieczce na chwilę zapomniawszy, przechylił się na koniu, objął ramieniem siostrę, porwał ją na siodło, i popędził jak błyskawica.

Kasi Mullah stanął w ziemię wryty. Po cóż ma ich gonić? Nie ruszył się już z miejsca. Zanim dopędzili go towarzysze, grek przebył kładkę. Widzieli, jak Thomar zsiadł z konia i wspólnie z handlarzem wyrwał deski.

Dwie łzy błysnęły w oczach szejka—palące łzy ciężkiego bólu.

A jednak... gdy znów oboje na koniu się znaleźli, Miljewa do ojca wyciągnęła ręce... Zdawało się, że błaga i narzeka.

Któż to może wiedzieć?...

Argyrocantharides do Smyrny z dziećmi przybył, żadnych już przeszkód w drodze nie spotkawszy; tam wyuczył je śpiewać, tańczyć, jeździć konno i stroić się w piękne suknie, a po kilku latach, za dziesięć tysięcy piastrów, sprzedał do seraju.

Wszystko co mówił dzieciom aby je zachęcić i odurzyć, w zupełności się sprawdziło.

Mahmudowi przedstawiono młodziutką czerkie-

skę niezwyklęj urody; Miljewa skończyła już rok czternasty i była zachwycającą.

Thomar wstąpił do izoglanów. Są to młodzieńcy wyćwiczeni w wojenném rzemiośle, przy boku padyszacha, z których tworzy się gwardya sułtańska.

W tym roku właśnie, Mahmud uformował świeży oddział wojska; wybrawszy najmłodszych z pośród janczarów, dał im nowe mundury i stworzył regularną armię. Nie długo czekając, Thomar został komendantem oddziału *eskandzisów*, potem szedł wyżej, coraz wyżej i stało się to, co handlarz przepowiedział.

Gdy nadszedł dzień, w którym miał ujrzeć dawno niewidzianego ojca, Thomar, był to już Dervent Aga, jeden z najpierwszych dygnitarzy, którego imię budziło cześć w sercach „wiernych“.

Znano je także w Himri, stary Kasi Mullah powtarzał je nieraz, a Thomar słyszał często o swęj rodzinnej wiosce i o ojcu, szeiku, zwanym teraz „Murszydem“.

Mściciel.

Co robi Ali w swoim gnieździe?

Czy pogodził się z losem, czyli też zamierza walczyć o resztę dni swoich, jakie pozostały mu do życia? Czyżby się lubował w tém morzu krwi, w które się rzucił, nie widząc brzegów?...

Tepelenti nie poddał się jeszcze. Ojczyzna wy-

powiedziała mu wojnę, sułtan wyrok śmierci podpisał, opuścili go synowie, porzucili wszyscy, a jednak Ali miecza wytrącić sobie nie da. Ośmdziesiąt lat blisko był on postrachem nieprzyjaciół, stróżem ojczyzny, prawą ręką sułtana, patriarchą rodu, a dziś oto, rzekł mu sułtan, powtórzyli krewni: umieraj! dość już się nażyłeś!... On podpala dom, wstrząsa tronem, wyrzyna ród własny.

Grecy, których dawniej uciskał i gnębił, obrócili się w sprzymierzeńców; Tepelenti dał im broń, pieniądze, a w miarę potrzeby radę złą lub dobrą.

Trzy tureckie armie zdołał już znieść do szczątku. Gaskho bey stracił większą część swoich ludzi, zajął tylko najbliższe miasta: Arta, Preweza, Lepanto i la Gullia, są w jego mocy, Ali codziennie szturm do nich przypuszcza. Pewnej nocy rzucił pogłoskę, że turcy pięciuset greków zamknęli w Arto i trzymają ich tam, jako zakładników. Gdy wieść się rozeszła, oblegający powtórzyli atak, który tym razem wykonali z wściekłością.

Owych pięciuset greków zgromadził sam Ali, gdy Arto znajdowało się jeszcze w jego mocy; następnie, będąc zmuszonym je opuścić, wszystkich w głęboką studnię wrzucić kazał, a osobliwy ten grobowiec przykryć kamieniami i obłożyć darnią.

Wycieńczeni długą walką, po trzydniowym oporze, turcy poddali się Kleonowi, który dowodził armią oblężniczą. Prosilili tylko, żeby im dozwolono opuścić miasto, a młody grek przystał na ten warunek.

Po zdobyciu twierdzy pierwsze pytanie było: gdzie są bracia—gdzie zakładnicy?

Nikt nie odpowiedział—o zakładnikach nic tu nie słyszano.

Wówczas jeden z suliotów wynalazł starą studnię, zerwał świeżą zieloność; co za straszny ukazał się widok!

Chciwi zemsty, grecy na rozbrojoną załogę się rzucili, przekleństwa miotając. Rozpoczęła się rzeź—mordowano wszystkich; nie ocalały kobiety, ni dzieci, tysiące trupów, z odciętymi głowami, strącano w przepaść.

Ali śmiał się tylko.

On zgładził więcej turków, niżli cała armia grecka.

Gdy Demetryusz Ypsilanti Lepante zdobywał, poddała się załoga, z warunkiem jednak, że pozwoli wszystkim opuścić twierdzę. Zaledwie się ruszyli, oddział suljotów Alego baszy wymordował wszystkich do ostatka.

Napróżno Ypsilanti próbował ich wstrzymać, tłumacząc, że zdobytej załodze sam darował życie. Kleon śmiał się na głos: był to szyderczy uśmiech Alego. Młody grek przeszedł mistrza.

— Cóż to szkodzi!—wołał—stój na boku, a my się rozprawimy. Ty podpisałeś układ, nam wolno się bić!

Z uczuciem wstrętu, Demetryusz się oddalił, a zebrawszy swój oddział odpłynął do Chios.

Grecy pod kierunkiem Alego wykształcili się znakomicie.

Biada turkowi, który dostawszy się w ich ręce, odwagą i chytrością nie mógł im dorównać.

Po gościńcach wznoszono szubienice i stosy, tu i owdzie krzyże, na których przybijano żydów. Widok był okropny.

Zwycięzki Omer Brione kroczył drogą usłaną trupami.

Synowie bohaterów zapomnieli o świetnej tradycji swego narodu, sprawdziło się przysłowie tureckiego wodza: „Lichy to żołnierz, który ma czas po bitwie ucinąć trupom głowy“.

Pod Pulo spotkał się Omer z wojskiem Odyseusza; było niegdyś jeden z najlepszych jenerałów Alego baszy. Tepelenti z pastucha wykierował go na dowódcę, sam uczył go robić broń, a teraz, ta sama broń przeciwko niemu się zwróciła.

Sułtan powierzył mu liczne oddziały wojska i ośm tysięcy azyatyckiej piechoty, dwa tysiące spahów i ośm armat. Złączywszy się z armią Gaskho beya, wspólnymi siłami zamierzali otoczyć twierdzę i zmusić Alego do kapitulacji. Said, bey Kastoryi, ukochany wnuk baszy, którego lat temu dwadzieścia huśtał na kolanach i wsadzał na siodło, prowadzi oddział spahów. Powierzono mu konnicę, gdyż sam błagał sułtana, aby mu wolno było iść na wroga, który jest jego dziadkiem. Żegnając się z matką, przyrzekł jej uroczyście, że przyniesie głowę buntownika i rzuci jęj pod nogi.

Rodzony wnuk!

Omer doszedł aż do Pulo. Zstępując z gór spostrzegł oddział Odyseusza, piękne białe sztandary zatknięte w ziemię. Nie dał spocząć swoim ludziom, ale kazał trąbić do ataku i uderzył zniebna.

Walka była zacięta lecz nie trwała długo. W godzinę grecy ustąpili ze swoich pozycji i ku dolinie zaczęli się cofać.

Tymaryoci ustąpili—Said, na czele spahów, zaczął ich ścigać, Odyseusz zaś cofał się ku miastu i dopiero pod murami Pulo do walki się myślał sposobić. Śnieżny jego sztandar stał się purpurowym, zabarwiła go krew dzielnych rycerzy, których poległo już tylu.

W górach rozległa się Marsylianka, do której rytmu zastosowano grecką pieśń wojenną, i niby wezbrany potok, sulioi z Kleonem i Artemizą rzucili się na turków.

Omer Vrione pomiędzy dwa ognie się dostał. Do odwrotu było już zapóźno, nie czas też zmienić plan działania. Armaty stały się nieużytecznymi, kawalerya z miejsca nie mogła się ruszyć, a piechotę rwano na części. Jeden oddział nie mógł obronić drugiego, brat stracił możność ratowania brata.

Widząc, że swoich ludzi ocalić już nie zdoła, wódz uczuł pogardę do życia; chcąc je stracić jak najprędzej, w największy ogień się rzucił.

Rozpoczęła się dzika, wściekła walka. Z tumanów kurzu i powodzi krwi wyłoniła się postać młodziana o bladej twarzy i błyszczącym wzrokiem. Poznał go Omer i zadrżał.

Był to Kleon.

Ci dwaj ludzie spotkali się już raz przed trzema laty, gdy Omer, pogromca suliotów, ścigał ich w zwycięskim pochodzie. Kleon należał do uciekających, a młody wódz wołał za nim:

— Stój! chcę zanieść Alemu twoją głowę.

Kleon wspomniał sobie te wyrazy i wrogowi prosto w oczy je rzucił:

— Stój! chcę zanieść Alemu twoją głowę.

Omer Vrione padł, a suliota odciął mu głowę. Jakże dziwne są koleje losu!

Śmierć Vriona rozstrzygnęła walkę, turcy zaczęli uciekać, zostawiając armaty, chorągwie i dowódców, którzy nie wiedzieli co począć.

Konnica, nie widząc innego środka, poddała się, a w części ją wyrznięto.

W najkrytyczniejszej chwili Said zerwał z turbana pióro i rzucił je precz od siebie, lśniący strój baszy zamienił na kaftan jednego z niewolników, chcąc nie być poznanym, i zniknął w szeregu pieszych.

Suliodzi otoczyli armię Saidą.

— Z koni!—zabrzmiała komenda zwycięzcy.

Cały oddział spahów w jednej chwili był na ziemi.

— Gdzie jest Said, wasz dowódca?—rzekł Kleon, występując naprzód, a na ostrzu jego miecza błysnęła krew.

— Jestem — odezwał się sługa, który z Saidem zamienił kaftan, i śmiało wystąpił przed oblicze Kleona.

— Schyl się do ziemi, podły niewolniku!—wrzasnął Kleon, tupiąc nogami.

Sługa przed zwycięzcą głowę pochylił i nie podniósł jęj już wcale, gdyż Kleon odciął ją jednym zamachem, na ostrzu miecza do góry podniósł i do odurzonych krwią towarzyszków wykrzyknął:

— Oto jest drugi wódz, Said, niedoszły nasz pogromca! Alleluja!

Za nim ryknęło wojsko:

— Alleluja! Alleluja!

Potem osadzono głowy wodzów na długich lancach i obwożono je po mieście, zwiastując dzieciom i kobietom siedzącym na dachach wielce ciekawą nowinę.

— Zwyciężyliśmy, oto są głowy nieprzyjacielskich wodzów: Omer Vriona i Said!

Said pobladł śmiertelnie, usłyszawszy swe imię i ujrawszy głowę wyszydzaną przez tłum.

Kleon zabrał jeńców i sztandary, a następnie ze swym oddziałem do Janiny powrócił. Dowiedziawszy się, że Said poległ w ostatniej bitwie, Ali Tepelenti kazał sobie przynieść głowę wnuka.

Na znak tryumfu zatknięto ją przed namiotem. Kleon chciał swoim dziełem nacieszyć się dowoli; zwycięzca, pragnął uznania tłumów, grzmiące okrzyki armii przyjemnie głaskały jego próżność.

Ali znalazł i na to sposób.

— Każ uciąć łeb któremu z jeńców i zatknij go na miejsce głowy Said. Nikt nie będzie o tém wiedział.

Kleon przystał chętnie i kazał przynieść głowę najmłodszego wnuka baszy.

Ali zmarszczył czoło i rzekł groźnie:

— Mój synu, zbyt młodym jesteś, byś mógł

mnie oszukać: zamiast głowy Saida przyniosłeś mi inną.

Kleon zerwał się przerażony.

— To nie jest głowa twego wnuka?

— Bynajmniej! Możesz mi wierzyć: znam go dobrze. Wychowałem go od dzieciństwa — ileżto razy huśtałem go na kolanach — uczyłem władać bronią!..

— Ależ na Bogal — zawołał Kleon — sam mi to powiedział... Czyż mogłem wątpić! Ubranie ułudziło mnie do reszty!..

— To był zwyczajny niewolnik — dodał Ali. Patrz, możesz się przekonać — uszy ma przerwane, aby nie mógł nosić kolczyków, co tylko panom jest wolno.

— A więc Said nam uciekł?

— Nie wątpię że znajdziesz go wśród jeńców — rzekł Ali — i wierz mi, iż poznam go natychmiast... To był mój najdroższy wnuczek. Obraz tego dziecka wiecznie noszę w sercu.

Z temi słowy poszli go szukać; Ali na szereg jeńców ledwie okiem rzucił i wskazał zaraz palcem jednego z nich.

— Patrz, to jest Said. Czy nie widzisz, że jest bledszy niż jego towarzysze?

Uniesiony wściekłością Kleon z kindząłem na Saida się rzucił. Ali wstrzymał go jednak.

— Co czynisz? Chcesz go w mojej obecności życia pozbawić?

— Żądałeś tylko jego głowy, będziesz ją miał.

— A teraz żądam jego życia. Said jest moim najukochańszym wnukiem... sam go wychowałem,

kochałem go więcej niż rodzona matka, więcej niż własne moje dzieci. Widzisz Kleonie, ja z tobą dzielę każdą zdobycz, żądam tylko krwi, która jest częścią mojej własnej.

Usłyszawszy te słowa młodzieniec, do nóg Alego się rzucił, objął kolana dziadka, całował ręce, płakał i przysięgał, że gdy odzyska wolność, będzie nadal posłusznym jego synem.

— Widzisz, on także mnie kocha—rzekł ze łzami Ali, osłaniając Saida swą długą, siwą brodą. Wszak prawda, moje dziecię, dobrze się ukryć pod cieniem téj brody, za którą miałeś mnie ciągnąć, aby złożyć moję głowę u stóp matczynych.

Kleon patrzył z pogardą na Alego.

To słaby człowiek: ma serce i czuje w niem ból, gdy idzie o życie krewnych.

Grek pragnął się nacieszyć cierpieniem tyрана.

— Jeżeli nie chcesz być świadkiem śmierci Saïda, wyjdź ztąd. Nie dostaniesz go żywym.

— Co?—krzyknął Ali, dobywając miecza. Więc dlatego, że mam długą brodę, sądzisz, iż deptać po niej wolno. Krwią i mieczem bronić będę krwi własnej, sam zginę raczej a nie dam zabić wnuka. Zobaczymy, czy zechcesz pozbyć się prawej ręki, zapalona głowo!

Kleon patrzył zdumiony, sam nie wiedząc co czynić. Mógł zabić starca — byłoby to większym tryumfem, aniżeli wszystkie obecne zwycięstwa.

W téj chwili ukazał się we drzwiach herold Odyseusza z rozkazem, aby wysłać niezwłocznie do Prewazy wszystkich znajdujących się w niewoli tureckich oficerów, gdyż tam w zamianę odzyskają

swoich ludzi, którzy w Mołdawii wpadli w ręce wroga.

Kleon czuł się obrażonym. Któż tu śmie wydawać rozkazy? On jest wodzem jak Odyseusz lub Ypsilanti i nie potrzebuje słuchać nikogo.

— Powiedz swemu panu, że ja i moi ludzie zabijamy w bitwie wszystkich oficerów i tylko jeden, dzięki oszukaństwu, dotychczas przy życiu się znajduje: jest to wnuk Alego, który nie chce go wydać. Przed chwilą właśnie mówił, że złoży okup, i zgodziliśmy się na sto tysięcy piastrów. Wszak prawda, Tepelenti?

— Tak, rzeczywiście — odparł Ali — za godzinę otrzymasz sto tysięcy piastrów.

Uniesiony radością Said całował kraj szaty dziadka, silném uderzeniem dłoni Kleon zawarty układ potwierdził, a w godzinę później ogromną masę złota rozkładano przed nim na stole.

Ali ujął ramię wnuka, dał mu swój własny kaftan i do Janiny zabrał go z sobą.

Kleon czuł się wyższym od nauczyciela, mógł nim pogardzać.

Ten starzec jest słabym człowiekiem... Jakże on prosił, narzekał—zapłacił nawet za chłopca, dlatego tylko, że był jego wnukiem.

Upłynęła godzina.

Rozległ się odgłos bębna—grecy podążyli na mury, aby zobaczyć co się stało.

Na środku placu ujrzano szubienicę. Z zawiązanymi w tył rękami, w tym kaftanie Alego w górze u szczytu, podniesiony przez czterech czarnych katów, kołysał się Said.

Tepelenti na siwym koniu otwierał pochód. Zadanym znakiem czarni spełnili swą powinność i najdroższy wnuk Alego zginął haniebną śmiercią.

Ali patrzył na wszystko obojętnym wzrokiem. Gdy wnuk skończył życie, zawołał akcentując każdy wyraz:

— Niech tak zginą wszyscy krewni Alego, którzy przeciw niemu się zwrócili! Niema dla nich litości!

Kleon zdrętwiał—czuł, że krew stygnie mu w żyłach. Ileż razy spotkać się ze śmiercią, na ile ginących patrzeć jeszcze mu przyjdzie, zanim dorówna Alemu, człowiekowi, który płacze, błaga, wykupuje wnuka, aby go potem zgładzić w tak haniebnym sposób (*).

Z licznej niegdyś rodziny baszy, dwaj tylko synowie Muchtar i Soliman znajdowali się jeszcze przy życiu. Oni najpierwsi zdradzili ojca, postępek synów ciężką mu zadał ranę; przez cały rok Ali ranę tę w sercu nosił. Przez ten czas nikt nie śmiał w jego obecności wymówić ich imienia, usunął z miasta wszystko, co mogło mu ich przypominać, a kto chciał powędrować na łono Mahometa, zaledwie wyrzekł: Muchtar — mógł być pewnym śmierci.

Tymczasem, dwaj niegodni synowie żyli w Adryanopolu pędząc dni w ubóstwie, gdyż sułtan opłaca zdradę, lecz ze zdrajcami się nie łączy. Pierwsza kwota otrzymana za haniebną postępek rozeszła

(*) Autentyczny fakt z życia Alego Tepelenti.

się wkrótce na hulanki, konie i przeróżne zbytki, a gdy zbrakło pieniędzy, nie było gdzie się udać.

Skarb miał inne ważniejsze wydatki—długi opór Alego, liczne straty w broni i wojsku, obróciły w niwecz przysługę synów, którzy zdradziwszy ojca, nie pomogli tém sułtanowi,

Żałowali też nieraz swego postępku, zwłaszcza gdy doniesiono im o nowém zwycięstwie szeregów baszy, a bardziej jeszcze gdy znikało wino i pieniądze, gdy trzeba było sprzedawać konie, klejnoty i niewolnice jedną po drugiej, a następnie oczekiwać już tylko pomocy dobroczynnej wróżki, któraby jak w bajce przysłała ich z nędzy wybawić.

I oto wróżka zjawiła się w porę.

Gdy już wydali wszystko do ostatniego grosza, gdy jutrzejszy obiad przedstawiał dla nich trudną do rozwiązania kwestyą, zaczęły na nich spadać skarby, o jakich tylko w bajce słyszeć można, skarby, które nie wiadomo skąd się biorą i których człowiek ani się spodziewał.

Pewnego dnia, przechadzając się wśród murów twierdzy, Ali spostrzegł ogrodnika, który sadił tulipany dokoła klombów zdobiących dziedziniec. Basza znał wszystkich swoich ludzi nie tylko z nazwiska lecz i z charakteru, jaki każdemu z nich był właściwy, wiedział co na każdego liczyć można.

Ogrodniczek zwał się Dirham, z téj racyi, że gdy był nędzném chorém dzieckiem, Muchtar bey kupił go za jeden dirham od handlarza niewolników. Następnie, nie szczędząc trudu, syn Alego pielęgnował chłopca, leczył, zajął się wychowaniem i licznemi dobrodziejstwami obsypał.

Słyszając własne imię, Dirham pomimowoli wracał myślą do owych czasów, gdy jego osoba tak mało była warta, wdzięczny panu który go podniósł w cenie.

Ali z baszty zajęciom ogrodnika się przyglądał; śledząc wszystkie jego ruchy. Dirham wkładał w grunt cebulki, obsadzał je starannie, zostawiał miejsce, aby mogły swobodnie się rozrastać, lekko obsypywał, następnie zaś polewał ciepłą wodą; inne znowu sadził z pośpiechem, niedbale zwierzchu potrząsnąwszy ziemią, skrapiał mniej lub więcej, mało dbając, czy są dość wilgotne.

Widząc to wszystko, Ali zszedł z baszty i zawiązał z nim rozmowę.

— Jak się zowią te gatunki tulipanów?—rzekł wskazując cebule, któremi tak troskliwie się zajmował.

Dirham wyliczył wszystkie: King, Georges, Trafalgar, Gruithuyson, Admiral, Belle Alliance i wiele innych.

Opuścił przytem parę, jak gdyby o nich zapomniawszy; były to właśnie cebulki, które tak po macoszemu traktował.

— A tych nie umiesz nazwać?—spytał Ali.

— Zgubiłem karteczkę—tłumaczył się sługa— a wpośród tylu nazw, czasem trudno jest spa-
miętać.

— No widzisz—a ja nie zapomniałem:—ten jest Soliman, a tamten Muhtar bey.

Dirham jak długi padł na ziemię. Tepelenti czyta jasno w sercu niewolnika—pocziwy człowiek

myśli zawsze o jego synach, wierny pies zapomnieć nie potrafi.

Przerażony, drżąc jak w febrze, czekał tylko, aż Ali wyrwie z ziemi cebulki, a w ich miejsce wsadzi jego głowę.

Zamiast gniewać się, Tepelenti podniósł go łaskawie, i łagodnym tonem mówił dalej:

— Wstań, Dirhamie. Szlachetnych uczuć wstydzić się nie godzi. Pamiętasz moich synów, a czy sądzisz, że ja zapomniałem?... Nie pozwalam o nich wspomnieć — cóż to jednak znaczy, gdy nie mogę zakazać samemu sobie, abym nie myślał... nie wolno wymówić ich imienia, a rysy obydwóch wyryte są w méj pamięci. Świat głosi że oni mnie zdradzili, ja zaś nie wierzę — nie mogę w to uwierzyć! Powiedz, Dirham, czyliż dzieci byłyby w stanie zdradzić ojca?

Zebrawszy się na odwagę, sługa odparł z mocą:

— Choćbyś mnie, panie, życia miał pozbawić, powiem szczerze co myślę: twoi synowie zdrajcami nie są — sami raczej padli ofiarą zdrady. Gdyby nawet zdarzyło się na świecie, że syn zdradził ojca, dzieci Tepelenti'ego do takich czynów nie zdolne.

Ali dał słudze kieskę złota, kazał przyjść w wieczór do pałacu i przynieść tulipany w doniczkach.

Dirham czekał niecierpliwie nadejścia wieczoru. Gdy ukazał się w pałacu puszczono go natychmiast, co więcej, basza usunął obecnych, aby mogli porozmawiać bez świadków.

— Słyszałem — odezwał się Tepelenti — że moi synowie żyją nietylko w nędzy, którą łatwiej prze-

cierpieć, lecz w hańbie i poniewierce. Nikt o nich nie dba. Najpodlejszy spahis, który dawniej w proch korzył się przed nimi, dziś spotkawszy na ulicy ośmiesza i wyszydza. Gdy idą na targ za kupnem żywności, kobiety wołają:—Czyliż to są bohaterowie, przed którymi drżała stolica? — Ali basza rumieni się ze wstydu, że takić hańby dożył... Wiem, że gdybym ich teraz opasał mieczem, nie złożyliby go tak łatwo u stóp nieprzyjaciela. Wszak prawda, Dirhamie?

Wierny sługa westchnął na potwierdzenie słów pana.

— Słuchaj — znam cię dawno—mam tajemnicę, którą chciałbym powierzyć tobie.

— Uczynisz, panie, jak gdybyś zakopał ją w ziemi.

— Do portu Durazzo zawinął angielski statek pod wodzą kapitana Murrisona. Na tym statku złożyłem pięć milionów piastrow—pięć milionów—dobrze uważaj. To znaczna suma. Mógłbym w każdej chwili opuścić fortecę, sięść na okręt, popłynąć do Anglii lub Hiszpanii, zamieszkać tam i żyć wygodnie aż do śmierci. Na co mi to jednak? Nie wiele dni już mi pozostało... miałbym się o nie troszczyć? Tu chcę umrzeć, tu zginąć, gdzie przeżyłem dni chwały i wielkości, a wobec niebezpieczeństwa cofać się nie myślę. Te pieniądze posłużą mi do celu, który dawno już obmyśliłem, na próżno szukając człowieka, zdolnego moje zamiary w czyn wprowadzić.

— A ten człowiek?

— Ty nim jesteś, Dirhamie. Nie przerywaj.

Los najczęściej wywyższa małych, a wielkich poniża. Opuścisz twierdzę, przemkniesz się nocą przez oddział Gaskho beya, a stanąwszy w Durazzo, pokażesz ten pierścień Murrisonowi, który spełni świącie wszystko co powiesz, gdyż będzie wiedział, że ja tak kazałem. Spuścicie kotwicę, a przy pomyślnym wietrze odpłyniecie do Stambułu. Tam naład wysiądziesz, a włożywszy pieniądze w worki z plewami, na mułach zawieziesz je do Edrone, gdzie masz odszukać moich synów, a z czcią im się pokłoniwszy, oznajmić, że ja cię przysyłam. Opowiedz im ostatnie wypadki, powtórz wszystko co słyszał lub widziałeś własnymi oczami, a jeżeli poznasz z ich rysów, że przyjmują to chłodno, złóż sto tysięcy piastrów, i powiedz żeby za te pieniądze kupili sobie dom, założyli sklepy, a dobrze gospodarując starali się z każdym rokiem fortunę pomnażać. Przeciwnie zaś, gdy się ożywią, gdy z ocz Muchtara i Solimana strzelą iskry zapалу, gdy z otwartymi usty, bijącym sercem, ściskając twe dłonie i szukając miecza, każą ci znowu opowiadać coś przed chwilą skończył—rzeknij im, że droga do sławy i serce ojcowskie dla nich jest otwarte. Niech wiedzą, że owe sto tysięcy piastrów przeznaczyłem dla nich na broń i konie, pięćdziesiąt razy tyle złożyłem na angielskim okręcie, a pięćkroć razy większa suma znajduje się tutaj, w czerwonej wieży zamku. Za pięć milionów piastrów niech zakupią okręty, a z jaknajwiększą ostrożnością zaopatrzą je w broń i załogę. Nie trudno to będzie, ponieważ cała turecka flota rozpierzchła się na wszystkie strony. Na dany znak wszyscy się sta-

wią, nie żądając płacy. Przygotowani należycie, za twojém pośrednictwem, niech wezmą Bublinię, grecką amazonkę, która z trzydziestu okrętami nieopodal Kandyi ciągle się kręci. Ona im pomoże, zatrudni turecką flotę, oni zaś tymczasem swobodnie z Beiskosu wypłyną. Przy pomyślnj pogodzie za dziesięć dni mogą już być w Durazzo. W tym to czasie ja z jednéj, Kleon z drugiej, a Odyseusz z trzeciéj strony mamy się rzucić na armię Gaskho beja, gdy oni jeszcze poprą nas na morzu, wieczorem dnia tego padniemy sobie w objęcia.

Dirham płakał jak dziecko.

Basza mówił dalej:

— Przedewszystkiem bądź ostrożny i czujny. Należy działać bez hałasu, niech moi synowie nie rozrzucają złota, aby nie spostrzeżono że są bogaci, bo to obudza zazdrość i nienawiść. Byłoby najlepiej zostawić pieniądze na statku, biorąc tylko tyle, co niezbędnie potrzeba. Wybierając się do Bublinii, na karcie pergaminu kaź sobie napisać, że odstawiasz welnę do Krety i zaadresować na ręce kupca Argyrocantharidesa, który jest w przyjaźni z sułtanem i Turcyą, a pomaga grekom. Niechaj Muhtar pomiędzy wierszami nakreśli do Bublinii słów kilka, a oddając to pismo zwilżysz je sokiem cytrynowym. Albo nie—czekaj—mam tu lepszą radę. Rospuść w wodzie kawałek piekielnego kamienia, tym rozczyнем kaź wypisać co należy na twardo ugotowaném jajku, poczem gdy je powtórnie ugotujesz, rozbiwszy delikatnie, na we-

wnętrznęj stronie skorupki czytać będzie można. Tak zrób, a nikt się nie domysli.

Dirham usiłował zapamiętać każdy wyraz, zdumiony nadzwyczajnie, że stary basza nie pomija najmniejszėj drobnostki, lecz na wszystko zwraca pilną uwagę.

— Jeszcze jedno, dodał Ali drżącym ze wzruszenia głosem. Nie tajno mi wcale, że gra do której wciągają moich synów jest niebezpieczna, i końca jēj przewidzieć niepodobna. Weź więc ten pierścień, w którym znajduje się talizman, daj go Muh-tarowi i powiedz niech zawsze na palcu go nosi, a w ciężkiej chwili, od której aby Allah łaskawie go chronił, otworzy i przeczyta co wewnątrz napisane. Ale to już tylko w ostateczności... w najgorszym wypadku—gdy będzie drżał o życie, innėj nie widząc rady, bo... talizman raz użyty, traci już swą siłę. Idź, Dirhamie, spełnij co ci kazałem.

Niewolnik ucałował kraj szaty Alego i przysiągł, że wszystko święcie wykona. Tepelenti odprowadził go do ogrodu. Wracając zaś musiał przejść koło grobu Saida, a potknąwszy się o wzgórek, zatrzymał się chwilę i szepnął:

— Hm! sam tu spoczywasz.

...Po upływie dwóch tygodni Dirham powitał w Adryanopolu synów Alego. Dopłynął tam na okręcie Murissona, sprawdziwszy niejednokrotnie, że miljonowe skarby baszy znajdują się w pewnych rękach.

Wykonał też wszystko jak najsumienniej, a gdy zamglonym łzami wzrokiem wyczytał na twarzy beyów ogień, i zapal, którego tam wcale nie było

powiedział im, że ojciec przysłał pięć milionów piastrów na kupno broni i okrętów, oraz w jaki sposób do działania przystąpić im kazał.

Beyowie byli uszczęśliwini z pieniędzy. Ścisłali Dirhama, który usiłował im dowieść, że sam nic nie zrobił, lecz wszystko jest dziełem ojca, ponieważ on przysłał te skarby.

— Co prawda, wtrącił Soliman, mógłby stary przysłać jeszcze więcej; na cóż mu to trzymać w Janinie? Prędzej czy później, ta masa złota stanie się łupem wrogów.

— Wybacz, panie, lecz to nigdy nie nastąpi, gdy się z nim połączycie.

— Tak?.. odparł Soliman i bracia spojrzeli po sobie, jak gdyby tknięci jedną myślą.

Odbierając ojcowski pierścień z rąk wiernego sługi, Muhtar pytał podejrzliwie.

— Czy on nie zatruty?

— O, panie, z kąd taka obawa! Przez całą drogę miałem go na palcu. Przeciwnie, w tym pierścieniu znajduje się talizman...

Uśmiechnęli się bracia na te słowa, przesady Alego znane im są dobrze. A jednak Muhtar zatrzymał pierścień, ozdobiony wspaniałym szmaragdem.

Pomysł pisania na skorupkach bardzo im się podobał. Istotnie, świetny pomysł! Tym sposobem można korespondować z haremami baszów, nie narażając się ani trochę.

Któżby mógł przypuścić, że list znajduje się w jajku.

Należy zaraz, przy najpierwszej sposobności, sprawdzić eksperyment, który wydaje się cudownym, i posłać odaliskom kilka czułych słówek.

Dirham głową pokiwał i zaczął im tłumaczyć, że przedewszystkiem trzeba porozumieć się z Bu-blinią, która od czasu do czasu ośmiela się dotrzeć aż pod Dardanelle. Inaczéj, gdy się nie pospieszą, mogą wszystko stracić. Niebezpiecznie byłoby dać się poznać tutaj, że mają pieniądze, a Murrison nie obowiązuje się do niczego. On tylko strzeże złota, lecz w razie wypadku nie chciałby go bronić, ani też wyprowadzić z tureckich wód na pewniejszą drogę.

Ten ostatni argument okazał się skutecznym. Posłuszni, jak gdyby wyłącznie oddani sprawie Alego, bejowie kazali natychmiast, żeby stary sługa poszedł kupić jaj, piekielnego kamienia i materiałów piśmiennych. Nie myśleli dać na to pieniędzy—on sam może zapłacić, nie wybrał się przecież z próżnemi rękami w tak daleką podróż.

Po odejściu Dirhama, bracia spojrzeli sobie w oczy i jednocześnie zaczęli się śmiać.

— Mam dobrą myśl—rzekł Soliman.

— I ja również—wtrącił Muhtar.

— Nie wybieram się do Alego!

— Ani ja. Smutny los Saida tkwi mi jeszcze w pamięci.

— Chciałem kupić okręt do przewiezienia skarbów.

— I osadzić grecką załogę...

— Trzeba zaraz wysłać Dirhama z poselstwem, hojnych obietnic Bublinii nie szczędząc, napisać, że mamy tutaj całą flotę, a gdy ona da pcczątek, my rzucimy się z tyłu, aby zgnieść Kapudana. To waryatka! — pewny jestem, że przyplynie zaraz, Kapudan basza pójdzie z nią się rozprawiać, a gdy cała uwaga floty w tę stronę się zwróci—zemkniemy, nie zatrzymując się aż w Kadyksie.

— Doskonale! To jest ojczyzna dobrych win i pięknych kobiet.

— Ali może nas czekać do końca świata. Gdy zagrzmie trąba anioła Izrafila, wtedy się zobaczymy.

— Drwię z amazonki i sultana... Niech robią co chcą—nie należy im przeszkadzać.

— Maezallah! Życie jest piękne.

Niby książęta z bajki, synowie Alego w tajemniczy sposób doszli w jednej chwili do znacznych bogactw, a umieli ich używać przyjemnie i wesoło. Grosz przeznaczony na krew i miecze, szedł na hulanki, czyliż to najwięcej nie upiększa życia?

Gdy wierny sługa wrócił, zabrali się do dzieła. Jaja ugotowawszy wypisali na nich co im przyszło do głowy. Obiecali pomagać grekom na lądzie i morzu, okręt tureckiej admiralicyi wysadzić w powietrze, podburzyć janczarów przeciwko sułtanowi, a greków przeciwko janczarom, słowem, tysiące kłamstw i niedorzeczności.

Dirham w to wszystko święcie wierzył i drżał na całym ciele, że jego panowie tak wielkich rzeczy pragną dokonać.

Wynajął też natychmiast mały, niepozorny sta-

tek, naładował go wełną, a ukrywszy jaje w koszyku, w stronę archipelagu popłynął.

Zacni bracia byli uszczęśliwieni.

Wyśmiewali Dirhama, waleczną Bublinią, mądrego Kapudana baszę; najwięcej jednak szydzili z ojca, który jest pewnym, że dzielni synowie szykują mu okręty.

Czyżby on tak myślał?

Tego samego dnia, gdy Dirham z portu wypłynął, do seraju zgłosił się braciszek reguły Minnettullahita, żądając koniecznie aby widzieć się z padyszachem.

Był to ten sam derwisz, który zadziwiał Alego prorocत्वami i czarodziejską sztuką.

Stanąwszy przed obliczem władcy wiernych, derwisz nie potrzebował się schylać, gdyż ciężkie brzemie lat przygięło go do ziemi.

— Allah mnie przysłał, rzekł głosem, który brzmiał głucho, bez dźwięku. Wielkie niebezpieczeństwo do ciebie się zbliża. Nawałnica, której możesz paść ofiarą zamknięta w skorupie jajka — dziś łatwo stłumić ją można! Gdy z niego się wymknie, ogarnie kraj cały i jeszcze będzie jój zaciąsno. Dlatego też Allah radzi przez moje usta, abyś każdy okręt przez dzień i noc dzisiejszą, oraz jutro i dni następnych wypływający ze „złotego rogu“ zatrzymać kazał i przepatrzeć. Gdy ludzie twoi znajdą jajko, niech ci je przyniosą, a odkryjesz nikczemność, która uszedłszy rąk twoich, pochłonie ciebie i całe państwo.

To powiedziawszy, derwisz nie skłonił się nawet,

nie zdjął pantofli w tak świętém miejscu i odszedł nagrody nie żądając.

Śmiałość nieznajomego podziałała silnie na umysł Mahmuda. Wydał też rozkaz, i z wież seraju obwieścić go kazał, żeby zatrzymać każdy okręt, przetrząść go pilnie, każde znajdujące się w nim jajko przynieść do pałacu, a załogę tymczasem trzymać pod ścisłym nadzorem.

Los zdarzył, że okręt Dirhama najpierwszy dostał się w ręce szpiegów.

Widząc, że straż zabiera jaja, nieszczęśliwy człowiek rzucił się w morze, i wybornie płynąć umiejac rozmyślnie się utopił, aby nie zdradzić swoich panów.

Z wielką ostrożnością kilka jaj przekrajawszy, wyczytano z nich straszną wiadomość. Zdrada i bunt!

Sprzysiężenie obejmujące kraj cały, znaczna sieć intryg, której nitki sięgały od Janiny do wysp archipelagu, opasując stolicę.

Taka zbrodnia ukaraną być powinna, jako przykład dla wielu.

Tejże saméj nocy schwytano bejów, i z łona uciech ziemskiego raju powleczono do ciemnicy.

Któżby mógł ich zdradzić?

Pewno sam Tepelentil

Szaleni! Sądzili, że można z niego sztydzić.

Dowiedziawszy się, że tajemnica ukryta we wnętrzu jaj dostała się na światło dzienne, Soliman stracił przytomność.

Muktar czuł również, że zbliża się chwila w której *najbardziej niebezpieczny niewolnik nie chciałby stanąć na jego*

miejscu i wtedy właśnie przyszedł mu na myśl talizman ukryty w ojcowskim pierścieniu. Otworzył szmaragd, sądząc, że znajdzie silnie działającą truciznę, która go uwolni od haniebnej śmierci — nie było jej przecież, tylko wyczytał te słowa:

„Ręka moja sięga daleko.“

Z rozpaczą w duszy, wściekły, z gniewem rzucił pierścień, nie wiedząc co czynić. Prawica Alego nieprzejednana, zawzięta, zdolna go dosięgnąć choćby na końcu świata i wywlec z grobu, zaciężyła mu na głowie jak kamień.

Obydwaj umrzeć muszą.

Zaprowadzono ich do Reis efendiego, któremu nie chcieli się przyznać, całej treści własnego pisma kłam zadając. Jednego tylko zaprzeczyć nie mieli sposobu: pięciu milionów piastrow.

To ich zgubiło.

Sułtan zażądał od Murissona pieniędzy należących do przestępców. Anglik sam pospieszył do effendi'ego aby wytłumaczyć, że depozyt złożony w jego ręce prawym właścicielom oddany być powinien.

— Każdy majątek w naszym państwie — tłumaczył Reis effendi — jednego ma tylko prawego właściciela, a tym jest sułtan. Gdy kto umrze, cała spuścizna dostaje się sułtanowi, on tylko jeden rozporządzać nią może.

Murisson wtrącił przy sposobności, że młodzi beyowie znajdują się przy życiu, o spuściznie nie ma co mówić.

Nie odpowiedziawszy ani słowa, Reis effendi podał zwój pergaminu jednemu ze straży, a w kilka

minut później głowy dwóch braci na srebrnym półmisku wniesiono do sali.

— Jeżeli ta tylko okoliczność stała nam na przeszkodzie—rzekł Reis effendi do anglika — nie dziw się pan, że staraliśmy się co najprędzej ją usunąć

Murisson oddał złoto i srebro złożone w depozycie na statku, sam zaś co żywo uciekł z Konstantynopola, gdzie każdy jego wyraz śmierć sprowadzał.

Głowy bejów przez trzy dni i trzy noce wystawione były na bramie seraju a heroldowie na koniach wołali co kwadrans:

— Oto są głowy synów Alego, którzy chcieli zniszczyć stolicę.

Wściekłe okrzyki ludu rozbrzmiewały szeroko...

Wieść o śmierci Muktara i Solimana ściętych w Stambule, doszła do Janiny w parę dni potem.

Ali trzykrotnie padł twarzą o ziemię, składając dzięki Allahowi. Wśród odgłosu bębnów kazał oznajmić fortocy, że bejowie, którzy zdradzili ojca, odnieśli zasłużoną karę.

Tak giną zdrajcy.

Przez trzy dni i trzy noce (tak długo, jak głowy zdrajców tkwiły na bramach) trwało w Janinie uroczyste święto, a każdego ranka, jak gdyby po wielkiem zwycięztwie, strzelano sto razy.

Wieczorem, przechadzając się po ogrodzie wśród

klombów kwiecia, Ali potknął się nogą o wzgórek.

To mogiła najdroższego wnuka.

Stary wódz, dziś już ostatni z rodu, zatrzymał się przez chwilę i tupiąc nogą w grób, zrównany z ziemią, wyszeptał.

— Nie sam już jesteś, nie sam...

Kwiaty z ogrodu Begtasa.

Na końcu piętnastego wieku, gdy półksiężyc w konstelacyi europejskiej wydatne zajmował stanowisko, żył w Turcyi pobożny derwisz, Hadżi Begtas zwany.

Gdy niezliczone szeregi wojsk tureckich zalewały sąsiednie państwa, Hadżi Begtas ciągnął za armią, od czasu do czasu żebrał, zbierając drobne datki od wdów i żołnierzy, rozrzucających łupy hojną ręką.

Na co pobożny derwisz zbierał tyle pieniędzy, wędrując w ciężkim trudzie od morza Czarnego aż do Adryatyku, mogąc siedzieć spokojnie u bram Kaaby, nieopodal od grobu Mahometa, na ziarnkach różańca dziewięćdziesiąt przymiotów Allaha wyliczając. Nie jest to rzeczą trudną, a sprowadza jałmużny w pieniądzach, jadle i napoju.

Hadżi Begtas podjął się wielkiego dzieła. Chodził wszędzie za wojskiem, a gdy napadłszy miej-

scowość zamieszkaną przez chrześcian, mordowali ludzi, wiązali jeńców, derwisz ukazywał się w tłumie, z rąk dzikiego kurda lub baszkira wyrwał dziecię, które żołdak chciał o ścianę roztrzaskać, otulał sam płaszczem, całował i zabierał z sobą. Zdarzało się nieraz, że prowadził całą gromadę dzieci, kryjących się pod płaszczem, niby drobne pisklęta.

Czasem wziął i niemowlę, aby je wychować.

Później wypłacał dynara za każde dziecko jeńca, które mu przyprowadzono: Drobną to zapłata, lecz dzieci nie były wówczas w cenie, na targach zbywano tylko dorosłych ludzi.

Sprowadzono też derwiszowi ogromne mnóstwo dzieci.

Przywiózł je wszystkie do Adryanopola, mając blisko własny meczet. Lud śmiał się i szydził, że chyba niemi chce ogród obsadzić.

Hadżi z żartu się cieszył i nazwał dzieci „kwiatami z ogrodu Begtasa,” a ten przydomek pozostał im na parę wieków.

Niestrudzony, cierpliwy, Hadżi sam wychowywał dziatki, z których najstarsze liczyło lat sześć lub siedm, uczył je alkoranu, obznajmiał z rozkoszami przyszłego życia, jakie prorok obiecał wiernym, zaprawiając do ziemskich trudów.

Większa część tych dzieci nie знаła matki ani ojca, te które ich znały zapomniały oddawna, wyrastając pod okiem derwisza. Żadne związki krwi nie łączyły ich ze światem, tembardziej jednak zespały się pomiędzy sobą, kochały się wzajemnie

wspólnego mając ojca — Begtasa, którego każdy wyraz czczony był jak świętość.

Dnie płynęły im w pracy, ćwiczeniach, pływaniu i gonitwie — dwunastoletni chłopak mógł się mierzyć z dorosłym człowiekiem, młodzieńcem zaś miał siłę Samsona.

W tych właśnie czasach turcy ponieśli ciężkie straty z rąk chrześcian, najbliższych sąsiadów. Główną siłę armii przedstawiała konnica, dziesięciu pieszych równało się jednemu po europejsku wyćwiczonemu żołnierzowi. Gdy brano fortecę cały ten tłum swoim ciałem zapełniał rowy, aby następnym szeregom drogę ułatwić. Taki był z nich użytek.

Pewnego razu, jak gdyby za niewidzialnym znakiem, na polu bitwy zjawił się oddział pieszych, uzbrojeniem, zarówno jak postawą wyróżniający się od całości. Na głowie mieli wysokie czapki z czarnymi piórami, krótkie ich kaftany, z niebieskiego sukna, pozbawione były wszelkich ozdób, szarawary sięgały tylko do kolan, nogi zaś obnażone zupełnie.

Każdy z nich trzymał szeroką zakrzywioną szablę, podczas gdy reszta wojska dźwigała na sobie mnóstwo różnej broni, jak gdyby po dziesięć rąk mając do rozporządzenia. Nikt nie znał tych rycerzy, młodziutkich, zaledwie wychodzących z dzieciństwa. Nie przyłączyli się też do tureckiej armii, ani się poddali rozkazom wodza, żołdu nie wymagając rzucili się w ogień.

Za pierwszym atakiem dali zaraz się poznać. Szło o zdobycie twierdzy, którą szeroki strumień

opasywał jak wstęga. Nieznajomi rycerze wzięli w zęby szerokie swoje szable, wodę przepłynąwszy ginąc w dymie i ogniu wdrapali się na mury i jasną tarczę półksiężyca pierwsi zatknęli na wieży.

To były „kwiaty Begtasowe.“

W pierwszej zaraz bitwie wychowawcy derwisha okryli się sławą, a gdy znów zaczęła się wojna, Hadżi Begtas, jako przełożony kilku klasztorów, miał do rozporządzenia tłumy zakonników, z których każdy zajmował się wychowaniem chrześcijańskich dzieci i ćwiczeniem tychże w rycerskiem rzemiośle. Dzielność młodej armii zasłynęła później na całym świecie.

To byli Jeni-Czeryki, czyli *nowi żołnierze*, przezwani następnie *janczarami*. Po kilku wiekach jeszcze, chcąc okazać swą wyższość, janczar zwał się dumnie „begtasowym kwiatem.“

Dużo kwiecica wyszło z tego ogrodu, a wszystko dzielne, dorodne, wspaniałe... Potęgę sultana dźwigali na swych barkach, gdy zaś ją chcieli rzucić, tron chwiał się i upadał. Filary stały się tyranami—ich odwaga zdobywała zwycięstwo, upór zaś niejednokrotnie niweczył korzyści. W miarę siły, rosła ich zarozumiałość; nie znając posłuszeństwa, sami rozkazywali sułtanowi i wodzom, a gdy na znak buntu wzniesli ogromny kocioł na Atmeidanie, cały seraj trząsł się ze strachu i nie odechnął swobodniej, aż nadeszła wiadomość, że janczarowie chcą złota, a nie krwi bejów i baszów.

Po świętach Beiramu, gdy rozdzielano pilaw, ogromny kocioł baraniną i ryżem napelniwszy, sułtan przyglądał się z trwogą, w jaki sposób jaśnie

wielmożni janczarowie wezmą się do jedzenia. Jeżeli rzucali się chciwie na ulubioną strawę, dobry to znak, gdy ociągali się zwolna, sułtan uciekał do haremu i krył się w gronie kobiet, przewidując straszne następstwa. Wielkie szczęście, gdy okazali swój zły humor tylko spalaniem téj lub owéj dzielnicy miasta.

Dwaj sułtani próbowali już złamać ten miecz obosieczny, który cięższe niż obcym własnéj ojczyźnie zadawał rany, lecz potężna, bajeczna niemal siła janczarów, tak dalece się zrosła z duszą narodu, że obydwaj władcy padli ofiarą swego przedsięwzięcia. Osman, wywleczony z seraju, na kulejącym ośle, przeprowadzony przez całe miasto, wtrącony został do „siedmiu wież”, w których tu-reccy monarchowie, wraz z rodziną chowani żywcem jak w grobie, pędzą smutny żywot.

Selim, ojciec Mahmuda II, zginał od miecza buntowników, a miecz to był ostry, dłoń która go dzierży silna jeszcze i śmiała, gdy młody sułtan wstąpił na tron, bardziej zachwiany już pod rządami jego przodków. Janczarowie trwali w błędach, które doszły do potężnych rozmiarów, lecz dawna ich sława należała już do przeszłości. Od stu lat z górą, zakrzywione ich szable, w obec postępu sztuki wojennej w całym świecie, odnosiły ciągle porażki.

Wyrodziły się „kwiaty begtasowe”, znikła ich dawna krasa, pożółkły liście, kolce jedynie trzymały się mocno, a nie były to kolce tarniny, które strzegą ogrodu przed najściem nieprzyjaciela, lecz szpilki ostu, kaleczące dłoń ogrodnika.

Nikt nie był pewnym swój własności ani jutra, tron chwiał się nieustannie, sultan i jego dygnitarze mogli każdego dnia oczekiwać śmierci. Bunt janczarów przeszedł w chroniczną, stale w pewnych odstępach czasu wracającą chorobę, która potężną niegdyś monarchią toczyła niby robak.

Piekielny ich wrzask przerwał posiedzenie dywanu, zgromadzeni w „kopułowej sali” dostojnicy pod wpływem trwogi, nie mogli nic dobrego wymyśleć, gdyż stracili przytomność.

Zniewolony groźbami janczarów, Mahmud wysłał wojsko przeciw Alemu, potem zaś, gdy Tepe-lenti obracał kraj w perzynę, siejąc wszędzie postrach i zniszczenie, sultan wezwał ich z konieczności, by się połączyli z armią Gaskho beya, lecz odebrał odpowiedź, że janczarowie w takim razie tylko mają obowiązek wystąpić do walki, jeżeli sam władca wiernych stanie na ich czele.

W zamian za to rozpoczęli wojnę w stolicy; każda wiadomość o przegranej bitwie sprowadzała katastrofę. Napadali bezbronnych greków i wyrzynali ich bez litości. Z głębi Azji, z najmniej ucywilizowanych części kraju, ciągnęły gromady „begtasowych braci”, którzy zwiastowali w meczetach zgubę greckiego narodu, a ujawszy pochodnie, na czele dziękij tłuszczy napadali Bujukdere, Perę i Galatę, kolbami karabinów dobijali się do bram seraju, żądając śmierci ofiar zamkniętych w gmachu „siedmiu wież”. Ulegając przemocy, dygnitarze państwa podpisywali coraz świeży wyrok; z dniem każdym, padały setki ofiar, a gdy Stroganow wystąpił z protestem, janczarowie zdobyli jego pałac

i z okien strzelali do miasta. Ta okoliczność stała się jedną z przyczyn długiej wojny, która wstrząsnęła turecką monarchią, lecz janczarowie już jej nie doczekali.... Przyczajony, skulony, patrzył z dachu Mahmud na zburzenie miasta, zniszczenie Turcyi, pomocy znikąd spodziewać się nie mogąc; widział tylko smutny los swoich przodków, którzy zginęli z rąk ludu, i upadek państwa.

Głaszcząc jasną główkę pierworodnego syna, powtarzał w duchu, zamyślony smutnie: Ten już nie będzie władcą wiernych, śladem ojca i dziadka; prawowity potomek Omara nie zagarnie połowy świata, lecz stanie się sługą niewiernych, wygnan-
cem na ziemi, jak niegdyś przed wiekami nieszczęśliwy Dżem.

Nędzne życie prowadzi sułtan.

Cóż ztąd, że raj ziemski stoi dla niego otworem, gdy nie wolno mu żyć? Na cóż mu być bogiem, gdy nie może stać się człowiekiem? Nie widzi nigdy swoich braci: bardzo wcześnie, w dzieciennym wieku, całe jego rodzeństwo zamkniętém bywa w gmachu „siedmiu wież”, pierworodny nie spotyka się z niemi — chyba na stopniach tronu, gdy zbuntowana tłuszcza uwolni z wieży którego z braci, a dawnego sułtana zrzuciwszy, tamtemu odda władzę.

Gdyby sułtan powiedział w haremie, że ze wszystkich stron świata nadciągają wojska, że krocie nieprzyjaciół grożą stolicy—może z niejednej piersi wydobyłoby się westchnienie ulgi, radości. Niejedno porwane dziewczę ojczystych stron zapomnieć nie mogąc, z tajoną radością myśli o téj chwili,

w której obca ręka zastuka do bram pałacowych, przetnie więzy i wróci jej wolność.

Służalcza pokora płaszczyła się przed panem... strach, nie miłość wita go w tych progach. Do kogóż ma się zwrócić, gdy jego serce ogarnia niemoc, która ostrzega władców, że i oni są ludźmi, a zwie się trwogą?...

Całą pociechą Mahmuda był ośmioletni synek, zostający pod opieką babki, sultanki Validy, dziś zaledwie czterdzieści lat mającej, niewiasty energicznej i w stolicy Francji wychowanej na europejski sposób. Wnuczek kochał babkę nad życie, przyswajał sobie jej zalety, a za jej wpływem w trzydzieści lat później w całym państwie zaszły poważne zmiany.

Sultanka Valida chciała wychować chłopca w ten sposób, ażeby jak dorośnie mógł zająć godne miejsce wśród panujących sąsiednich mocarstw. Zasielała w jego umyśle ziarno nauki, szczepiła w sercu szlachetne zasady, z pociechą dla ojca, który bawiąc się z synkiem i na kolanach go kołysząc, usłyszał z ust dziecka niejedno mądre zdanie; serce Mahmuda nabrzmiewało dumą, śmiały się usta, lecz drżał z obawy, aby kto tego nie spostrzegł.

Staro-turecka partya śledziła pilnie każdy wyraz swego pana, mały palec jednego z „begtasowych braci” łatwiej go mógł zgubić, niżli połączone siły greckich bohaterów. Gdyby się dowiedziało, że syn Padyszacha czerpie wiedzę z innych książek zamiast z alkoranu, w którym cała mądrość jest zawarta, byliby zdolni zbuntować jan-

czarskie szeregi, zburzyć seraj, zabić Mahmuda i jego potomstwo.

Los Sidi Achmeta stanął mu w pamięci. Jako najstarszy z ulemów, był on także imamem w meczecie św. Zofii, widząc upadek turków nie tylko na wojnie lecz i w dyplomacyi, pewnego razu na posiedzeniu rady wystąpił z projektem, który stał się przyczyną jego zguby. Wychodząc z zasady, że tak jak turcy czerpią wiadomości wojenne i strategiczne z ksiąg alkoranu, chrześcijanie pewno posiłkują się biblią, ażeby więc im dorównać, należy zabrać się do jój studyowania *). Wolno-myślny imam ciężko odpokutował swoją radę, gdyż wygnany do Chios, pod błahym pozorem z władzy zrzucony został, a ponieważ ulemowie nie giną od miecza, wrzucono go pod młyński kamień, dla przykładu wszystkich, którzyby śmieli poruszyć najmniejszą cegielkę odwiecznej budowy państwa...

Błogosławiona.

Gdy dzielny Leonidas Argyrocantharidaes na jednym z pięknych swoich statków odpłynął ze Smyrny, spotkał go wcale nieprzyjemny wypadek.

Okręt wiozący znaczną ilość farbowanych skór do Stambułu, w połowie drogi zaskoczony przez

*) Poujontat „Histoire de l'Empire Ottoman”.

burzę, która ścigała go aż do Seleucyi, wśród ciemnej nocy na piaszczystą ławę wyrzucony został. Nie mogąc się ztamtąd wydobyć, kupiec płakał i narzekał, tem głośniej, gdy za nadejściem dnia położenie przedstawiło się w całej grozie.

Statek się przechylił, a spienione fale w każdej chwili groziły mu straszną zagładą. Od czasu do czasu, olbrzymie bałwany rozbijały się o pokład, żagle i maszty zniknęły bez śladu, blanki trzeszczały za każdym uderzeniem fal. Słowem, sytuacja okrętu była fatalna, po wydostaniu się z ławy mogła jednak stać się gorszą, gdyż groziły mu seleucyjskie wybrzeża, strome skały, opierające się nawałnicy, chłostane falą na sto sążni wysoko.

Nie jest to wcale dogodne miejsce dla okrętów. Zaczny handlarz rozpacział nad swym losem, opłakując okręt, umalowany wszystkimi kolorami tęczy, z którego nawet w ostateczności nie chciałby wyrzucić ani jednej wiązki cennych skór. Ubolewał nad sobą, że w samym początku tak szczęśliwie zapowiadającego się roku, będzie musiał pożegnać się z życiem, najwięcej jednak żał mu było czerkieskich dzieci, drogiego chłopca i ślicznej dziewczyny, aniołków, za które dziś z zamkniętymi oczyma dałby mu każdy dziesięć tysięcy, a za taką cenę Leonidas własnej swojej skóry pozbyć się jest gotów.

Pelen słodkich nadziei, wioził dzieci do Stambułu, no — i trzeba nieszczęścia, że przekleństwo Kazi Mollaha dopędziło go tuż — tuż pod progiem. Chcąc się ratować, wysłał dwie łodzie ku wybrze-

żom, lecz w jego oczach pierwsza, potem druga, rozsypały się w drobne kawałki.

Należało już tylko spokojnie wyczekiwać śmierci.

Okręt coraz głębiej się zapadał — załoga straciła przytomność. Ten i ów klął na czém świat stoi, inny znowu modlił się, ręce do nieba wznosząc, a wszyscy krzyczeli powiększając zamęt.

Leonidas modlił się lub miotał klątwy, sam nie wiedząc czego się trzymać. Objąwszy się za szyję, dzieci usiadły na strzaskanym maszcie, zdumione majestatycznym a nieznanym dotychczas widokiem. Gromady ptastwa unosiły się w górze ponad okrętem, radośnie trzepocząc skrzydłami. Co to za szczęście być mewą!

Dzieci umówiły się stanowczo, zaraz w pierwszej chwili niebezpieczeństwa, że gdy zatonie okręt, rzuć się w morze i do brzegu popłyną. Wszak to dla nich rozkoszna zabawka!

Pelen rozpaczy, Leonidas całować ich zaczął, powtarzając wśród łez:

— Wielki Boże! dwadzieścia—całe dwadzieścia tysięcy! Sądząc, że ze strachu stracił rozum, dzieci uspokajały go jak mogły.

— Nie martw się drogi opiekunie, my nie zginiemy i ciebie nie opuścimy! Gdy zatonie okręt, popłyniemy sami, ty przyczepisz się nam do pasa i wszyscy troje dostaniemy się na wybrzeże.

Kupiec ścisnął i całował pocziwe dziecięcki.

W godzinę potem, okręt stał się pastwą burzy, zginęła załoga, znajdując śmierć w łonie wód; trzy tylko osoby pozostały przy życiu: Thomar, Miljena i dzielny ich opiekun.

Nie umiejąc pływać, Lermidas dał się wciągnąć w wodę. Dobiwszy się z trudem, podrzucony w górę siłą fali, która mogła w każdej chwili roztrząskać go na części, Thomar wystającego pnia szybko się uchwycił i pociągnął za sobą siostrę, oraz nieprzytomnego zupełnie greka.

Handlarz o bożym świecie nie wiedział — nie zmarł, lecz trudno było zapewnić, że znajduje się przy życiu. Thomar złożył go na ziemi, aby wracająca fala nie porwała go z sobą. Usiedli też oboje w szczelinie skały, widząc, że tutaj nic już im nie zagraża.

Siedzieli tam do nocy, skuleni, zmordowani, nie mogąc ruszyć się z miejsca. Z pewną zazdrością spoglądali na długi sznur ptastwa snujący się gromadnie lub siadający na skałach, do których przystęp dla nich był niemożliwy. O zmroku ustała burza, wygładziła się powierzchnia wód, a miejscowość, w której schroniła się nasza trójka, ponad poziomem morza znalazła się teraz na trzy sążnie wysokości.—Dzieci zaczęły się rozglądać.

Cały brzeg zasłany był belkami i szczątkami trupów, z pięknego okrętu, licznój załogi i towarów morze wyrzuciło tylko nędzne strzępy.

Lecz kupiec nie rozpaczał. Kazał dzieciom kłęknąć obok siebie, sam także zgiął kolana i odmówił wraz z niemi dziękczynną modlitwę za tak cu-

downe ocalenie. Potem zaś dzieci ucałowawszy, szepnął ze łzami w oczach:

— Już się nie martwię, że utraciłem najpiękniejszy okręt i mnóstwo towarów; gdy mam was kochane dzieci, grzechem byłoby się smucić.

I mówił prawdę.

Dojechawszy do Stambułu, otrzyma za te miłe istoty dwa razy więcej niż kosztował okręt i zawarty w nim towar.

Teraz jednak przedstawiało się pytanie, jakim sposobem i jaką drogą do siedzib ludzkich trafić ztąd będzie można. Żeglarze unikają tych brzegów, bo są niezamieszkane, rybacy nawet nie zaczepiają tu swych łodzi, a rozbitkom, którzy w walce z morzem odnieśli zwycięstwo, grozi tam śmierć głodowa.

W tak smutném położeniu, zdawało im się nagle, że słyszą echo kilku męskich głosów, powtarzające gwarną rozmowę.

Dzieci się zerwały z miejsca ucieszone, szczęśliwe; przeląkł się kupiec, pewny, że ze zbójcami rozprawiać się będzie musiał.

Thomar rzekł do Miljeny, żeby została z Leonidasem, on zaś pójdzie zobaczyć kto mieszka w téj pustce. Odważny chłopak wdrapywał się z jednej skały na drugą, obszedł każdą, jak najdokładniej ją zbadawszy, aż znalazł wejście do jaskini, krzakami zarośnięte w połowie, do którego przecież można się było dostać.

Podług wszelkiego prawdopodobieństwa, głos mógł ztamtąd pochodzić, nigdzie jednak, w pobliżu ani dalej, nie widać było nikogo. Przed wejściem

do pieczary, wysokie kępy mchu nie zdradzały śladu stóp ludzkich, były nietknięte, puszyste.

Thomar odezwał się głośno, a gdy mu nie odpowiedziano, bez trwogi, chociaż zwolna, dalej się posuwał. Szedł za smugą światła przez szczeliny się wydobywającego, a gdy się ściemniło, wrócił tą samą drogą, aby oznajmić grekowi, że odkrył pieczarę, w której będą mogli przenocować.

Owe tajemnicze głosy były więc tylko złudzeniem!

Nie namyślając się długo, poszli za radą dzielnego chłopca, i szczęśliwie do pieczary się dostali.

Rozejrzawszy się nieco, Miljena krzyknęła z radością.

— Czy widzisz, Thomar, co to są za skrzynie?

Rzeczywiście, stały tam dwie wielkie paki, których jednak Thomar dotychczas nie spostrzegł. Pewno, ze zburzonego statku morze wyrzuciło je aż tutaj. Jedna z nich miała pozór skrzyni, w której marynarze trzymają suchary, druga prawdopodobnie zawiera szkło, a w niém wino lub likier.

Gdyby tak było naprawdę!

Z największą ostrożnością zabrawszy się do dzieła ujrzeni zdumieni, że w pierwszej paczce jest pełno sucharów, świeżych, pachnących, jak gdyby przed chwilą je tam złożono; w drugiej zaś wszystkie butelki dochowały się w całości, starannie przesypane sieczką, nie ruszyły się nawet.

Nie było czasu pytać z kąd to pochodzi i na co to wszystko tutaj zostawiono, podobne kwestye nie obchodzą ludzi, którzy przez całe trzy dni nie mieli nic w ustach. Nie przyszło im na myśl radzić się

alkoranu, co w takim wypadku uczynić zaleca, czy nie broni jeść owego chleba i otworzyć flaszy. Zapomniawszy o doznanych trudach, po pierwszej szklance wina dzieci zasnęły snem głębokim, kupiec zaś czuwał, zamierzwszy spróbować kolejno wszystkich gatunków win. Gdy to uskutecznił, ułożył się do spania nadzwyczaj wygodnie, głową na dół, nogami do góry. Wszyscy troje spali jak najęci.

Wówczas w głębi pieczary dały się słyszeć głosy i z ciemnego jój wnętrza ukazało się sześciu poważnych starców z długimi brodami i wybladłą cerą. Najpierwszy wydawał się najstarszym ze wszystkich, siwa jego broda sięgała aż do pasa, krzaczyste brwi i długie wąsy czyniły go niemal groźnym.

Byli to Omaryci, członkowie zakonu związani najcięższymi ślubami, którym nie wolno przez całe życie ujrzeć dziennego światła. Pograżeni w wiecznej ciemności ku czci Allaha, na długą noc skazani—nie mają prawa przed zachodem słońca wyjść ze swoich kryjówek.

Noc już zapadła, gdy Omaryci zbliżywszy się do śpiących otoczyli ich kołem. Jeden tylko, zapewne najstarszy, drżącą brodę nad nimi pochylił, przy słabém świetle gwiazd rysom dziewczyny i chłopca bacznie się przyglądał, i szepnął do towarzyszków:

— Tak—to oni.

Następnie wielkim palcem dotknął głowy Thomara, a wszyscy z największą uwagą wzrok w niego wlepili. Pierś śpiącego zaczęła się podnosić, zacisnął dłonie, na twarz jego wystąpiły rumieńce,

nabrzmiały wargi. — Starzec chuchnął mu w ucho, jak gdyby powierzając nieznane jakieś słowa, a wówczas chłopiec wyrzekł donośnym głosem:

— Mieczem! działami! bronią!

Uśmiechnęli się starcy, skinieniem głowy potwierdzając ten wykrzyknik. Następnie siwobrody zakonnik do Miljeny się zwrócił, i chudemi palcami kilkakrotnie po jej twarzy pociągnął. Drobną pierś dziewczęcia zaczęła falować niespokojnie, a gdy pochyliwszy się chuchnął na nią, zawołała grzmącym głosem:

— Na kolana przedemną!

Zamieniwszy z sobą słów kilka, Omaryci ponieśli śpiących do jaskini. Był to raczej olbrzymi, podziemny korytarz, z wyjściem w dolinę, dziką, pustą, położoną niedaleko morza, znaną pod nazwą doliny eleucyjskich pieczar.

Omaryci szli naprzemian to w lewo, to znów w prawo, bez światła, jak człowiek pozbawiony wzroku, który nie znając ulic, bezpiecznie je przebywa i nigdy nie zabłądzi. Pod wpływem narkotycznych kropli zawartych w winie, wszyscy troje spali bardzo mocno, zakonnicy ponieśli ich aż do drugiego wejścia, i złożyli na miękkiej murawie.

Około południa zbudziły się dzieci. Podług zwyczaju, zaledwie oczy otworzywszy, brat uściskał siostrę, ona zaś brata.

Zerwał się handlarz, w pierwszej chwili nie wiedząc gdzie się znajduje, a Thomar wykrzyknął z ożywieniem:

— Ach! jaki piękny miałem sen. Słuchajcie!

Stałem tuż przy boku sultana, który na mojem

ramieniu się opierał. Wzburzony tłum przepełniał ulice, sultan był smutny i blady. Westchnął, i ze łzami w oczach rzekł do mnie:—Czém uspokoić tę spienioną falę? Przez długi czas nie mogłem odpowiedzieć, jak gdyby olbrzymi gład pierś mą przyciskał—nareszcie po strasznych wysileniach zdołałem wykrzyknąć: mieczem! działami! bronią! Wówczas opasał mnie sultan swoim własnym mieczem, rzuciłem się w tłum rąbiąc, siekąc zawzięcie, aż wybiłem wszystkich, stosami trupów zasłałem pole.

— Niedorzeczny sen! wtrącił Leonidas. Jadłeś pewno zawiele.

— I mnie, rzekła dziewczynka również odurzyło wino. Widziałam we śnie tłumy zbuntowanego ludu, zdawało mi się, że jestem mężczyzną, że wszystkich stron rzucali, rwali się ku mnie, jak wściekli, ja zaś nie bałam się ani trochę, a gdy byli już blisko, zawołałam: Na kolana przedemną! ja jestem sultan! Uspokoił się natychmiast i odeszli.

Handlarz śmiał się do łez. Czyż podobna widzieć we śnie takie niedorzeczności!

— W mojej ojczyźnie wierzą—rzekł Thomar najpoważniej w świecie,—że pierwszy sen na świeżem miejscu spełnić się musi.

— Miałbym się z pyszna—zauważył kupiec.—Śniło mi się dzisiaj, że mnie powieszono, głowę na dół, nogami w górę.

To powiedziawszy wysłał chłopca z jaskini.

— Idź moje dziecko, zobacz czy morze już spokojne i czy nie widać gdzie jakiego statku.

Thomar spełnił rozkaz, lecz zaledwie głowę wychylił, zawołał zdumiony:

— Co to znaczy? Nie dość, że nie widać okrętu, lecz zniknęło morze, tylko dno pozostało.

W samą rzecz okolica dzika zupełnie, za dno morskie uważaną być mogła.

Sądząc, że chłopak żartuje, Leonidas się rozgniewał.

— Schowaj te dowcipy—rzekł ostro—przetrzyj oczy, i patrz uważnie.

— Dziewczynka pobiegła do brata, i aż podskoczyła ze zdziwienia wołając:

— Morze nam uciekło!

Podniósł się handlarz i wyrżał z pieczary, oczom swoim nie wierząc. Tak, dzieci mówią prawdę!

— Bóg czyni cuda—rzekł po chwili, jak gdyby w natchnieniu.

Nie ulegało wątpliwości, że nie znajdują się w tém samém miejscu, na którym zasnęli.

— Pewno nas tutaj przeniosły duchy—wtrąciła Miljena.

— Tak, duchy, z pewnością—dodał kupiec pomimowoli sięgając do trzosa, w którym miał brylanty.

Gdyby to byli ludzie, z temi skarbami jużbym się nie spotkał.

Teraz należało jeszcze rozpatrzyć się dokładnie, gdzie i jak z téj pustyni wydostać się będą mogli. Obawa zatonięcia już tu im nie zagraża—są bezpieczni, na lądzie łatwiej sobie poradzić.

Po długim szukaniu wypatrzyli na piasku ślady ludzkich kroków, i za temi śladami idąc, spotkali pasące się kozy, a opodal ujrzeli pastucha.

Zamiast się ucieszyć, Leonidas pobladł ze stra-

chu na widok barczystego wieśniaka, który zbliżywszy się do nich zapytał szorstko:

— A może to wy jesteście rozbitki z jaskini Dżina?

— Dżin?—szepnął Leonidas—to musi być zły duch, jeśli się nie mylę.

Dzieci odpowiedziały na pytanie, prosząc pasterza, by im pokazał drogę do najbliższej wioski.

— Idźcie prosto, nad przepaścią, traficie na pewno. Zaraz po prawej ręce stoi moja chata, a w niej derwisz, który was objaśni dokąd się macie udać. Salem alek.

Z temi słowy, ku zdumieniu greka, pasterz się oddalił. Dzielny kupiec drżał o swoje brylanty, fizyonomia wieśniaka wydała mu się mocno podejrzaną.

W godzinę potem, zatrzymali się u derwisza.

— Czekałem tu na was—rzekł wychodząc na ich spotkanie. Wiem, że wasz okręt zatonął, a noc dzisiejszą spędziliście w jaskini Dżina.

Co za cudowne wypadki!

Derwisz przyjął ich gościnnie wschodnim obyczajem, umył im nogi, potem nakarmił, napił i do bram Seleucyi odprowadził. Nie rozumiejąc nic z tego wszystkiego, a okoliczności towarzyszących cudownemu ocaleniu dowiedzieć się pragnąc, handlarz wypytywał, badał, za każdym ruchem Derwisza śledził uparcie. Nie osiągnął jednak celu, gdyż zamiast mu odpowiedzieć, turek przypowieściami z alkoranu sypał jak z rękawa i na tém rozmowę kończył.

U bram Seleucyi zacny handlarz podziękował turkowi ze łzami w oczach.

— Nie chciałbym cię dalej trudzić—rzekł wzdychając—gdyż wynagrodzić cię nie jestem w możności. Niech Allah ci zapłaci! Ja żebrak nieszczęśliwy—goły jak palec, morze pochłonęło cały mój dorobek.

Posiadał wprawdzie pełny trzos drogich kamieni, ale skorzystał z nieszczęścia, aby derwisza zbyć pięknemi słowy.

Nie dając mu dokończyć turek odparł łagodnie:

— To było moim obowiązkiem. Nie dla ciebie, lecz dla tamtych...

Na pożegnanie dał dzieciom po różańcu, i odszedł szepcząc pacierze.

Wszedłszy do miasta, dzieci wysunęły się naprzód i zamieniły z sobą słów kilka, a gdy się zatrzymali na jednej z pierwszorzędných ulic, Thomar ujął dłoń Leonidasa, i rzekł z zapalem:

— Morze zabrało ci majątek — jesteś biedny... Któż ci da pomoc w tém mieście, gdzie nie znasz nikogo?... Pozwól nam śpiewać przed domami wielkich panów, a zarobimy na życie.

Wzruszony propozycją chłopaka, handlarz pozwolił im śpiewać na placach i podwórzach wielkich gmachów, a zarobiwszy na drogę puszczał się w dalszą podróż.

Takim sposobem dojechali do Smyrny.

Od własnych, najbardziej przywiązanych dzieci, nie mógłby Leonidas żądać więcej dowodów—dobrego serca, miłości i szacunku. Cierpieli głód aby on się najadł, marzli aby go przykryć jak najlepiej,

czuwali naprzemian chcąc aby się wyspał, narażali się na ciężkie upokorzenia ulicznych śpiewaków, aby tylko on żebrać nie był zmuszony.

Szlachetne dzieci!

Gdy przybył drugi statek nędzarza, popłynęli do Stambułu, nie spotkawszy w drodze żadnych przeszkód. Tam poprowadził ich zaraz do Kizlara agi, który zbadawszy kwitnący stan ich zdrowia, dobre wychowanie i wrodzoną zręczność, wypłacił kupcowi żadaną sumę. Thomar miał zostać błaznem padyszacha, Miljenę oddano do seraju.

Sprawiedliwość nakazuje nam dodać, że sprzedając *najdroższe dzieteczki*, grek płakał jak bóbr.

Pocziwina!...

Bal w Seraju.

Sułtanka Valida obchodziła dzień swoich urodzin. Matka Mahmuda była francuzką, mieszkała z rodzicami na wyspie Martynice, a w bardzo młodym wieku wysłano ją do Paryża, gdzie do lat szesnastu w klasztorze odbierała edukację. Potem zaś stęskniony ojciec przyjechał zabrać ją do domu.

W drodze powstała burza, okręt zatonął, a podróżni znaleźli schronienie na innym statku, który cudownym trafem na pomoc im przyplłynął. Uniknąwszy śmierci na pełnem morzu, wpadli niebawem w moc rozbójników, którzy zabrali wszyst-

kich. Takim sposobem młoda francuzka została sprzedaną do seraju.

Biedne kwiaty zrywane po całym świecie dla władcy wiernych znikły w obec pięknej, rozumnej, po europejsku wychowanej damy. Selim pokochał ją nad życie, a syn oddałby za nią wszystkie swoje odaliski. Z okazji urodzin wielka szykuje się niespodzianka. W największym sekrecie, sułtan wszystko przygotować kazał.

*Urządził europejski bal w seraju *).*

Sprowadził zdolnych krawców z Wiednia, modne suknie odaliskom posprawaiał, dozorczy uczyli się najświeższego walca, menueta i kadryla, damy zaś miały popisać się tańcem. Mężczyźni, a mianowicie Kizlar aga, Anaktar bey, młody następca tronu, Abdul Medżyd, i sułtan wystąpili także w europejskim stroju, a gdy solenizantka weszła do oświetlonej sali, ze zdumieniem stanęła jak wryta.

Ujrzała się, jak gdyby cudem, na jednej z uroczystości dworskich, którym przyglądała się w Luwrze będąc jeszcze dzieckiem, a widok ten zbudził dawne wspomnienia.

Odaliski w modnych strojach paryżanek przechadzały się z wdziękiem po olbrzymiej „porcela-

*) Historycy notują ten fakt, jako ważny wypadek w życiu Mahmuda.

nowej sali;“ długie ich rękawiczki, jedwabne pończochy, zamiast turbanów kwiaty i pióra, wszystko było osobliwością pierwszy raz pojawiającą się tutaj.

W lokach wysoko piętrzących się nad czołem i wyciętych sukniach, lekka powiewna rzesza znalazła się odrazu w swoim żywiole. Był to bal kompletny, brakowało w nim tylko czarnej barwy, właściwej mężczyznom, czyli ściśle mówiąc, ginęła ona w tej powodzi, reprezentowana trochę za skąpo przez sułtana, młodziutkiego następcę tronu, beya i Kizlara agę. Trzech mężczyzn i jedno dziecko, wszyscy w węgierskich dolmanach, długich czarnych spodniach, czerwony fez jedynie tylko z dawnego stroju zostawiwszy.

Krępy, średniego wzrostu sułtan, wiceżupana przedstawiał znakomicie, młody książę urosł i zmęźniał w węgierskim stroju, wydatnie rysującym szlachetną jego postać; włosy ma rozdzielone modnie, białą kamizelkę, która z pod dolmanu się wychyla. Kizlar aga w nieustannym znajduje się kłopotcie i nowy strój robi mu dystrakcyą, nie wie co czynić z rękami, radby je za pas wsunąć, a nie ma pasa; szarpie co chwila poły surduta, jak gdyby się gniewał że nie sięgają aż do ziemi.

Sułtanka Valida jest uszczęśliwioną. Wspomina młode lata, ściska syna, dziękując za tak przyjemną niespodziankę, a Mahmud z czcią najwyższą rękę jej całuje.

Ileż-to kobiet posiadało serce padyszacha!—cześć pozostała dla matki jedynie.

Wesołe, uśmiechnięte odaliski do sułtana się

garną. Nie był nigdy surowym dla nich, obrońca raczej i opiekun—kogo pokochał, ten mógł liczyć na jego łaskę trwałą i niezmienną.

Powabne w nowych strojach, wszystkie na wyścigi rade podobać się sultance, cisną się do niej i wdzięczą.

Najlepiej jednak przedstawia się nowa gwiazda; od paru tygodni znajdująca się w seraju, młoda czerkieska, z pierwszych najpierwsza.

Patrząc na jej chód lekki, elastyczny, gołębie zgięcie szyi, precudne ramiona, trudno uwierzyć, że to jest proste dziewczę, które w siedlisku mody nie było ani razu. Loki *à la Vallière* rozrzucone w nieładzie chłopięcy jej niemal nadają pozór, co zdaniem znawców czyni ją jeszcze powabniejszą.

Leonidas prawdę powiedział, że tylko ten szmat ziemi godny jest nosić jej stopy.

Ucałowawszy białe czoło czerkieski, Valida do syna ją prowadzi, sułtan rękę cofa — któż słyszał całować dłoń człowieka w europejskim stroju?...

Ośmielony ojcowskiem przyzwoleniem, następca tronu podał ramię czerkiesce i poprowadził ją dookoła sali.

Prześliczna para dzieci. Dwudziestoletni młodzian i czternastoletnia dziewczyna, łądząco do chłopaka podobna!

Odezwała się wreszcie starannie ukryta kapela—nowa niespodzianka! Valida słucha z rozkoszą dawno przebrzmiałych tonów—ileż-to lat od téj pory już minęło... Lecz zdumienie paryżanki dochodzi do najwyższych granic, gdy skłoniwszy się matce, sułtan do menueta ją zaprasza.

Co za szalony projekt! Matka ma tańczyć z symem wobec tylu kobiet, które nigdy tego nie widziały! A gdzie jest druga para?

Tak—Miljewa z wnukiem.

Naprzeciwko Validy i Mahmunda właściwe zajmawszy miejsce, przy dźwiękach muzyki powolnej, rozmarzającej, z najwierniejszą *grandezza* wykonywają pełen galanterji taniec; kłaniają się, komplementują jak upudrowani dworacy i w „muszki piękności“ zdobne boginie z epoki „*Oeil de boeuf*.“

Nic podobnego dotychczas w seraju nie widziano.

Sułtanka zdumiona jest wprawą i wdziękiem, z jakim Miljewa porusza się w tańcu, pełna dystynkcyi dama, z wyniosłym uśmiechem Gabryeli d'Estrelles, i—oczami dziecka.

Dobry Mahmud tak się na nią zapatrzył, że poplątał się już na końcu i wbrew wszelkim formom do serca ją przycisnął, zamiast jak należało, skłonić się nisko swojej tancerce, w rękę pocałować i na miejsce odprowadzić.

Po menuecie, zagrano walca, a odaliski ujawszy się we dwie, tańczyły bez wytchnienia. Tu i owdzie zachwieje się para, do długich sukien nie przywykła, tańczące nimfy na nią się cisną, łamią porządek—inne znowu przesycone już tańcem lub zmęczone trochę, porywane zostają przez silniejsze i bardziej ogniste towarzyszeki, podczas gdy stary Kizlar aga i bey na środku sali porządku pilnują. Rozweselony tłum kobiet rzuca się na obydwóch, obejmuje ich kołem, ciągnie w wir taneczny, aż biedacy nie wiedzą, co się z nimi dzieje.

Sułtanka Valida, Mahmud, Miljewa i następca

tronu, zajmwszy miejsca na estradzie, przyglądali się téj oryginalnej scenie. Im głośniej ożywiały się flety, im mocniej grzmiały bębny, tém żwawiej szarpały odaliski dwóch nieszczęśliwych starców.

Zabrzękły talerze...

Sza!... cóż tam znowu? Sułtan czoło marszczył i słucha. Co za szmer psuje harmonje tęsknej nuty walca?... Czyżby tam również huczały trąby, brzmiały bębny i weselono się na dworze?

Co za przywidzenie! Przynieście kielichy a nie szklanki—precz z sorbetami! dzień dzisiejszy odpowiednio spędzić należy! Dajcie nam wina—europejczycy po europejsku pić będą. Sułtan był osobliwym amatorem tokaju i szampana; ambasadorowie jednej i drugiej ojczyzny tych win, wywierali na niego wpływ nieograniczony, *) odaliski także skosztowały wina, taniec się rozszalał, muzyka przybrała gorętszy charakter—śpiew odurzał.

I cóż tam znowu?

Sułtan wstaje i słucha. Co za hałas pod oknami. Co tak świeci czerwonym blaskiem?

Ten grzmot nie jest dziełem kapeli, krzyk wrzawą taneczną a brzęk miarowym dźwiękiem mo siężnych talerzy... Tam ryczą działa, brzęczą szable, a łuna ogni sztucznych pochodzi ze smoły.

Daléj Mahmudzie, ciśnij kielich, rozbij go na części, a chwytaj miecz! Noc balowa jest nocą śmierci!

Buntownicy pod bramami seraju!

*) Poujovlat „Histoire de l'Empire Ottoman”.

Na czele tłumu dwanaście tysięcy janczarów do szturmującego się szykują, podczas gdy muzyka brzmi tutaj w najlepsze.

— Słyszycie—woła Kara Makau, zawzięty krzykacz, który metropolicie Stambułu własną ręką śmierć zadał, powiesiwszy go w pałacu—słyszycie muzykę? Tutaj zabawy, tańce, gdy cały kraj we łzach. Może nie wiecie co się stało wczoraj?

Sulioeci schwytali Gaskho beya pod Janiną, zburzyli nasze wojsko, jedna z ich kobiet podpaliła okręty a Kormandżahan ledwie się trzyma. Zguba już bliska, a zdrada gości w seraju. Oni tańczą, kąpią się w winie—ich występki ściągnęły na nas karę. Allah jest sprawiedliwy. My jęczymy, brodzimy we krwi, a oni się z nas śmieją. Niech oni także płaczą i cierpią, jak nasi bracia, których wysłali na wojnę!

Ryk wzburzonego tłumu poparł zdanie mówcy.

— Choćbyście przebiegli kraj cały, gorszego miejsca nie znajdziecie!

— Podpalić seraj! wrzasnął jeden, a za nim inni powtórzyli.

— Podpalić seraj!

— Gdy ujść zdołacie przed nieprzyjacielem, ten z wszystkich najgorszy, który mieszka tutaj, w swe szpony was zagarnie!

— Śmierć dowódczcom! Śmierć próżniakom!

Jakiś głos zawołał, tuż nad uchem Kara Makaua:

— Śmierć sultanowi!

Mówca rozejrzał się w tłumie i rzekł:

— O sułtanie ani słowa. Życie jego jest święte. On i jego syn są ostatnimi z książęcej krwi Omara, więc chociaż nie wart zasiadać na tronie założonym przez Mahometa dla jego potomków, jako ostatni jest dla nas świętością. Z tamtymi załatwimy rachunek: Reis effendi, Kapudan i Kizlar aga niech tu do nas przyjdą. Oni są przyczyną naszego upadku, władcy گیاورów płacą im za zdradę. Trzeba ich wytępić co do nogi, nie przepuszczając dzieciom — niemowlętom, aby wygasł ich ród!

Lud zgromadzony przed serajem, niby dzikie zwierzę, szarpał się i miotał, chcąc wysadzić bramy. Janczarowie uderzyli w bębny, zagrzmiały rogi.

Umilkły tony walca, zamarł uśmiech, pobladyły usta — huk dział wstrząsnął powietrze.

Nie zastanowiwszy się nad grozą położenia, jeden z idzoglanów kazał strzelać do ludu.

Przerażony, pobladyły sułtan wybiegł do środkowej bramy, aby ztamtąd przemówić do narodu.

Oficyaliści i urzędnicy padli mu do nóg i obejmując kolana, błagali aby się ukrył przed wzburzonym ludem. Mahmud nie rozumiał o co im idzie. W strasznym zamieszaniu, od przytomności niemal odchodząc, zapomniiał, że ma na sobie nienawistny strój گیاورów. Gdy wyszedł na balkon, łuna smołowych wieńców otoczyła go płomienistym kołem — janczarowie dostrzegli go zaraz.

! Rozwścieczony tłum, palcem go wskazywał. Dziki krzyk rozdarł powietrze.

— Patrzcie! wołano, oto jest sułtan! kalif nad kalifami; czy go widzicie? Padyszach w ubraniu

giaura! To jest Mahmud sprzymierzeniec naszych wrogów! Mahmud potomek proroka!

Ułękł się sułtan gniewu swych poddanych, i drżąc na całym ciele, cofać się zaczął.

— Jak zażegnać tę burzę? — szepnął blademi usty, sam nie wiedząc co mówi.

Usunęła się służba, nie tyle z poszanowania dla wysokiej godności władcy wiernych, ile ze strachu. Wszyscy potracili głowy.

W tak ciężkiej chwili jakiś młodziutki idzoglani staje przed obliczem padyszacha, śmiało podnosi głowę, i rzecze, na pytanie władcy wprost odpowiadając.

— Mieczem — działami — bronią!

Tym śmiałkiem był Thomar.

Zmierzywszy wzrokiem drobną jego postać, zdumiony zuchwalstwem młodzieniaszka, sułtan odzyskał krew zimną. Pospieszył natychmiast do swjej komnaty, zmienił ubranie, i spokojny już teraz wyszedł na dziedziniec.

Armady były już wycelowane, długi sznur bostandżyków czekał na rozkazy, płonące lonty w każdej chwili przyłożyć gotów.

Gdy sułtan wyszedł na dziedziniec idzoglani otoczyli go zaraz, w obronie swego pana do ostatniej kropli krwi walczyć zamierzyszy. Było ich stu, nie więcej, a na czele tej garstki Mahmud ujrzał Thomara. Bohaterski zapal tego dziecka udzielił się innym.

Na dany znak młodzieńcy opuścili miecze, bostandżyki zdmuchnęli lonty, sułtan kazał bramy otworzyć.

Oddalił wszystkich, i sam jeden, w malowniczym stroju padyszacha, pełen godności stanął tuż pod bramą. Gdy ją otwarto, z pochodniami i bronią tłum wtargnął na dziedziniec, a ujrawszy Mahmuda cofnął się niby jeden człowiek, i zatrzymał się jak wryty. Już go nie wyśmiewano teraz. Wyniosły spokój władzcy ostudził wściekłość buntowników.

Trwało to jednak tylko chwilę. Potem wysunęła się z tłumy jakaś ręka i dotknęła zuchwale ramienia Padyszacha.

Mahmud zbladł — uczuł się zgubionym. Tłum go otoczył, niebezpieczeństwo wzrastało.

Ujrawszy Thomara, zdążył jeszcze zawołać:

— Strzeż haremu! Potem ująwszy miecz zatoczył nim szerokie koło, (aż błysnęły oczy napaśnikom, pewnym już teraz, że przynajmniej kilku zgładzi ze świata), i—oddął go Thomarowi.

— Strzeż mego syna!—szepnął z cicha.

Młody idzoglan szablę przypasał, a gdy Mahmud zniknął w tłumie dzikiej czerni, usunął się z towarzyszymi na drugi dziedziniec, i stawiał opór buntownikom.

Miecz padyszacha wsławić się powinien.

Zagrzeni męstwem bohaterskiego młodzieńca, idzoglani i bostandżyki walczyli jak lwy. Było ich wszystkich razem tylko trzy tysiące.

Janczarowie rozłożyli się pod bramami pałacu, które stawiały coraz słabszy opór. Mieszkańcy haremu bronili się jednak, ani na chwilę nie ustając.

Czemu sultan ich opuścił. Przeciw całemu świe-

tu zdolni są go bronić — żadna potęga ludzka ich nie złamie. Kto wie gdzie się podział?... może go już pozbawili życia...

Oblegający przekonali się niebawem, że szturm z pochodniami na złe im wychodzi, gdyż z seraju widzą ich dokładnie, każdym strzałem to stwierdzając.

—Zgasić pochodnie!—krzyczy Kara Makau, gdy trzecia kula przebiła mu tarczę z dziesięciu skór bawolich, którą się zasłaniał. Spełniono rozkaz i ciemność zaległa dziedziniec, tylko błysk strzałów rozjaśniał ją jak błysk pioruna.

Okolo drugiej po północy zrobiono pauzę—obydwie strony potrzebowały odpoczynku. Janczarowie zaczęli się naradzać, rozprawy jednak trwały krótko, poczem Kara Makau odezwał się w te słowa:

— Słuchajcie wszyscy, którzy się tam bronicie! Wy jesteście dobrzy żołnierze, i nam też nic nie brak, po cóż więc mamy się mordować, przelewając szlachetną krew prawowiernych? Nie dlatego wzięliśmy się do broni aby was pozabijać, nie idzie nam również o życie padyszacha lub następcy tronu—chcemy go tylko wyrwać z rąk zdrajców, którymi się otoczył, uwolnić świętą jego osobę od fałszywców, którzy podkopali potęgę państwa. Wydadzcie nam młodego księcia, nie zrobimy mu krzywdy i ustąpimy ztąd niezwłocznie. Gdy zaś nie spełnicie naszej woli, oby Allah przebaczył grzechy wszystkim, którzy tam w seraju jesteście, albowiem nikt z was nie ujrzy już słońca!

Kizler aga zaniósł tę wieść do haremu; oblega-

jący i oblężeni czekali z trwogą decyzji sultanki, w której rękach znajdował się los wnuka.

Po upływie kwadransa, aga powrócił z oznajmieniem, iż żądaniu narodu stanie się zadość.

Wściekły okrzyk tryumfu rozległ się w szeregach, idzoglani szemrać zaczęli. Kizler aga ramionami wzruszył. Tak postanowiono...

— Tchórze!—szepnął Thomar spiesząc do bramy by ucałować dłoń księcia i jeżeli można—zatrzymać go, ocalić.

Pochodnie roznieciwszy, tłum cisnął się do bramy. Wewnątrz, na dziedzińcu, ciemno było jak w grobie.

Po chwili rozległy się kroki, zajaśniało światło i młody księżę w towarzystwie dwóch ludzi zstępował po schodach.

Miał na sobie strój, w którym w święto Beiramu jedździł do meczetu, witany okrzykami ludności: różowe spodnie, krótkie, żółte trzewiki, zielony kaftan w żółte kwiaty, i żółtą jedwabną kamizelkę zapiętą szczelnie pod szyję, na guzikach zaś i sznurach jaśniały różnobarwne, drogiemi kamieniami wysadzone motylki.

Doszedłszy do bramy, Kizlera agę precz odprawił, i dał znak sługom aby mu otworzyli.

Wówczas przysunął się Thomar, schwyciwszy dłoń księcia pocałował ją i szepnął:

— Nie wychodź—zostań, my cię obronimy!

Księżę uścisnął rękę idzoglana i odparł stanowczo:

— Muszę iść—ty broń seraju.

Ucałował zdumionego młodzieńca i zniknął.

Thomar zapytywał sam siebie, co znaczą te pocałunki, i czém na nie zasłużył. Nie widział twarży księcia, który spiesźnie do bramy podążał; a przez jedną chwilę trudno było przypatrzeć mu się dokładnie.

Potem Thomar zasłonił oczy nie chcąc być świadkiem zbrodni. Krwiożerczy tłum może go rozszarpać na części.

Oto go maciel!

Z wrzaskiem dzikiej radości, janczarowie do ofiary przypadli. Jedna ręka zrobi początek—inne dopełnią krwawego dzieła.

Wyprostowany, dumny młodzieniec stanął wśród buntowników i rzekł ostro:

— Na kolana przedemną!

Na dźwięk tego głosu, twarz Thomara pobladła śmiertelnie. Światło pochodni padło na twarz księcia—to nie Abdul Medżid, lecz mała czerkieska—Miljena. W świątecznej szacie następcy tronu, wyszła odważna, pewna siebie, jak gdyby urodziła się mężczyzną. Któż domyśli się prawdy? Odaliska ma także serce, chcąc dokonać wielkiego dzieła, nie dość męskiego stroju, potrzeba jeszcze męskiej duszy.

Janczarowie osłupieli.

Ta drobna, dziecięca niemal postać imponuje olbrzymom—śmie wydawać rozkazy...

Blady anioł śmierci uniósł się nad czołem ofiary, która wyszedłszy do swoich oprawców, mówi: Ja jestem książę.

Sam nie wiedząc co czyni, Thomar dobywa mie-

cza i chce bronić siostrę. Zatrzymali go towarzysze.

— Co robisz? zostaw ją własnemu losowi... Allach rządzi wszystkim.

— Na kolana przedemną—powtarza z mocą odaliska, białą rękę naprzód wyciągnąwszy, spogląda śmiało w oczy napastnikom.

Kara Makau stanął jak wryty. Niby dzikie zwierzę próbował oprzeć się jój spojrzeniu. Potem krwią zasze oczy ciemniały mu coraz bardziej, opadła zwolna ręka—zgiął kolana i rzekł pokornie:

— Szaalam!...

Pocałował rękę Miljeny, i skąpaną we krwi szablę u jój stóp położył.

Odaliska wsparła drobną rękę na głowie olbrzyma, podniosła szablę, i oddała ją Kara Makauowi. Potem, zmierzwszy dumnym wzrokiem tłum, który ją mógł rozszarpać, rzekła z powagą:

— Idź naprzód i toruj mi drogę!

Jak gdyby oczarowana jój wzrokiem, rozstąpiła się tłuszcza, Kara Makau założył broń na ramię i poprowadził odaliskę.

Usuwano się z czią prawie mimowolnie, od se-
raju do pałacu siedmiu wież kroczyła odaliska, ni-
by w tryumfalnym pochodzie.

Nikt nie poznał prawdy. Chłopięce jój rysy, świąteczny strój znany w całym mieście, a szczególnie energia złudziła wszystkich, żadnej wątpliwości nie stawiając. Wśród tłumu, w którego dostała się szpony, nie znalazł się przytem ani jeden człowiek, któryby znał bliżej księcia i zamiany mógł się domyślić.

Mahmud znajdował się już w wieży tak pamiętnéj wszystkim sułtanom, oraz członkom ich rodzin. W téj olbrzymiej sali, z oknami wychodzącemi na morze, niejednen wnuk Omara ostatnie wydał tchnienie, przez potężniejszą partya lub zwyciężkiego brata, na dłuższą lub krótszą skazany męczarnię.

Zawitał ranek, uspokoiły się krzyki—oblężenie skończone.

Kara Makau do sułtana pospieszył.

Mahmud siedział na ziemi—nie na dywanie, jak zazwyczaj, lecz na podłodze.

Miał na sobie strój padyszacha, djamentowa klamra kalifów rzucała olśniewające blaski—wzrok miał spuszczony i nie podniósł go nawet.

— Dostojny władco! rzekł Kara Makau.

Jak gdyby nic nie słysząc, sułtan obojętnie patrzył w ziemię. Żaden rys jego twarzy nie drgnął, oblicze zachowywało się spokojnie.

— Przychodzę, o panie, rozmówić się z tobą w imieniu ludu.

Sułtan się nie ruszył. Rzekłbyś, to nie człowiek, lecz posąg z marmuru.

— Wszelka burza pochodzi od Boga, Allah wie co czyni. Gdy błyskawice drżą w rękach anioła Adrameleha, czyż nie ściąga ich zawsze moc niegodziwości unoszących się w powietrzu? Czyliż trzęsienie ziemi nie pochodzi od krwi wylanéj na wojnach? Bunt muzułmanów jest także dziełem Allaha, On sam zna jego przyczynę. Mój grzeszny język nie będzie próbował o niéj mówić, ty znasz ją dobrze, pocóż mojem słowy obrażać mam

ciebie władcę wiernych. Lecz błagam cię, panie, chciiej działać tak, jak przystoi na padyszacha, zaspokój nasze słuszne żądania a natychmiast tron odzyskasz.

Mahmud spojrział już teraz na mówiącego i bawdawczy wzrok utopił w jego twarzy. Potem wstał z ziemi, do ściany się odwrócił i rzekł z pogardą:

— Sułtan nie ma zwyczaju sprzeczać się z sługą.

Twarz Kara Makaua zadrżała nerwowo. Pochamował się jednak, i odparł, urywając po każdym zdaniu:

— Panie!... lew jest królem puszczy—zamknięty w klatce—dozorcom swoim posłusznym być musi.

Znasz moję rękę—ona nieraz walczyła w twoje imię—pomagała do zwycięstwa. — Powinieneś wiedzieć—że to co ona ujmie okutém jest w żelazo.

Sułtan się zamyślił. Nagle, jak gdyby coś sobie przypomniawszy, uspokajac się zaczął; surowość znikła z jego rysów gdy rzekł łagodnie:

— Czegoż więc żądasz?

W tem, na pozór łagodném spojrzeniu tkwił pierwszy zarodek myśli zgładzenia janczarów ze świata.

— Czego żądasz? spytał raz jeszcze.

Kara Makau zrobił poważną minę, jak człowiek, który losy monarchii dźwiga na swoich barkach.

— Wysłuchaj naszej prośby. My jesteśmy rozsądni ludzie, nie chcemy rzeczy niepodobnych. Jeżeli nam dowiedziesz, iż żądanie nasze jest niedorzeczne, odstąpimy od niego, jeżeli zaś nie zdołasz tego dowieść, spełnić je musisz.

Mahmud uśmiechnął się z goryczą.

— Nie sprzeczam się z wami,—rzekł. Rozkazujcie! Kalif Kalifów posłuszny będzie swoim sługom. Każ przynieść pióro i pargamin, podyktuj mi czego żądasz. Sultan zostanie pisarzem buntownika!

Zbyt ciemny, by mógł rozumieć ironią tych wyrazów, Kara Makau rósł jak na drożdżach—mowa sultana pochlebiała mu—głaskała jego dumę. Z zachwałą pewnością siebie, wyjął z za kaftana cały zwój gotowych już dokumentów.

— Oszczędzę ci pracy, wielki padyszachu,—rzekł rozkładając pismo. Wszystko już zrobione, potrzebujesz tylko położyć podpis.

— Może pozwolisz mi przeczytać?—rzekł z goryczą Mahmud,—czy też w imieniu ludu żądasz abym podpisał nie wiedząc o co idzie?

— Jak ci się podoba.

Mahmud otwierał prośby, jedną po drugiej, przeczytane na bok odkładając.

— Ah! tu idzie o nominacją świeżego seraskiera! Nie czytam dalej. Zróbcie nim kogo chcecie, nie ciekawy jestem nazwiska. To już załatwione.

— My chcielibyśmy Kurszyda,—wtrącił Kara Makau, widząc, że Mahmud nie czyta dokumentu.

— Tutaj znowu żądanie nagrody dla janczarów. Bardzo pięknie—nie mam nic przeciwko temu! Przecież napróżno nie pracowali—należy im się zapłata. Khasnadar wypłaci żadaną sumę. Chcecie jeszcze wyprawy pod Janinę... I owszem. Pewno janczaro-
wie sami wystąpią do boju.

— Natychmiast, gdy ty, o panie, obejmiesz dowództwo,—rzekł Kara Makau najspokojniej w świe-

cie. Janczarowie są obowiązani walczyć tylko pod wodzą padyszacha.

— Reszta bazgraniny zawiera pewno tym podobne prośby!—dodał Mahmud, zaledwie na niektóre pisma rzuciwszy okiem.

Gdy rozwinął ostatni arkusz, pobladł, zerwał się na równe nogi, apatya zamieniła się w gniew wściekły.—Uderzywszy pięścią w fatalny papier, zawołał ze złością.

— Co to ma znaczyć! Poszaleliście chyba! ja miałbym to podpisać? Widocznie przewróciło wam się w głowach.

Kara Makau zdawał się na ten wybuch być przygotowanym, ani jeden rys jego twarzy nie drgnął—stał obojętny, spokojny — nareszcie rzekł z chlopską zaciętością:

— My tego żądamy koniecznie.

— Czy wiesz co tu napisane?

— Żebyś uwolnił kraj od cudzoziemców, zabronił statkom angielskim i francuzkim przystępu do Beikosu, sułtanekę Validę do Damaszkum wysłać rozkazał, i wydał nam wezyra, Kizlara agę, Kapudana i Berberbaszę.

Padyszach rzucił dokument na ziemię i zdeptał go nogą.

— Nędzne opryszki! — rzekł unosząc się coraz bardziej—pieniędzy chcecie a nie krwi! Obedrzeć, zubożyć kraj, to są wasze cele! Ja miałbym pozwolić na to—podpisać taką niegodziwość! Czy nie wy sami jesteście przyczyną złego? Ilekroć przemocy gjaurów uledz byliśmy zmuszeni, czyż nie wy, najpierwsi uciekaliście z placu boju, a gdy ojczyźnie

grozi niebezpieczeństwo, czyż do ratunku nie bywacie ostatni? Potomkowie dzielnych janczarów, których imię w pamięci niewiernych zapisane jest krwawemi głoski, słyniecie z podłości i brudów. Możecie mnie zabić. Nie będę pierwszym monarchą ginącym z waszjej ręki, lecz przysięgam na Allaha, że będę ostatni. Po mojej śmierci, albo nikt nie zasiądzie na tronie Omara, lub jeżeli zasiądzie, wyrznie was do szczętu!

Wobec oporu dostojnego przeciwnika, janczar znalazł się w swoim żywiole. Dogodniej mu było walczyć z gniewem, aniżeli z szyderstwem. Mógł przynajmniej odpowiadać.

Podniósł zmięty dokument, tak fatalny dla najpierwszych w kraju osób, rozprostował go, wygładził i powtórnie doręczył Mahmudowi.

— Podpiszesz,—rzekł stanowczo,—albo ustąpisz z tronu przodków, a inny potomek Mahometa zajmie twoje miejsce.

— Nędzniku! Twoje zuchwalstwo przeszło już granice—sam nie wiesz co mówisz! Śmierć pochodzi od Boga, nikt jej nie uniknie, lecz któżby się ośmielił podnieść rękę na syna proroka, ktoby się odważył tego żądać.

— Spójrz na mnie, wielki padyszachu!

— Widzę cię. Słońce oświeca bagna i nie skała się niemi ani trochę; ja ciebie widzę również, i nie myślę taić, że dopóki chociażby jeden tylko potomek Solimana pozostanie przy życiu, ty od tronu musisz stać zdaleka.

— Gdy rzeknę słowo — zginą! zawołał buntownik, zuchwale wstrząsając głową. Wiedz-że, do-

stojny panie, że syn twój znajduje się w naszej mocy.

Sułtan zerwał się przerażony—twarz jego zdradzała trwogę graniczącą niemal z obłędem.

— Mój syn! mój Abdul — zawołał z głuchym jękiem—nie, to być nie może!

— A jednak to prawda. Sułtanka Valida wydała go na nasze prośby.

— Co za szalona myśl!—powtarzał cichym szeptem złamany troską ojciec, nie sułtan już, nie władzca, zwykły śmiertelnik drżący o swoje dziecię, jako o skarb najdroższy. W czasie podobnych jak dzisiejszy wypadków, Abdul Medżid będąc małym chłopcem, z przerażenia dostał konwulsyj—wydanie go buntownikom śmierć mu sprowadzi. Jeżeli zaś nie umrze, to wpadnie w straszną chorobę, z której nie wyjdzie już nigdy. Dwadzieścia czworo dzieciąt sułtana Mahmuda zginęło od téj strasznej słabości — ofiary wiecznej trwogi, pod wpływem której rozwija się ród sułtanów. Co się z nim stać może!

— O, szatani! gorsi od giaurów i greków. Wyście stopą, która depta kark swego pana.

Rozpacz Mahmuda ożywiła przywódcę ludu.

— Podpisz wyrok,—rzekł krótko,—inaczej twój syn zginąć musi.

— Nędzni tchórze!—jęknął biedny ojciec. Ci, którzy go mieli bronić także nic nie warcili! Czyż nie miał matki, mogącej go zasłonić własną piersią? Czyż go musieli wydać?

— Nie stało mu się nic złego,—rzekł Kara Ma-

kau. Jest w bezpieczném miejscu. Od ciebie zależy mieć go tu, przy sobie.

To mówiąc podał mu raz jeszcze zmięty pergamin.

Złamany burzą sprzecznych uczuć i odurzony słodkim szeptem własnego serca, Mahmud się zatoczył, a chcąc się oprzeć zdrętwiałą ręką, o chłodną marmurową ścianę, nie zdołał się utrzymać i padł na ziemię jak długi.]

Teraz janczar może wszystko mówić—padyszach nie słyszy i nie odpowie.

Dziki wojak nienawykły jeszcze do władzy, zawołał z wściekłym gniewem na czekających za drzwiami towarzyszków:

— Przeprowadźcie Abdula!

Sułtan słysząc dokładnie odgłos licznych kroków, brzęk szabel, dźwięki rozmowy, z ziemi się nie ruszył i nie spojrzął ani razu.

— Tutaj! — wrzasnął Kara Makau, stając tuż przy nim, — patrz, oto twój syn, goły miecz gotów, gdy nie podpiszesz słusznych żądań ludu, głowa jego potoczy się do twoich stóp.

Mahmud zadrżał, nie odpowiedział przecież, ani nie spojrzął przed siebie.

— Podpisz lub syn twój umrze! — krzyknęli chórem janczarowie.

Ponad tą wrzawą uniósł się głos słodki, łagodny, tak dobrze znany Mahmudowi:

— Nie słuchaj ich ojczel! Niech mnie zabiją, jeżeli będą śmieli, a ty, ze służalcami ugody nie zawieraj.

Na dźwięk tego głosu Mahmud głowę podniósł

i ujrzał młodą, wysmukłą postać w książęcém ubra-
niu, z dumném spojrzeniem potomka Osmanów. Nie
były to przecież rysy jego syna, a jednak bardzo
mu drogie.

Wszak to Miljena, uroczę dziewczę z gór.

Widząc, że wzrok Mahmuda mięknie, że zwraca
się ku niej z czułością, strachem zdjęta, aby przez
wzgląd na nią, słabym się nie okazał, z płonącym
obliczem woła:

— Nędzne psyl! dość już szczekaliście na słońce,
czas dopełnić krwawego dzieła. Daléj! naprzód—
dzielni bohaterowie umiejący napadać z tyłu—
rzućcie się na mnie; gdy jeden nie ma odwagi, we
dwóch lub we trzech razem pchnijcie nóż w serce
potomka Omarowego. Moja śmierć nie zmusi suł-
tana, aby przed wami ustąpił i do układów się zni-
żył. Zabijcie mnie, dopóki macie jeszcze moc na-
demną, bo gdy ona przejdzie w moje ręce, nie bę-
dę płakał na wzór Mahmuda i Selima, lecz wytepę
was, wyniszczę bez litości. Przeklętym będzie ka-
żdy, kto włoży janczarski kaftan, zgubiony, kto wy-
mówi wasze imię!

Błyszczące szable rozwścieczonych buntowników
skrzyżowały się nad głową śmiałego dziecka—je-
szcze chwila, a śmierć poniesie.

Wtedy zerwał się Mahmud, odtrącił wszystkich
od mniemanego księcia i wzięwszy pióro z rąk Ka-
ra Makaua, podpisał spiesźnie żądania ludu.

Chcąc mu przeszkodzić, Miljena ujęła rękę pa-
dyszacha. Mahmud pocałował ją z czułością i rzekł:

— Niech ginie cały świat, abyś ty..

I rzucił pargamin pod nogi buntownika.

Nie mając już czego żądać, janczarowie uspokoili się niebawem; sułtan przebaczył winnym, rozdał kilka urzędów pomiędzy znaczniejszych i godniejszych zaufania i otworzył kasę.

Nastąpiła zgoda. Wrzeszczący tłum prowadził obydwóch do seraju, cały plac Ibrahima roił się od jaskrawych turbanów. Dokonawszy zwycięstwa nad swoim panem, brudna tłuszcza darła się teraz na wyścigi—wołając: „niech żyje Mahmud! niech żyje dzielny książę!“

Padyszach tego nie widział, tłum był zwarty, zbity w jedną całość, głowy odznaczały się niewyraźnie, a myślał jakby to dobrze było w Turcyi, gdyby wszystkie te głowy ściąć za jednym zamachem.

Kurszyd basza.

Gasko bej, ów nieporadny olbrzym, dostał się w niewolę podczas nocnego napadu Suliotów; hufce jego poszły w rozsypkę, a Ali stał się znów nieograniczonym panem Epiru.

Wtem niespodzianie, niby piorun z jasnego nieba, zjawił się mąż z Tessalonii rodem, którego imię szeroko na świecie zasłynęło, a imię to brzmiało: Kurszyd basza.

Był to człowiek chudy, niewielkiego wzrostu, a rysy jego twarzy wielce różniły się od zwykłego typu osmańskiego; ostry profil, jasno blond włosy i broda, niebieskie oczy, łukowate brwi dziwny charakter nadawały jego twarzy, nacechowanej przenikliwością i chłodną odwagą.

Nowy ten wódz przyprowadził pod Janinę dzie-
sięć tysięcy wojowników, których liczba po pierw-
szej bitwie wzrosła do trzydziestu tysięcy. Wojska
Kleona i Ypsylantego zostały na głowę pobite,
a rozproszone zastępy Gasko beja zebrały się znów
około zwyciężkiego wodza.

Tymczasem, podczas gdy Ali bronił Janiny, grec-
cy powstańcy oblegali ufortyfikowane miasto Artę,
którego z garstką żołnierzy bronił Salik basza.

Poprzednik Kurszyda, Gasko bej, popełnił ten
błąd, że jednocześnie chciał oblegać Janinę i oswo-
bodzić Artę, i na obu punktach doznał porażki. No-
wy wódz powziął plan całkiem inny. Wiedział on
dobrze, że głową powstania greckiego jest Ali Te-
pelenti, i zostawiwszy w spokoju Salika baszę, całą
siłą zwrócił się przeciw Janinie.

Ali baszo! przeciw tobie stanął mąż, waleczny
i jak ty przebiegły; jeśli ty jesteś lisem, to on
jest sępem, który z góry spada na lisa; a jeśliś ty
tygrysem, to on wężem olbrzymim, który cię okrę-
ci swemi sploty i zdusi.

Ali posłał do Kleona i Artemizyi, wzywając ich
na pomoc. Wysłañcy jego wrócili do twierdzy.
Greccy przywódcy nie dali mu odpowiedzi. Kto
inny byłby się starał wypadek ten rozmaicie tłū-
maczyć, lecz Ali umiał dobrze obliczać. Grecy
powiedzieli sobie: „niech ta stara dzika bestya
drży w swojej jaskini; bodaj go ona przywaliała!
On i tak musi na śmierć i życie bronić swojej dłu-
giej białej brody. Gdy zdobędziemy Artę, gdy
nienawistny sprzymierzeniec będzie już dogorywał,
gdyż nienawidzili go choć był ich najlepszym przy-

jacielem—przyjdziemy mu w pomoc, oswobodzimy go i pozwolimy mu żyć dalej.

Tepelenti wiedział, że tak o nim mówią. Wiedział, że go nienawidzą i zgubie jego byłiby radzi; nawet i dotąd greków z Alim wiązało jedynie to, że w jego twierdzy nagromadzone były ogromne skarby, mnóstwo broni i innych zapasów wojennych, i że jego siwa głowa była środkowym punktem całego powstania.

Chodziło im zatem o te skarby, o tę silną twierdzę i o tę siwą głowę.

Pewnego dnia sulioi oblegający Artę z przerażeniem dowiedzieli się, że Kurszyd basza zdobył Litanizę i La Gulia, dwa boczne szczyty Janiny, i że Ali odparty został do samej twierdzy.

Ośłupieli na tę wiadomość; z wzięciem Janiny całe powstanie greckie straciłoby źródło, z którego czerpało fundusze. Skarby, które Ali hojnie między greków rozsypywał, dostałyby się w ręce sułtanowi, który też za jednym zamachem mógłby opanować Epir.

Oddział greków, pod wodzą Marka Bozzarisa, pośpiesznie wyruszył z Arty na odsiecz Janinie. Ali otrzymał o tém wiadomość. Szpiegi Bozzarisa przekradli się przez obóz Kurszyda do Janiny i donieśli Alemu, że ich wódz stoi już pod „pięcioma studniami” i idzie mu na pomoc.

— Ja pomocy nie potrzebuję—odparł Ali z zimnym uśmiechem.—Ja mogę Janiny przez trzy miesiące bronić przeciw każdej sile. Zdobycie Arty, to rzecz pilniejsza. Wracajcie więc, pozdrówcie odemnie Marka Bozzarisa i powiedźcie mu, niech

nie chodzi pod Janinę, ale zwróci się przeciw Salikowi baszy. W Janinie wystarczy sam Tepelenti.

Bozzaris zrozumiał słowa starego lwa; nie chciał on wpuścić greckich zastępów do Janiny i wołał sam bronić ostatniej swojej twierdzy. Nie miał więcej żołnierzy, jak czterystu trzydziestu wojowników albańskich. Armat miał podostatkiem. A gdyby nawet dziesiątą część tej siły posiadał, i to wystarczyłoby do obrony wieży czerwonej, a nawet gdyby przyszło do ostateczności, to Ali sam sobie da radę.

Do tej wieży kazał znieść Ali wszystkie swoje skarby, wszystkę broń, wszystkie szaty, korespondencyą swoją z całym światem i sprowadził wszystkie swoje kobiety. W piwnicy pod wieżą stało tysiąc beczek prochu; od jednej beczki szedł lont aż do jego pokoju, a obok niego gorzały ciągle dwie pochodnie.

Kto chce głowy Alego, niech przyjdzie po nią!

Bozzaris wrócił pod Artę i niebawem wojsko greckie wzięło szturmem fortecę. W całym mieście niepodobna było znaleźć jednego naboju prochu; załoga turecka poddała się dopiero po wystrzeleniu ostatniego ładunku.

Ali zrozumiał, że upadł jeszcze jeden jego wróg: Salik basza. Dotąd, wszyscy co przeciw niemu walczyli, nienawidzili go wściekle; byli to osobiści jego nieprzyjaciele, zawistni jego potędze, i Ali był przekonany, że dzięki właśnie tej nienawiści, zdepcze ich wszystkich nogami. Ale ten Kurszyd! to był człowiek zimny zupełnie. Ali nie doznał ani jego gniewu, ani jego intryg. On nie był nigdy

wrogiem Alemu; Ali nie miał go za co nienawidzić. Ta myśl niepokoiła go wielce.

Ali doświadczył nieraz, że gdy którego wroga szczególnie nienawidził, i gdy go podczas szturmu albo w bitwie ujrzał na strzał armatni i sam działało wycelować, zdawało się, że wystrzelona kula, wiedzona czarodziejską mocą jego nienawiści, trafiała wziętego na cel wroga, choćby na tysiąc kroków. Kurszyd podsuwał się nieraz pod mury forteczne; straż strzelały doń z armat raz za razem, ale kule zdala od niego padały.

— Dajcie mu pokój—rzekł Ali—tego człowieka nie zdołamy zabić.

Jak gdyby sparaliżowany, stracił całą energią.

Zgłosił się do Kurszyda baszy, żeby mu wyrobił zupełną amnestyą u sułtana, on zaś ze wszystkimi swemi skarbami i wojskami, przejdzie na stronę padyszacha, a obróci się przeciw grekom.

Kurszyd zażądał, żeby mu przysłał swoje warunki na piśmie, a gdy Tepelenti uczynił zadość temu żądaniu, Kurszyd przesłał ten dokument—nie do Stambułu sułtanowi, ale do Arty sułtom, aby się przekonali, jak Ali gotów jest zdradzić ich każdej chwili.

Ze zgrozą zwrócili się grecy przeciw Alemu. Ta nowa zdrada zmąciła im radość z świeżych tryumfów; przekonali się, że w Kurszydzie baszy mają potężnego nieprzyjaciela, który jednak jest tak wspaniałomyślny, że nie posługuje się zdrajcami, ale z pogardą ich odpycha.

Ta wyższość duchowa zapewniła Kurszydowi

zwycięstwo. Wódz turecki był tak mądry, że nie Alemu, lecz suliotom podał rękę do pojednania.

Nadaremnie Tepelenti z wieży Janiny wyglądał hufców greckich na odsiecz mu spieszących. Suliodzi powracali do wiosek swoich, a Artemizya z utajoną radością myślała o tém, że w téj samej wieży czerwonej, w której Ali jej narzeczonego ściąć rozkazał, on teraz sam siedzi, dręczony rozpaczą i uparcie wyczekuje, żeby go śmiertelnie przezeń zraniona kobieta oswobodzić przyszła.

Powstanie w Epirze zostało stłumione. Stało się to za sprawą Kurszyda baszy, i w całym państwie jeden tylko jeszcze punkt gorzał złowrogim ogniem: dumna, niepokonana Janina.

C a r e t t o.

Alemu teraz już zaledwie tyle miejsca pozostało, że miał gdzie głowę skłonić; nieprzyjaciele jego byli odeń dwadzieścia razy silniejsi; dzień i noc musiał odpierać szturmy, a Litaniza i La Gulla były już w rękach Kurszyda. Ale stary lew nie myślał się jeszcze poddać.

Rzucone do twierdzy bomby zburzyły jego pałace; wspaniałe marmurowe sale leżały już w gruzach, prześliczne kioski zostały zburzone, przepyszne ogrody zniszczone.

Ali na ogień nieprzyjacielski odpowiadał z ośmdziesięciu dział i nieraz udawało mu się wysadzić

w powietrze składy prochu ukryte pod najbliższymi bateriami, zdemontować działa i ubić kilku kanonierów.

Obroną twierdzy kierował pewien włoski inżynier, którego Ali za swoich lepszych czasów obietnicą wielkiej nagrody zwabił do siebie i już go potem puścić nie chciał.

Włoch ten zwał się Caretto. Jego umiejętność wojenna czyniła Janinę tak silną; męstwo niedoleżnych kanonierów tureckich nie mogło dotrzymać pola strategicznej sztuce włocha. W ostatnich czasach Caretto prosił kilkakrotnie, żeby go Ali bez grosza wynagrodzenia puścił do domu; ale to było niepodobieństwem. Gdyby Caretto wydostał się za bramy twierdzy, los Janiny spoczywałby w jego rękach, gdyż on znał każdą minę, każdą ścieżkę tajemną pod murami Janiny.

Caretto miał narzeczoną w Palermo, której mu, jako dziecka bogatych rodziców nie chciano oddać za żonę inaczej, tylko w takim razie, jeśli i on zostanie bogatym, i dlatego to właśnie młodzieniec przyjął propozycją epirskiego tyrana. Obecnie otrzymał był właśnie z Sycylii wiadomość, że rodzice jego ukochanej pomarli, i że ona czeka nań z otwartymi rękami, bez względu na to czy jako bogaty, czy też jako żebrak powróci. A on nie mógł pośpieszyć do niej, gdyż Ali trzymał go niby jeńca: musiał kierować działami, stać pod gradem kul nieprzyjacielskich, i narażać się ciągle na śmierć, podczas gdy kochająca oblubienica oczekiwała na niego.

Gdy Caretto pewnego dnia kierował działami, puszczone z Lithanizy granat pękł nad jego głową,

a jeden z czerepów pozbawił go lewego oka. Ze smutkiem pomyślał sobie włos, czy też jego narzeczona będzie go kochała z tak oszpeconém obliczem. Odtąd chodził ciągle z czarną przepaską i z blizną na twarzy, a oblegający nazwali go „jednookim giaurem.”

Pewnego pogodnego ranka lutowego, rozpoczął znów Kurszyd gwałtowny ogień przeciw Janinie. Nadeszły właśnie świeże działa oblężnicze, i po trzechgodzinném strzelaniu dało się uczuć zgubne działanie nowych bateryj: północna baszta runęła. Wściekły z gniewu objeżdżał Ali basza mury do koła, zagrzewając i dodając otuchy; załodze groził gołym mieczem, że każdego kto stanowisko swoje opuści, własną zarąbie ręką. Caretto z zimną krwią stał za jednym z koszów i ztamtąd kierował ogniem najgroźniejszej bateryi trzydziesto sześcio-funtówek. Każde działo téj bateryi dawało trzydzieści strzałów na godzinę.

Nagle bateria umilkła.

Rozgniewany Ali poskoczył i krzyknął na Caretta:

— Dlaczego zaprzestałeś ognia?

— Bo dłużej strzelać niepodobna—odrzekł włos z zimną krwią, ręce na krzyż zakładając.

— Dlaczego niepodobna? — wrzasnął basza drżący na całym ciele z wściekłości, którą podniecała jeszcze zimna krew włoska.

— Gdyż działa rozpalone są od gęstego strzelania.

— To ochłodzić je wodą!—ryknął Ali zeskakując z konia.

Caretto, usłyszawszy ten nierozsądny rozkaz, nie mógł wytrzymać, żeby się głośno nie rozśmiać. Ali przyskoczył do niego i wymierzył mu policzek tak silny, że kapelusz spadł włochowi z głowy i potoczył się daleko.

Trafił Caretta właśnie w to miejsce, w którym granat Kurszyda rozorał mu twarz przed kilkoma tygodniami.

Włoch poprawił przepaskę, która się zesunęła, i rzekł zimno a drwiąco:

— Dobrześ zrobił baszo, żeś mnie uderzył w tę stronę, z której mi już oko wystrzelono; bo gdybyś mnie był wyciął w prawą stronę i wybił mi także prawe oko, czemżebym kierował twojemi działami?

Ali udał, że na niego nie zważa, rozkazał działa oblać zimną wodą i sam z pierwszego dał ognia.

Działo pękło i urwało nogę stojącemu przy niem kanonierowi.

— To nic!—krzyknął Ali—nabić drugie!

Gdy i drugie pękło, rzucił lont na ziemię i wskoczywszy na konia odjechał. Drżał cały jakby w febrze.

Włoch z zimną krwią kazał w miejsce pękniętych przyprowadzić dwa nowe działa z magazynu i ustawić je pod gradem kul nieprzyjacielskich. Gdy obsadzono na nowo baterią, umilkły działa nieprzyjacielskie i już tego dnia nie padł ani jeden strzał przeciw Janinie.

Tepelenti czuł, że śmiertelnie obraził Caretta, a zanadto znał włochów, aby mógł przypuścić, iż

Caretto po owój drwiącej uwadze zapomni o hańbiącym policzku.

Był to czyn szkaradny, uderzyć go w tę bliznę, którą odniósł w jego sprawie! Co to jest, europejskiego oficera w twarz uderzyć. Ali wiedział doskonale, że mu Caretto tego nie przebaczy.

Jeszcze téj saméj nocy wezwał do siebie dwóch kanonierów i rozkazał im, żeby Caretta mieli ciągle na oku, i zastrzelili go, gdyby chciał uciec.

Nazajutrz Caretto był w nadzwyczaj dobrym humorze. Wczesnym rankiem udał się na mury, świeżo śniegiem pokryte. Zdawało się, że zima ostatni swój gniew wywiera; śnieg padał tak gęsty i tak wielkimi płatami, że o dwadzieścia kroków nic widać nie było.

— To czas wyborny na szturm — rzekł włoch głośno do otaczających go turków.—Przy takiej śnieżycy niepodobna dojrzeć nieprzyjaciela, chyba że stanie pod samemi murami. Gotów jestem założyć się, że hufce Kurszyda baszy podczas téj zamieci podsuwają się niepostrzeżenie, i miałbym wielką ochotę dać ognia na oślep dla postrachu.

Wielu podzielało jego obawy. Ali basza był także przy tem; nie odezwał się nic na to, ale się i nie sprzeciwiał.

Caretto kazał zaciągnąć jedno działo na bastyon zwrócony ku górze Lithanizy; przywiązano do armaty długą linę, za które ciągnęła ją pewna liczba albańczyków.

— Zostawcie linę przy dziale — rzekł Caretto — bo może trzeba je będzie przewieźć gdzieindziej.

Atoli obrane miejsce okazało się dogodnym.

Caretto obliczył strzał, wycelował armatę i kazał ją nabić.

Dwaj artylerzyści, przeznaczeni przez Alego do pilnowania włocho, stali za Carettem i z rękami na głowicach pistoletów nie spuszczały zeń oka ani na chwilę. Caretto nie spostrzegł zapewne, że jest strzeżony, i sądził bezwątpienia, że ci dwaj albańczycy do jego usług osobistych są wyznaczeni.

Armatą trzeba było kierować już to w prawo, już to w lewo, gdyż niezgrabni albańczycy posuwali ją zanadto to w jedną, to w drugą stronę, tak, że Caretto krzyknął na owych dwóch kanonierów stojących za nim:—No, a pomóżcie tym niezdarom!

Oni schylili się mechanicznie, aby podnieść lawetę.—Dosyć!—krzyknął włosz i położył rękę na zapale.

— Ognia!—zakomenderował następnie, cofając rękę. Lont pochylił się, strzał zagrzmiał i w téj chwili Caretto pochwycił linę okręconą na kołach armaty i skoczywszy z muru począł się spuszczać po niej.

Z przerażeniem i wściekłością dwaj stróże jego poskoczyli na brzeg szanca. Caretto spuścił się już był aż po koniec sznura i trzymał się go silnie rękami. Pod nim roztwierała się jeszcze przepaść trzydzieści stóp głęboka. Lina była zakrótka i włosz zawisł między dwiema śmierciami.

— Wróć się, bo strzelimy! — krzyknęły stráže mierząc do niego.

Caretto odwrócił się. Przewiązka zerwała się z jego skrwawionego oka i spojrział wściekle na woła-

jących; takim wzrokiem, jakim patrzy postrzelone i konające dzikie zwierzę.

I pchnąwszy się jedną nogą od muru, niby kula odbijająca się łukiem, skoczył w przepaść. Albańscy strzelili za nim ale bez skutku, nie trafili go. Znalazłszy się na dnie parowu, Caretto leżał przez chwilę nieruchomy, ale nagle zerwał się i począł uporczywie gramolić się do góry, drugim bokiem parowu. Mógł robić jednem tylko ramieniem, drugie było zwichnięte. Mozolna była to praca, ściągający strzelali za nim bez przerwy, ale na próżno, żaden strzał go nie dosięgał. Przeszkadzała im zresztą gęsta śnieżycą. Nareszcie znalazł się Caretto na przeciwległym brzegu wąwozu, spojrzał raz jeszcze po za siebie, pogroził pięścią rozsypującemu się w gruzy miastu i zniknął w śnieżnej zamieci. Długo jeszcze posyłano za nim strzały na oślep.

Ali basza pobladł i osunął się z konia, kiedy mu dano znać o ucieczce Caretta.

— Skończyło się, teraz skończyło się! — zawołał rozpaczliwie, i dobywszy szabli złamał ją na dwie, a po chwili zamknął się w czerwonej wieży. Nie widziano go już nigdy w Janinie.

Ali wiedział, że z ucieczką Caretta znika ostatnia reszta jego potęgi. Jego cytadele przestały być niezdobytemi z chwilą, kiedy ktoś posiadał ich tajemnicę.

Caretto znał fortyfikacye na pamięć, i „jednooki giaur” z wielką radością przyjęty został w obozie Kurszyda. Zaraz nazajutrz spostrzegł Ali basza, że ta sama ręka, która go dotąd broniła, zwróciła się teraz przeciw niemu. Ustawiona przez Caretta

bateria w przeciągu ośmiu godzin zrobiła w szan-
cach Janiny wyłom trzydzieści sążni szeroki, pod-
czas, gdy reszta dział oblężniczych ustawiona zo-
stała na takich miejscach, do których miny Tepe-
lentego nie sięgały, a gdy on chciał nowe założyć,
za pomocą kontrmin uczyniono je nieszkodliwemi,
a wreszcie odkryto podziemne drogi łączące z sobą
szanice podmostowe; lubo Ali kazał je natychmiast
ziemią zasypać, jednak nieprzyjaciół, po zaciętej
walce dostał się niemi do twierdzy. Albańczycy
walczyli rozpaczliwie, ale nieprzyjaciół miał za so-
bą przewagę liczby; zdobył drogi kryte, a jedno-
cześnie wdarł się po drabinach na szanice zwróco-
ne ku wyspie, opanował wybity wyłom i wtargnął
wewnątrz twierdzy. Żołnierze Tepelentego padli
w boju, tylko siedmdziesięciu pozostałych przy ży-
ciu cofnęło się wraz z nim do wieży czerwonej.

Tylko czerwona wieża pozostała jeszcze w jego
posiadaniu.

E m i n a h.

Zwyciężony lew zamknięty został na przestrze-
ni zaledwie sześć stóp długości mającej! Jedyłą je-
go posiadłością była wieża, do której wszystkich
okien zaglądali nieprzyjaciół.

Tam siedział on w ośmiokątnej izbie, w której
przeżył tyle godzin pamiętnych. Ciężką głowę wsparł
na ręce, a pod oczyma jego duszy, niby cienie prze-
ciągały wspomnienia tych godzin.

Dokoła otaczały go ogromne skarby. Złoto i srebro, ciężkie meble z kutego złota, klejnoty kościelne, błyszczące drogie kamienie, leżały porozrzucone po ziemi, niby kupa piasku i krzemieni.

Z tyłu krewnych, z tyłu wojowników, niema nikogo, nikogo! wszyscy poginęli w bojach, walcząc za nim, lub przeciw niemu. Z siedmdziesięciu wojowników, którzy się wraz z nim do wieży schronili, uciekło sześćdziesięciu czterech. Kurszyd przyrzekł im bezkarność i tylko sześciu przy Alim zostało.

Dlaczego ci sześciu pozostali? Ali nie prosił ich żeby go nie opuszczali.

Ci wierni trzymają straż w przedpokoju i długo szepczą coś między sobą.

Nareszcie wchodzą do izby Alego.

Tepelenti spojrział na nich badawczo. Z niepewnego ich wzroku, z niespokojnych oczu wyczytał czego chcą. Nie czekał aż przemówią.

— Idźcie—rzekł—opuśćcie mnie. Jesteście ostatni. Idźcie gdzie poszli inni. Życie jest piękne. Żyjcie długo i szczęśliwie. Niech żaden tu nie zostanie. Tepelenti i sam umrzeć potrafi.

Z westchnieniem odwrócili się wojownicy: nie śmieli podnieść oczu na twarz sędziwego wodza; milcząc, po cichu, na palcach odeszli. Szósty pozostał jeszcze i długo szukając wyrazów, przemówił nareszcie do Alego:

— O panie, poskrom dumne serce swoje! Nie pozwalaj, żeby wielkie twoje imię zginęło. Sułtan jest łaskawy; skłoń głowę przed nim, a on ci przebaczy.

Ali spokojnie dobył pistolet z za pasa i gdy żołnierz ostatnie wyrzekł słowo, strzelił mu w łeb.

Nieszczęśliwy okręcił się dokoła i zwałił się na ziemię, zalegając sam próg izby.

Była to nagroda za to, że proponował Alemu, aby prosił o łaskę.

Teraz Ali pozostał sam; bramy i drzwi stoją otworem; każdy kto chce, może wejść i wyjść. Dlaczegoż nikt nie przychodzi wziąć w niewolę osamotnionego wodza? Dlaczego tak lękają się przestąpić próg zwyciężonego nieprzyjaciela?

Ale cicho! słychać kroki na schodach. Otwartymi drzwiami, w których straż trzyma trup zabitego żołnierza, wchodzi jakiś człowiek. To jest Silihdar Kurszyda baszy, w nowym niezwykłym stroju eskendziego.

Tepelenti pozwolił mu się zbliżyć do siebie na pięć kroków; potem dał mu znak, aby się zatrzymał.

— Mów czego chcesz?

— Ali Tepelenti—rzekł Silihdar—poddaj się, nie masz już nikogo i nic na téj ziemi. Seraskier Kurszyd basza przysłał mnie do ciebie, abym ci odebrał twój miecz i przyprowadził cię do jego obozu.

Z zimną krwią, Tepelenti wydobył z kieszeni bogaty, drogiemikamieniami wysadzany zegarek i rzekł spokojnym głosem:

— W téj chwili jest właśnie dziesięć minut po dziesiątej, weźże ten zegarek i zatrzymaj go jako pamiątkę po mnie. Zanieś Kurszydowi baszy mój ukłon i powiedz mu, że było dwadzieścia minut po dziesiątej, kiedy z tobą mówiłem, i uwiadom go, że gdy będzie dwadzieścia minut po jedenastej, a ja, patrząc z okna téj wie-

ży, zobaczę choćby jednego żołnierza w obrębie tej twierdzy, to na Allaha, całą twierdzę wraz ze wszystkim co w niej jest, w powietrze wysadzę. Zanieś to Kurszydowi baszy, którego przez ciebie pozdrawiam.

Silihdar oddalił się, a o kwadrans na dwunastą nie było żywej duszy w obrębie Janiny. Ali Tepe-lenti, tyran Epiru, siedzi samotny w swą wieżę, potężny jeszcze i w upadku, lubo niema nic i nikogo, oprócz własnego serca nieugiętego.

Noc zapadła nad Janiną, ale sen nie zstąpił na powieki Alego.

W tejto wieży czerwonej przeżył on godziny swoich zbrodni; w tej izbie ofiary jego oddały ostatnie tchnienie udręczonego życia, a dokoła błyszczące skarby—jak gdyby ognistemi oczyma patrzyły, świadki grabieży, zdrady, przენiewierstwa. Gdyby one mówić umiały!

Cisza głęboka, noc ciemna, tylko Ali widzi wśród niej poruszające się cienie; straszne widziadła, z zakrwawionemi wybladłemi twarzami, które wstały z grobu, aby swego prześladowcę nawiedzić i godzinę śmierci mu zwiastować.

Ali się ich nie boi. On już je widział. Spał przecież obok ściętej głowy, która do niego przemówiła; słyszał wyrazy niepochwytne dzina z Seleucyi i przypomniał je sobie jeszcze dzisiaj. Spokojnie patrzył w swoją przeszłość, z której tyle okropnych wspomnień spoglądało nań osłupiałemi oczyma. On niczego nie żałuje; Allah tak chciał. Zajac obgryza korę drzewną, sokoł uderza na zajaca, myśliwy strzela do sokoła, lew zabija myśliwego, a lwa to-

czy robak. Czemże jest Ali? Robakiem większym od innych. On pożarł wiele; teraz jego pożera potężniejszy nieprzyjaciół; i tego także stoczy robak..

Spełniło się wszystko, co mu przepowiedziano; jego własni synowie, jego własna żona, jego własna broń walczą przeciw niemu. Gdyby tylko ta kobieta nie była tego uczyniła, wszystko zresztą byłoby zniósł.

„Raz, dwa!” — wyrzekła odcięta głowa i już ostatnie chwile dwóch lat staczały się w wieczność. — „Ręka, która zmazuje czyny potężnych, przekreśli to coś zrobił i zostaniesz nie bohaterem, którego świat podziwia, ale rozbójnikiem, którego przeklina. Ci, których kochałeś będą śmierć twoją błogosławić, a twoi nieprzyjaciele będą cię opłakiwać; Bóg tak zrządził, że staniesz się zgubą własnego narodu.

Tak jest, tak się stało. Kość potoczyła się na lewo i nic się nie zostało.

Gdyby go tylko ta kobieta nie była zdradziła!

Ali widział już także i widmo północne; widział je wstające z grobu, blade i krwawe, ale serce jego miało obronę: młodą, rozkoszną kobietę, o której twarz dziecięcą i anielskie oczy rozbijały się złych duchów zapędy. Gdy Tepelenti długie, grube zwoje jej włosów na siwej głowie swojej rozpostarł, zdało mu się, że siedzi w rajskim cieniu, gdzie ciężkie myśli nic przeciw niemu nie mogą. Dlaczego miał ją utracić? Naprzód to co najbardziej ukochał, zamiast, żeby mu to los do ostatka zostawił.

Jeszcze dziś z taką rozkoszą myśli o niej. Twarz ta, blady odbłask tego wspomnienia, rozjaśnia jeszcze nieco mroczną jego duszę, taką pustą jak ta noc co go otacza.

Ale patrzcie! noc jakby się rozjaśniała; blady połysk miga po ścianach a otwartymi drzwiami wpada niespodziane światło.

Zdziwiony basza spojrział w tę stronę; któż to przychodzi doń w ostatniej godzinie? Kto chce grozę ciemności z jego izby, z jego serca wypędzić?

To jakaś blada postać kobięca, z uśmiechem na ustach i ze łzami w oczach.

Przystąpiła bliżej i zatknąwszy pochodnię u ściany stanęła przed baszą.

Ali przypatruje się tej postaci niby we śnie: zdaje mu się, że to marzenie, że to jeden z tych obrazów sennego przywidzenia, taki sam jak te krwawe, bez głowy postacie, które mu spokoju nie dają.

Nie. Jestto Eminah, jego żona ukochana, na której skinienie zeszła gwiazda upadku potężnego Tepelentego.

Ali nie wierzy oczom swym, ani sercu swemu ujrząwszy ją przed sobą. Eminah chwyta starca za rękę i powiada kim jest. Ali jednak i teraz nie jest pewien czy ta dłoń ciepła i ten głos pełen słodyczy nie są złudzeniem tylko.

— Po co przychodzisz tutaj?—pyta nareszcie nieśmiało, jakby zdawało mu się tylko że pyta...

Piękna dziewczęca postać nachyliła się ku Alemu, siada obok niego i złożywszy jego starą siwą głowę na swoim łonie, jak dawniej za ubiegłych dni

straconego szczęścia, okrywa ją pieśczośliwie swemi jasnemi jedwabnemi włosami...

Jak uroczne mogłoby jeszcze być życie!

— O, Ali Tepelenti, wypuść z dłoni swęj rękę śmierci, a uściśnij moję—patrz jaka ciepła. O, Ali Tepelenti, zstąp z tego wzniesienia, pod którem drzeźnią prochy i połóż głowę na mojem łonie, posłuchaj jak serce w niém bije. Ali Tepelenti, proś sułtana o łaskę: patrz jak życie jest piękne!

Dopiero przy tych słowach poczyną Ali przychodzić do siebie; to jego wrogowie nakłonili jedyńą niewiastę, którą jeszcze kochał, aby przyszła i wyrwała gorycz jego ducha, aby miłością skruszyła jego serce. Jakże oni na wskroś to serce odgadli!

— Kurszyd basza przysiągł mi, — rzecze dalej Eminah, — że wyjedna dla ciebie przebaczenie sułtana. Napisał pod pieczęcią w oczach moich list, jako nigdy nie umrzesz z ręki kata, nigdy nawet nagłą śmiercią, chyba w pojedynku lub boju. Patrz, oto jest ten list.

Gdyby Ali poszedł za głosem serca swego w téj chwili, byłby wyciągnął dłoń swą po list zwiastujący ulaskawienie. Ale na widok korony panującej nad całą pieczęcią ozwała się w Alim duma i wzięła górę nad głosem serca. Ali skinął głową i rzekł:

— Allah mógłby pocieszyć Alego, Ali sam siebie—nie.

— Więc nie chcesz żyć ze mną razem?—spytała Eminah wpatrując się swemi pięknymi oczyma w męża.

Ali skinął głową przecząco.

— Kiedy tak,— rzecze Eminah głosem stanowczym,—o, Ali, umrę wraz z tobą!

Basza spojrział zdumiony.

— Przysięgam, że albo wrócę z tobą albo umrę razem. Słyszysz? Żelazne bramy twierdzy zamknięte; choćbym chciała już cię nie opuszczać. Te bramy otworzyć się mogą raz tylko jeszcze na wezwanie Tepelentiego. Albo wyjdiesz ztąd wraz ze mną albo oboje tutaj pozostaniemy. Wybieraj, mnie wszystko jedno.

Ali przyciągnął kobietę ku sobie; Eminah niby kwiat uroczy legła na jego zbolalęj piersi; przyłożył wargi swe do bladego czoła Eminy i otulwszy ją swym jedwabnym kaftanem, wyszeptał ledwie dosłyszczanym głosem:

— O, tak, umrzyjmy tutaj razem.

Wczesnym rankiem nazajutrz pod murami ostatniej wieży w Janinie dała się słyszeć trąbka sygnałowa Herold. Kurszyda baszy stanawszy opodał wieży pod okrągłym oknem, obwołał głośno poselstwo swego pana do Ali baszy, jako ten powinien zdać się na łaskę pod warunkami, które mu przez własną żonę podano.

Tepelenti stanął w oknie; Eminah oparta była o jego ramię.

— Wracaj do pana swego—zawołał—i powiedz, że Ali z żoną swą umrzeć chcą razem, i że jak tylko zbrojne zastępy ukażą się od miasta, basztę natychmiast w powietrze wysadzę.

W pół godziny wrócił posłaniec i zawołał przez okno:

— Kurszyd basza pozdrawia cię! Poddasz się,

to dobrze; nie poddasz się to drugie dobrze; masz jeszcze pół godziny czasu do namysłu. Potém możesz podłożyć ogień pod prochy i wysadzić swoją wieżę wraz z sobą w powietrze. O ciebie Kurszyd basza niewiele dba, skarby zaś twoje nie zawisną w powietrzu, a jak spadną na ziemię, łatwo je będzie pozbierać. Jeżeli się jednak będziesz dłużej niż pół godziny namyślał, Kurszyd basza dopomoże ci o tyle, że jeżeli ty sam wieży w powietrze nie wysadzisz, to on się o to postara. A więc możesz wedle woli wywiesić białą lub czerwoną chorągiew: to twoja rzecz. Gdy pół godziny upłynie, Janina już cię nie ujrzy.

Ali spokojnie wysłuchał téj groźby i nic nie odpowiedział heroldowi.

Eminah drżącą położyła się na ottomanie. Ali wielkimi krokami zaczął się przechadzać po komnacie, ale kroki jego stawały się coraz chwiejniejszymi. Gdyby téj kobiety tutaj nie był! Gdyby ję przed sobą nie widział, nie namyślałby się ani pół godziny nad tem co ma zrobić. Tak upływa chwila po chwili, a Tepelenti nie może powziąć żadnego postanowienia. Dwa razy już pochwycił za płonącą pochodnię; jeden ruch a wszystko się skończy. Ale dwa razy ujrzał przed sobą drżącą kobietę, która z taką trwogą, a jednak w milczeniu wpatrywała się w niego — i śmiertelna pochodnia wypadła mu z ręki. Nie, on nie może spełnić tego strasznego czynu. Już zegar bije; termin do namysłu upłynął; Ali czuje zimno w sercu; czy Kurszyd basza spełni straszną swoją pogroźkę?

W téj chwili huk rozległ się przed twierdzą,

a w pół sekundy rozpalona kula przebiła metalowe blachy i potężne sklepienie dachu wieżowego. Odbiwszy się od marmurowej posadzki, poskoczyła w górę i przesadziwszy beczki z prochem, jeszcze raz spadła na marmur i w drugim skoku wzniosłszy się w górę, wbiła się w przeciwległą ścianę, złobiąc w nią ogromną dziurę i świecąc zamtąd złowrogim blaskiem.

Ali przekonał się, że nieprzyjaciel gotów dotrzymać obietnicy.

Oszalała z trwogi kobieta rzuciła mu się do nóg, i zerwawszy białą zasłonę z głowy, podała ją baszy.

Tepelenti pochwycił zasłonę i zatknąwszy ją szybko na włócznie, wystawił w okrągłym oknie tę improwizowaną chorągiew.

Z zewnątrz zagrzemiał tryumfalny okrzyk oblegających. Całując ręce Alego Eminah rzuciła się do stóp jego. Tepelenti poświęcił jej więcej niż człowiek poświęcić może: poświęcił jej dumną wolę zakończenia żywota tak, jak go wiódł.

— Teraz idź—rzekł do Eminah z głębokim westchnieniem—i powiedz moim wrogom, niech przyjdą po mnie, jestem ich jeńcem.

Przed Serajem.

Wysłańcy Kurszyda baszy przyjęli sędziego wojownika z wszelkimi oznakami czci w bramie jego twierdzy, dokąd naprzeciw nich wyszedł, oddając

mu honory należne jego dostojęństwu. Pozostawili mu miecz i wszelką broń, a zarazem stwierdzili, co mu Kurszyd basza na piśmie przyrzekł, że głowa Alego nigdy nie spadnie z ręki kata, że nie umrze nigdy gwałtowną śmiercią, chyba w pojedynku albo w bitwie, co dla prawdziwego muzułmanina jest zaszczytem.

Na miejsce pobytu przeznaczono mu ulubiony jego kiosk na wyspie La Gulia. Wysłano tam jego konia ulubionego, jego sługi, ptaki i zbytkownie zaopatrzono wszystkie jego wygody.

Ali pozwalał wszystko robić z sobą. Ani pochlebstwa, ani pogroźki żadnego na nim nie robiły wrażenia. Czasami spoglądał na żonę, która trzymając go za rękę, ani na chwilę nie odstępowała. W takich chwilach na twarzy Alego odbijały się łagodniejsze uczucia. Wtedy patrzył przed siebie, gdzieś w dal, w nieskończoność. Może i teraz jeszcze myślał o tém:

— Kiedy ja też będę stał na srebrnym postumencie przed serajem?

Los ten przepowiedział mu dżin z Seleucyi; wszystkie inne proroctwa już się spełniły — to jedno jeszcze pozostało niespełnione.

Przyrzeczenie muzułmanina znaczy więcćj niż przysięga; któż nie pamięta owęj historyi naczelnika murzynów, do którego domu schronił się ścigany rycerz chrześcijański i prosił go o schronienie. Murzyn przyrzekł mu czego żądał. Później ścigający uwiadomili go, że rycerz chrześcijański zabił jego syna, a jednak murzyn nie wydał im zbiega, ale dopo-

mógł mu do dalszej ucieczki, stosownie do przyrzeczenia.

„Morze, to wielki pan,”—mówi alkoran; „burza to także wielki pan, równie jak zaraza; ale największym panem jest słowo dane, przeciw któremu niema obrony.“

Słowo muzułmanina jest niewzruszone, ale bacz pilnie na to słowo, gdyż igraszka wyrazów śmiercią dla ciebie; jeżeli ci przysiągł na słońce, strzeż się księżyca, a jeśli przyrzekł kochać cię jak brata, zapytaj wprzód, czy on brata swego nie zabił?

Gdy Soliman adoptował Ibrahima za syna, przysiągł, że dopóki on żyje, nic się złego Ibrahimowi nie stanie. Później, gdy Ibrahim popadł w nielaskę, mądrzy ulemowie wyszukali miejsce w Koranie, w którym stoi: „kto śpi, ten nie żyje“—i zabili Ibrahima podczas gdy Soliman spał.

Kurszyd dał słowo i pismo zapieczętowane, że Tepelenti nie zginie z ręki kata; pismo wręczył kobiecie, a słowo dał w obliczu całego wojska, więc Ali basza z wszelkimi honorami przewieziony został do kiosku na wyspę; pozostawiono mu broń i wysadzany drogiemi kamieniami miecz, którym walczył w tylu bitwach, którym tylokrotnie bój wznawiał; wybrano nawet pięćdziesięciu najlepszych i najdzielniejszych jego wojowników, otaczając go niby strażą honorową.

Do Stambułu jednak przybył z największym pośpiechem wysłaniec z Janiny, który przyniósł sułtanowi od Kurszyda baszy wiadomość, że zdobył Janinę wraz z skarbami Tepelentego, i że za trzy dni tatar przyniesie mu głowę siwego baszy.

A tymczasem głowa Tepelentego trzymała się silnie na karku; któż odważyłby się powiedzieć, że nad głową jego zapadł już wyrok? Przy jego boku wisiał doświadczony miecz, otaczali go jego wojownicy, a głowy jego strzegła przysięga Seraskiera.

Eminah nie opuszcza go ani na chwilę, ciągle jest z nim, siedzi przy nim, na jego kolanach albo u jego nóg i trzyma zawsze w ręku owo poręczające pismo Seraskiera, aby go niém, niby tarczą czarodziejską zasłonić od każdego, ktoby się ze złemi zamiarami zbliżył do Alego, i odbić katowską siekierę od jego głowy.

Ale niepotrzebnie się obawiała. Żaden kat nie zbliżył się do Alego. Odwiedzało go wielu, ale to byli wszystko wysocy dostojnicy, muszyrowie, effendiowie i oficerowie, którzy mu składali swoje uszanowanie, bardzo obyczajnie spijali jego sorbety, palili jego wonny tytuń, czasem przemówili kilka słów, i przychodząc lub odchodząc składali przyzwoite pozdrowienie.

Ali może przechadzać się po wyspie we wszystkich kierunkach, nie spotyka nikogo oprócz swoich własnych ludzi.

Czasami przychodzą mu zuchwałe myśli: może swoimi pięćdziesięciu ludźmi mógłby rozpocząć nanowo? A potem znów myśli jego zwracają się ku owemu srebrnemu postumentowi przed serajem, na którym kiedyś wśród tryumfalnych okrzyków motłochu stać będzie musiał. I noc, która go otacza nie wydaje mu się jeszcze tak czarna, jeszcze tu i owdzie widzi błyskający promyk nadziei.

Tylko Eminah drży. Bóg na to stworzył kobietę, żeby się bała zamiast mężczyzny i udzielił jej daru przeczuwania niebezpieczeństwa.

Zkąd ono mogło przyjść? pod jakim kształtem? Może w sztylcie skrytobójcy? Piersć kobięca stoi między nim a Alim; skrytobójca nie zdoła się zbliżyć do niego. W kielichu trucizny? Eminah kosztuje każdej potrawy, każdej szklanki, zanim ona dojdzie do rąk Alego; trucizna ją zabiłaby naprzód.

A jednak niebezpieczeństwo było blisko.

Pewnego dnia zawiadomiono Alego, że go odwiedzi wielki dostojnik, Mehemed basza, wice-seraskier, rządca Morei, i złoży mu uszanowanie.

Jestto wielki zaszczyt dla upadłego wodza: Ali zaczyna czuć, że go i nieprzyjaciele jego szanują. A kto wie, może nawet między wrogami ma on przyjaciół? Może jeszcze nie uważają go za tak starego, żeby ostatków jego życia nie spożytkować.

Na dzień ten kiosk przystrojono odświeżnie, Tepelenti ubrał się w najkosztowniejszy kaftan, ustawił swoich wiernych w szeregu przed domem, a sam wyjechał naprzeciw wice-seraskierowi, gdy ten zbliżał się otoczony setką spahów.

Mehemed basza był to mąż silny, dobrze zbudowany, słynny z wielu bitew i pojedynków. Często lubił się popisywać ze swoją dzielnością; gdy dwie armie stały nieczynne naprzeciw siebie, wjeżdżał w pośrodek i wyzywał na rękę najdzielniejszego rycerza nieprzyjacielskiego, a że zawsze z boju wychodził zwycięzcą, dowód w tém, że żył jeszcze.

Dwaj bohaterowie podali sobie ręce, gdy się spotkali, a gdy wrócili do kiosku, Ali wprowadził

wice-seraskiera do swoich komnat, podczas gdy wszyscy jego towarzysze pozostali przed kioskiem.

Bogato zastawiony stół czekał tam na nich, a obsługiwały go młode odaliski, niewolnice Eminah, podczas gdy ona sama usiadła przy nogach Alego po lewej stronie, i według swego zwyczaju kosztowała każdej potrawy i każdego napoju, zanim go Alemu podała.

Uczta przeszła wśród przyjacielskiej rozmowy. Pod koniec przyniesiono gotowane orzechy *pinga* i podano je Mehemedowi baszy.

— Dziękuję;—rzekł rycerz—lubię je wprowadzić, ale ich smak korzenny budzi we mnie zaraz grzeszne pragnienie, gdyż zachciewa mi się wina, którego Prorok zabrania, a jako dobry muzułmanin, wolę unikać sposobności kuszącej do grzechu, aniżeli potem grzechu żałować.

Ali rozśmiał się..

— Jedz bez troski—dzielny seraskierze—i uspokój swoje skrupuły. To, co ci dam do picia, jest winem, a jednak nie winem; jest to sok z winnej jagody, ale nie przefermentowany, tylko pozostawiony w tym stanie, w jakim go przechowują frankowie. Tego Prorok nie zabrania *). Mam tego napoju jeszcze całą skrzynię, w butelkach, którą mi niegdyś przysłał jeszcze Bunaberdi (Bonaparte), a którą dziś na twoję cześć otworzymy. Szampan nie jest winem, tylko sokiem jagody, który ścia-

*) Muzułmanie nie zaliczają wina szampańskiego do trunków przez Koran wzbronionych.

gnięto zanim stał się winem. Jest niewinny jak mleko.

Mehemed potrząsł głową z uśmiechem, co oznaczało, że mu propozycja przypadła do smaku, poczem Ali skinął na odaliski, żeby przyniosły flaszki z piwnicy.

Eminah drżąca pochyliła się ku niemu i szepnęła błagalnie:

— Nie każ dziś podawać wina na stół; ono może się stać dla ciebie niebezpiecznem.

Z uśmiechem pogłaskał Ali kobietę po głowie, sądził bowiem, że ona tylko ze względów religijnych chce go od picia wina powstrzymać; podniósł ją z ziemi i uspakajać ją zaczął:

— Wszak prawda mój cudny kwiatku, że Mojżesz był tam samo prorokiem jak Mahomet?

— Tak jest. Namiot jego jest w raj u wiernych rozbity tuż przy namiocie Mahometa.

— A jednak Mojżesz mówi: „Daj wina smutnemu.“

Zostawmy więc dwom prorokom rozstrzygnięcie, czy możemy zgrzeszyć tém, co przez nasze usta przepuszczamy.

Eminah atoli nie z tego powodu obawiała się wina...

Przyniesiono butelki; korki strzeliły. Zrazu wzdragał się Mehemed, gdy mu jednak nalano szampa na w kielich, żał mu było pięknej piany, i aby się nie wylała na ziemię, wypił ją, a potem rozśmiał się, utrzymując, że ten napój ma jednak smak wina, tylko daleko przyjemniejszy.

Ali dolewał gościowi usilnie, podczas gdy Emi-

nah z trwogą wpatrywała się w twarz jego, która w miarę picia pochmurniała.

Na wielu ludzi wino taki wpływ wywiera.

Nagle wice-seraskier postawił gwałtownie kieliszek i zawołał z twarzą zmienioną.

— Ani kropli więcej! Jesteś bezwstydnym, Ali. Dałeś mi wina, mówiąc że to nie wino;—wstrętny, piekący napój, który moje zmysły oszołomił.

— Proszę cię Mehmedzie—rzekł Ali łagodnie, jak się mówi do ludzi pijanych—nie gniewaj się.

— Nie odzywaj się do mnie, ty psie — ryknął Mehmed uderzając pięścią w stół. — Gdym się do ciebie wybierał, powinienem był wiedzieć z kim będę miał do czynienia, ty chytry, zdradziecki lisie, ty bezbożny renegacie!

Alemu zabłyśły oczy, zerwał się i chwycił za miecz; ale Eminah chwyciła go za rękę i przerażona szepnęła:

— Nie dobywaj miecza Ali! Czy nie widzisz, że ten człowiek po to tylko tutaj przybył, żeby z tobą wszcząć kłótnię?

Ali opamiętał się odrazu. Spostrzegł wyraźnie zastawioną na siebie pułapkę i spokojnie usiadł na powrót. Z zimną krwią skrzyżował nogi pod sobą, pochwycił cybuch i zaczął palić spokojnie.

Mehmed odgrywał tymczasem dalej rolę pijanego.

— Siadając do twego stołu, powinienem był wiedzieć, że siadam przy potępieńcu, ty psie krwiożerczy, który łośpałeś krew twoich rodzonych; tego jednak nie przypuszczałem, że będziesz tak zuchwały, żeby mi dać do picia ten wstrętny trunek,

którego wszystkie grzechy niech spadną na twoją przeklętą głowę!

To rzekłszy, Mehemed porwał do połowy napełniony swój kieliszek i bryznął w twarz Alemu winem, które spłynęło po długiej jego białej brodzie.

Ali z zimną krwią skinął na służebne odaliski, żeby przyniosły miednicę z świeżą wodą. Umył sobie twarz i brodę i nie rzekł ani słowa.

Mehemed stanął przed nim z miną pełną pogardy.

— Nędzny robakul który spokojnie znosisz taką obelgę; tyś nigdy nie miał odwagi; twoje czyny bohaterские były skrytobójstwami; tych których zabijałeś, zabijałeś jako oprawca; ty umiałeś się tylko czołgać, ale walczyć nigdy; krew co na tobie przyśchła, to krew skrępowanych niewolników. Hańba ci!—Nawet zwycięstwo nad takim płazem wstręt wzbudza. Żalby mi było mego pocziwego miecza, gdyby się kiedykolwiek zetknął z twoim. Niech drudzy chępią się, że pokonali Alego, ja będę głosił, że Alego w twarz uderzyłem!

— Nie powiesz tego, na Allaha i Proroka! — ryknął Tepelenti zrywając się z siedzenia i dobywając miecza tak gwałtownie, że jasny krąg w powietrzu zakreślił.

Mehemed cofnął się o krok w tył i z uśmiechem zadowolenia dobył damascenki.

— Ali, daj pokój! Ali odejdz ztąd! — krzyczała Eminah, czepiając się ręki Tepelntego; ale on odepchnął ją i wywijając mieczem ponad głową natarł na seraskiera.

Mehemed schwytał cięcie swoim mieczem i niebawem gruby strumień krwi trysnął z ramienia Alego.

Eminah w rozpaczy rzuciła się między walczących, gdy ujrzała broczącego Alego i obejmując jedną ręką jego kolana, drugą ukazała Seraskierowi pismo Kurszyda baszy.

— Patrz!—zawołała — oto przysięga Kurszyda, że Tepelenti nie zostanie zabity!

— Że nie zginie z ręki kata—odparł Mehemed; przed śmiercią w pojedynku nikt go nie ubezpieczył. Wychodź tchórze, nie chowaj się pod babską spódnice!

Eminah rozkrzyżowała ręce przed Alim; starzec odsunął ją na bok i natarł powtórnie na Mehameda, ale zanim go dosięgnął, miecz przeciwnika przeszył mu serce.

Bez jęku padł u stóp swego wroga.

Z krzykiem wybiegły odaliski z komnaty, podczas gdy przed kioskiem wszczęła się krwawa bójka między ludźmi Mehameda i Alego. Pierwsi byli w przeważającej liczbie, wojownicy więc Tepelentego zostali niebawem wymordowani a Mehemed z zadowoleniem na twarzy wrócił do obozu. U kuli siodła jego wisiał jedwabny worek, a w nim była głowa Alego.

Kurszyd basza umył sobie ręce, gdy mu pokazano siwą głowę.

— Jam nie winien twojej śmierci. Mogłem cię ubezpieczyć tylko przed katem, ale nie przed mieczem bohatera. Po co drażniłeś lwa?

W dniu oznaczonym stanął w Stambule tatar z głową Alego.

Godziny jego życia obliczono dokładnie; astronom nie zdołałby lepiej obrachować kiedy jakaś gwiazda zastąpi inną, jak Kurszyd basza obrachował śmierć swego nieprzyjaciela.

Sułtan zarządził na ten dzień radosną uroczystość.

Pałac Cziragin, seraj, wszystkie porty były uświetniane, a głowę Alego w uroczystej procesyi obnoszono po głównych ulicach miasta, poczem umieszczono przed środkową bramą seraju na wielkim srebrnym półmisku.

Nareszcie stanął na srebrnym postumencie przed serajem.

A spełniło się także i to proroctwo: „Przyjdzie czas, w którym będziesz się znajdował na dwóch miejscach jednocześnie, i w Stambule i w Janinie!”

I stało się, że ciało Alego było już w Janinie pochowane, a jednocześnie głowa jego była w Stambule wystawiona przed serajem.

Tam płakała samotna żałobna postać kobięca nad ciałem bez głowy; tutaj tłoczyły się z wesołemi krzykami tłumy ciekawych dokoła głowy bez tułowia.

Przed bramą, przed którą głowa Tepelentego była wystawiona, przez trzy dni panował taki ścisk, że wiele osób zaduszono.

Wieczorem trzeciego dnia, gdy tłuszcza nasyciona krwawym widokiem, rozpraszać się zaczęła, sędziwy derwisz, z poźółkłą twarzą, zbliżył się do bramy seraju. Zamknięte oczy wskazywały, że jest

ślepy. Ubiór jego składał się z prostej włosiennicy, przepasanej w stanie ordynaryjnym postronkiem, od którego zwieszał się długi różaniec. Na głowie miał wysoką czapkę kształu móździerza, stanowiącą oznakę rodu Omaritów.

Tłum rozstąpił się przed nim z uszanowaniem, a on, z zamkniętymi oczyma, macając wyciągniętymi naprzód rękami, nie prowadzony przez nikogo, przystąpił do głowy Tepelentego.

Stanął i położył rękę na odciętej głowie. Nikt nie śmiał mu tego bronić. W tej chwili jednak przywidziało się obecnym, że głowa zwolna otworzyła oczy, i chłodne martwe źrenice zwróciły się prosto na twarz derwisza.

Trwało to krótką chwilę. Zakonnik odjął rękę, zamknęły się oczy... może to było tylko złudzenie.

Starzec przerwał milczenie, głęboki, przejmujący organ jego głosu poruszył i rozrzewnił tłum obojętnych widzów.

— Idźcie, rzekł w końcu, idźcie do Mahmuda— powiedzcie mu, że chcę wykupić głowę Alego, oraz trzech młodych baszów, Solimana, Vely'a i Muhtara, a całe państwo oddam mu w zamian.

— Jakież ty państwo możesz mu ofiarować?— spytał ciekawie wódz czausów strzegących głowy.

— To, które mu się wydaje ze wszystkich najpiękniejszém, które najwięcej kocha, a utrzymać go nie ma nadziei: jego własne państwo.

Sułtan był zdumiony. Zuchwała mowa derwisza zaciekawila go przytém nie na żarty. Kazał go przywołać, zamknął się z nim w jednej z najbardziej oddalonych komnat, i zatrzymał starca do późnej nocy.

Gdy muezzim wygłaszał piątą godzinę z rana, derwisz opuścił pałac.

O czém rozmawiali tak długo, pozostało na zawsze tajemnicą dla wszystkich.

Wychodząc, starzec wyjął kawałek węgla ze srebrnej kadzielnicy, i na białej marmurowej ścianie wypisał co następuje:

„Bądź raczej głową bez ręki, aniżeli ręką bez głowy.”

Nikt nie rozumiał znaczenia tych słów, jemu tylko i Mahmudowi doniosła ich treść nie była obcą.

Sułtan polecił wydać derwiszowi dziewięć worków złota, oraz głowę Alego i trzech młodych baszów. Zabrawszy złoto i cztery głowy, derwisz opuścił seraj. Za owo złoto kupił szmat ziemi pod selimbryjską bramą, obsadził cyprysami, a pod każdym z tych drzew wystawił biały grobowiec.

Takich grobowców przygotował setki a każdy bez napisu—lokator znajdzie się kiedyś..

W pośrodku cmentarza kazał wykopać grób obszerny, długi i szeroki, w którym złożył głowy młodych baszów dokoła ojcowskiej. Cztery pomniki zabieliły się wkrótce na tym grobie, a na środkowym, najwyższym, czytano te wyrazy:

„Tu spoczywa dzielny Ali Tepelenti, basza Janiny, oczekując bohaterów, którzy jak on na śmierć zasłużyli.”

Lud szemrał zwiedzając cmentarz i czytając te słowa—któżby jednak śmiał zmazać to co tam wyryte?

Fatalny napis jaśniał na grobowcu blisko cztery lata, w czwartym nastąpiło wyjaśnienie.

Stary derwisz był dżinem seleucyjskich pieczar...

Złamane miecze.

.....Allah herim.....

Ci, którzy patrzą trochę dalej, wiedzą dobrze co czynią. Wysyłają młodzież do dalekich krajów گیاورów, aby szukali wiedzy... Kiedyś w przyszłości, wszystko tutaj odmienną przybierze postać.

Zgrzybiali derwisze, staro-tureccy kapłani, zupełnie z seraju usunięci, spoglądają ukradkiem na pilnie strzeżone bramy, i szepczą jedni do drugich:

— Patrz, obcy stali się wzorem—uczą wiernych jak bronią władać, i jak bić się należy. Gardzą dzirytem, który zawsze zwyciężał, przypinają lance, niby گیاور nie lubiący walczyć na odległość miecza. Ginie już, ginie dawna wiara Osmanów. Begtasowi bracia z oburzeniem witają każdą nowość — łatwo ich poznać po brudnym kaftanie, obdartym i spłowiałym, stoją u bram pałacu, każdemu kto tam wchodzi przyglądają się uważnie a gdy kto jest izmam lub khoczaugim pluja nań, wołając: „Śmierć każdemu, kto wymówi zakazany wyraz!“

Tym wyrazem niosącym zgubę jest „niczuuci.“

Za wymówienie tych trzech sylab, mających oznaczać nowe, regularne wojsko, ojciec Mahmuda zamordowany został, a prawowierny jego następca, zmuszony był przysiąc, że każdy, kto je powtórzy, śmierć poniesie.

Wielki wezyr, odprowadzony niejednokrotnie

do pałacu przez tłumy pospólstwa, musiał wysłuchiwać obelgi, jakiemi go obrzucano.

W ślad za nim, od czasu do czasu, motłoch powtarzał:

— Pomnij na los Bajraktara.

Bajraktar, był to wielki wezyr monarchii tureckiej, który czternaście lat temu, chciał przerobić z gruntu całą armię, czém wywołał bunt w stolicy. Zamieszki przeciągnęły się długo, a lud nie chciał się uspokoić, aż wszyscy stronnicy zuchwalca śmierć ponieśli, on zaś z żonami i dziećmi w przepysznym swoim kiosku zginął w płomieniach.

Zaczawszy od dostojnej osoby padyszacha, a skończywszy na ostatnim szeregowcu, wszyscy igrają z jego siwą głową, która przyjmuje udział w przeklętych naradach, potajemnie w seraju się odbywających.

Oddawna już po całym kraju obiegały pogłoski, że gotuje się coś bardzo niezwykłego; begtasowi bracia wędrowali z miasta do miasta fanatyzując swych ulubieńców, janczarów, o ile możności gromadząc ich w Stambule. Zebrało się też tam téj czerni blisko dwadzieścia tysięcy, nie licząc nosiwodów, którzy zazwyczaj podczas rewolucyi przyłączają się do nich. Gdy wielmożni janczarowie podpalą tę lub owę dzielnicę miasta, obowiązkiem nosiwodów jest tłumić pożar, przyczem rabując na spółkę, pomagają sobie o ile zdarzy się okazyja. Ztąd stara i dobra znajomość.

Do pałacu, oprócz imanów, jeden tylko ślepy Behram, stary zakonnik przełożony braci Omarytów, miał wstęp zawsze otwarty. Chodził on też

tam coraz częściej, a nie zastawszy nikogo, całemi godzinami przesiadywał z Mahmudem, jak gdyby rozbieając ważne jakieś kwestye.

Dnia 23 maja, 1826 roku, na wezwanie starszego mufty, wszyscy ulemowie zgromadzili się w seraju i wyrzekli jednogłośnie; że, na zasadzie wyraźnej, zapisanej w alkoranie woli proroka „*wolno jest zwalczyć nieprzyjaciela własną jego bronią.*“

Po upływie dni sześciu znowu się zebrali, a szejkul-Islam doręczył im *fetvas*, z którego dowiedzieli się wszyscy razem i każdy z osobna, że dla obrony państwa sułtan organizuje stałą armią, wojsko, o jakim napróżno marzyli jego poprzednicy.

Aby uniknąć wstrętnej nazwy „*niszam dżedim,*“ przyjęto dla nowych batalionów następujący podział:

1) „Ekskenczi“ prawie sami rekruci, nowicyusze, przeznaczeni do szturm.

2) „Taalimliaske“ (wyćwiczeni) oddział uformowany z załogi serajowej.

3) „Khankiar bigerdi“, zreorganizowane szeregi janczarów.

Khankiar bigerdi znaczy dosłownie: król tak chce, (sprawa wylewu krwi—także khankiar).

Gdy przyszło do podpisu, kilku zaledwie z janczarskiej starszyny znalazło się pod ręką, pomiędzy ostatnimi był aga, który obok Szejka ul-Islama wielkiego wezyra i neczib-effendiego umieścił swe nazwisko.

Następnego poranku ludność Stambułu zbierała się tłumnie na mieście, czytając z podziwieniem *fetwa* poprzyklepiane na wszystkich narożnych domach.

Krwawe mury przeszłości zbudziły się z grobów, fatalny wyraz, którego dźwięk zgładził ze świata wielu przodków Mahmuda, wymówiony już został...

Pierwszy dzień przeszedł w trwożnym oczekiwaniu—każdy spodziewał się burzy, i chciał być gotów na jej przybycie.

Sułtan zamieszkał w letnim zamku Beksistas; mówiono nawet, że urządza tam zabawy i przyjemności dla dworu.

Były to przyjemności, od których blade czoło Mahmuda oblewało się krwawym potem.

Prawe skrzydło pałacu zajęły odaliski, lewe kapłani i doradcy; sułtan przebiegał długi szereg komnat, w żadnej spokoju znaleźć nie mogąc.

Potem znowu mędrkami się otoczył, a ulubiony historyk Ezaar effendi czytał mu głośno dzieje Osmanów, od których włosy stają na głowie. Co za straszne karty... każda pisana krwią! Całe zdroje tej krwi płynęły u stopni tronu, po których pochylności staczały się głowy wielkich wezyrów i padyszachów. Dziś tron chwieje się bardziej niż kiedykolwiek, jeszcze chwila a utrzymać się na nim nie będzie sposobu...

Gdy wracał do haremu, piękne odaliski witały go śpiewem i tańcami, a Miljena, dzielna czerkieska, którą zrobił panią Damaszkę, stolicy róż, postępowała na ich czele; rozmyślał z goryczą, że jutro, kto wie, może jeszcze dziś w nocy, wszystkie te głowy spadną na ziemię, białe piersi spoczną w falach Bosforu i staną się pastwą morskich żarłoków.

Kto wie ile minut, ile jeszcze do życia pozostało godzin?...

Ze Stambułu od czasu do czasu nadchodziły wieści, że janczarowie coraz liczniej się gromadząc, podpalaniem się bawią; każdej nocy, w czterech lub pięciu miejscach powstaje ogień, a tylko deszcz padający prawie bez przestanku chroni miasto od zniszczenia. W taki sposób zaczyna się zwykle każda rewolucya w Stambule.

Begtasowi bracia grzmiącemi przemowami fanatyzują lud, doprowadzając go do ostateczności; przed każdym meczetem, na rynkach i placach tłum się zbiera i słucha—podburzony przeciwko sułtanowi, urzędnikom, ulemom, którzy chcą wprowadzać chrześcijańskie obyczaje i omarytańskim derwiszom, doradcom Padyszacha, łączy się z janczarami, za każdego z nich życie oddać gotów.

W dniu 14 czerwca rozeszła się wiadomość, że janczarowie otoczyli nowy, przez ślepego derwisza Omarytów założony cmentarz, i wszystkich znajdujących się tam zakonników, nie wyłączając Behrama, w okrutny sposób zgładzili ze świata. Znaleziono przytém cały zwój pergaminów, z których wyczytać można, że skromni derwisze działali w porozumieniu z padyszachem. Na szerokiej klamrze spiżowej, u pasa zakonnej sukni ślepego, arabskimi literami były wyryte następujące słowa:

„Jestem Behram, syn Halila Mocnego i wyroczni, Gül Bejaze. Mój ojciec rozpoczął wielkie dzieło, dla którego śmierć poniósł. To dzieło uzupełnionem będzie i doprowadzonem do końca, gdy ja

zejdę ze świata. Błogosławiony kto zna godzinę życia i śmierci!“

Kto pamięta dzieje Halila, domyśli się łatwo o jakim dziele mówi Behram, któremu Bóg dozwolił sto dziewięć lat przeżyć na świecie, doczekać się spełnienia idei, dla której ojciec jego życie poświęcił.

Motłoch zwłoki derwisza poszarpał na części, i z krzykiem tryumfu niemi się podzielił, następnie niby dzikie zwierzę, ludzką krwią się nasyciwszy, poszedł burzyć pałace możnych,

Od kogoby zacząć?—pytał ten i ów z tłumu.

Jakiś zakonnik zerwał *fetva* z narożnej kamienicy, zmiął je w obu rękach i przemówił do ludu:

— Patrzenie i uważanie! Na czele bezbożnych nowatorów, jeden z pierwszych podpisał się Kapuffi-aga. Wódz janczarów stał się zdrajcą—przeniewierzył się własnym synom. Śmierć zdrajcy! śmierć niewiernemu!

— Śmierć! ryknęła tłuszcza, i ująwszy pocho-dnie rzuciła się na pałac agi.

Widząc co się dzieje, Kapuffi-aga przywdział suknie jednego ze służących, wmieszał się w tłum, i niespostrzeżony zdołał się przemknąć do domu, w którym mieszkał wezyr.

Ten siedział właśnie przy wieczerzy, posilając się po trudach dnia. Gdy wpadł Kapuffi-aga i drżąc ze strachu opowiedział na co się zanosi. Wezyr kazał bramy pozamykać, sam zaś z liczną rodziną i służbą przez ogród, a następnie wodą uciekł ze stolicy, i schronił się w kiosku Jali po drugiej stro-

nie Bosforu położonym. Rozwścieczony tłum znalazł puste ściany i zrównał je z ziemią.

Aga zostawił żony i dzieci na pastwę motłochu, wymordowano też jedne i drugie bez litości. Po zachodzie słońca, z kiosku, w którym czuł się bezpiecznym, zbiegły wódz mógł dojrzeć płomienie ogarniające jego rozkoszną siedzibę, a kto wie, może nawet słyszeć jęki swoich ukochanych.

Po jakimś czasie przybył Nedźyd effendi, zastępcę egipskiego wice-króla, ze smutną wiadomością, że powstańcy zajęli całe miasto, i na rodzinach tureckich dostojników wywierają swój gniew w najokropniejszy sposób.

Zbiegowie, których liczba wzrastała z każdą chwilą, rzucili pogłoskę, że seraj stoi w płomieniach. Istotnie, pomimo znacznej odległości, widać było jak gdyby ztamtąd pochodzący ogień.

Mahmud przepędził noc na modlitwie, a około drugiej po północy od strony Stambułu, zmęczony, cały okryty kurzem, ukazał się jakiś jeździec. Gdy zatrzymał się przed bramą, koń padł jak długi i już się nie ruszył, a pan jego zażądał natychmiast widzieć się z sułtanem.

Wpuszczono go niezwłocznie.

Twarz Mahmuda zajaśniała radością, gdy poznał kim jest ów gość strudzony długą drogą. To był Thomar, feryk *ekskendżysów*—najdzielniejszy rycerz w całym państwie.

Opuszczając seraj, Mahmud wybrał szesnastu ludzi ze swojej straży przybocznej, kazał im zostać w pałacu, a w razie gdyby powstał bunt, co było

rzeczą prawdopodobną, przebić się przez szeregi wrogów i dokładną o wszystkiém zdać relacyą.

Thomar był sam—piętnastu zabili janczarowie, on tylko jeden szczęśliwie ocalił życie i spełnił wolę padyszacha.

— Potwór stworzył dwanaście paszcz, dwanaście głów na nas podnosi; rzekł stanąwszy przed sultanem. Czas wielki obciąć te głowy, gdyż pochłoną ciebie wraz z całém państwem.

Sultan, który bardzo kochał młodzieńca, własną chustką obtarł mu pot z czoła, i kazał iść do jadalnej sali.

Sam zaś modlił się jeszcze.

O pół do szóstej, gdy nad błękitném pasmem gór słońce zajaśniało w całej okazałości, sultan zszedł z dachu, służbie zaś i zbrojnym przed bramami zebrać się rozkazał. Miał zaledwie tysiąc eksendżysów, tyleż soldarsów i bostandżich; ta drobna garstka stanowiła obecnie całą jego armią.

Potém, w milczeniu udał się do kobiet.

Ci, którzy widzieli go w téj porze, mieli się czemu dziwić. Z twarzy władzcy zniknął spokojny, łagodny wyraz, w zaciśniętych ustach tkwiła groźba, oczy rzucały błyskawice.

Ucałował matkę i sultanek Affeki, a potém syna. Zachowywał się spokojnie, ani jedna łza nie zwilżyła jego żrenic. W natchnionym wzroku swego pana wszyscy czerpali siłę; zbyteczném było ich poکرzepiać i zachęcać do walki.

Objąwszy dziecko jedną a żonę drugą ręką, rzekł do nich:

— Odchodzę... spieszę do Stambułu, gdyż tam wo-

ła mnie obowiązek—czy powrócę, to wielkie pytanie, na które odpowiedzieć nie jestem w możności. Ale wam przysięgam, że gdy mnie tu ujrzycie, będę już zupełnym władcą w mojem państwie. Gdybym nie powrócił, co się z wami stanie?

Na twarz Miljeny szkarłatne wystąpiły rumieńce. Powiodła go w głąb komnaty, cała drżąca od wzruszenia.

— Gdy Mahmud zginie—rzekła z dziką energią—ci którzy go kochają, znajdą do niego drogę. Wróg zastanie tylko martwe zwłoki.

Mahmud ucałował białe czoło czerkieski. Ta kobieta ma prawo zasiąść na stopniach tronu!...

Potem wyszedł na dziedziniec, gdzie mu dano konia, on zaś skinął na Thomara, żeby pottrzymał strzemień. Następnie kilka czaplich piór z turbana wyrwawszy, ozdobił niemi fez ulubieńca.

— Ty powiedziesz eskandżysów, rzekł krótko. Kto ma szablę niech pokaże jak się bili nasi ojcowie.

To mówiąc, wyjął miecz z pochwy i na czele małego oddziału posunął się naprzód, a w kilka chwil potem, cała armia była w drodze do Stambułu. Z obydwóch stron eskandżysowie z bagnetami, które błyszczały na słońcu, w pośrodku sułtan ze swoim orszakiem, a na samym końcu masztalerze i ogrodnicy.

Wszyscy ci ludzie bez wyjątku, zdecydowani byli zginąć lub zwyciężyć.

Przybywszy do stolicy, wbrew oczekiwaniu spotkali bardzo słaby opór.

Walki trwające od dni kilku wyczerpały buntowników, sprzykrzyło im się podpalanie, zaczęli ra-

bować i zabawiali się tém do rana, poczem całemi gromadami odpoczywali w kawiarniach, restauracjach, oraz tym podobnych zakładach.

Mahmud bez trudności do seraju się dostał; spotykał wprawdzie tłumy ludu, te usuwały się jednak, by przepuścić sułtana. Nie obrażono go ani jednem słowem, przeciwnie nawet, okrzyk zachwytu wyrwał się z niejednej piersi. Zdumieni widokiem padyszacha, który z garstką ludzi pomiędzy nich wejść się odważył, pozwolili mu bezkarnie do seraju się schronić.

Grzmiące okrzyki żołnierzy, które dały się słyszeć z za bram pałacowych, świadczyły o zapale, z jakim załoga przyjęła padyszacha.

Zmieszany trochę, Kara Makau cofnął się z oddziałem buntowników i zaczął gromadzić janczarskie szeregi na Etmeidanie, gdzie obok przewróconego kotła powiewała czerwona chorągiew. Na rogach ulic, ochryplym już głosem, begtasowi bracia przemawiali do niespokojnych tłumów, z minaretów odzywały się rogi, milknąc wtedy tylko, gdy pięć razy dziennie wyznawcy proroka składali cześć Allahowi, sławiąc jego imię.

Przy pierwszych dźwiękach *namazatu*, ustawał również wszelki gwar na mieście i zaczynał się wówczas dopiero, gdy ucichły jego tony.

Cały porządek społeczny uległ przewrotowi, szumowiny i męty pływały po wierzchu. Hamalowie (stowarzyszeni tragarze), nosiwody, przewoźnicy stanęli po stronie janczarów, powiększając tym sposobem liczbę buntowników. Wszystkie meczety i koszary znajdowały się już w ich rękach, nawet dar-

dannelskie strażnice otwarły junakom swoje bramy, a sułtan w seraju zamknięty siedział.

Janczarowie zamierzili przypuścić szturm do pałacu Wysokiej Porty i zdobyć go siłą. W tym celu wysłali herolda do dżebedzyków, obozujących blisko meczetu św. Zofii z ciężkimi armatami, i kazali im do szturmu przystąpić.

W krótkiej, namiętnej mowie młody janczar zachęcał dżebedzyków do krwawego dzieła. Kowale słuchali w milczeniu gdy nagle wypadł strzał, a mówca runął na ziemię jak długi.

Dżebedzyki rzucili się na kilku janczarów, którzy czekali również na odpowiedź, głowy padały jak piłki, złożono je potem wszystkie razem, powtarzając coraz głośniejsze i śmielsze:

— Niech żyje sułtan!

Z tymokrzykiem kowale wystąpili naprzód, wsparci o mury pałacowe, zwrócili armaty przeciw buntownikom.

Okolo południa, przy dźwiękach muzyki, na czele czterech tysięcy ludzi, nadciągnął Kapudam Ibrahim „piekielnym“ zwany, wkrótce potem ukazał się oddział Mehmeda, który pod osłoną nocy zebrał garstkę azyatyckich żołnierzy, będących oddawna wrogami janczarów.

Przeciwnicy powitali się wściekłym wrzaskiem, na twarzach wodzów panował spokój; przysiędź było można, że żaden z nich się nie cofnie, żaden nie ustąpi, a w dniu dzisiejszym ostatnia dla janczarów lub też dla Turcyi wybije godzina.

Bramy seraju otwarły się szeroko, ukazał się

Mahmud w towarzystwie ulemów i wyższych urzędników.

Cały ten orszak pod bramą ustawił się w półkole, sułtan zajął miejsce na najwyższym stopniu schodów. W błyszczącym stroju padyszacha, poważny, uroczysty, w jednej ręce trzymał wielki sztandar proroka, w drugiej obnażoną szablę.

— Na co zasłużyli buntownicy? rzekł silnym, przejmującym głosem, do Szeik-ul-islama wprost się zwracając; buntownicy, którzy podnieśli rękę na swojego władcę?

Starszy mufty odrzekł z pokorą.

— Alkoran powiada: gdy niesprawiedliwi pojną twego brata, możesz ich zabić.

— Przysięgnijcie wszyscy, na świętą chorągiew Mahometa, że wygubicie tych, którzy przeciw mnie się zwrócili.

Wodzowie ucałowali sztandar i przysięgli go bronić do ostatniego tchnienia.

— A teraz pozamykajcie bramy, obstawcie je ludźmi. Zwyciężyć lub zginąć!

— Niech żyje sułtan! śmierć janczarom! wołali żołnierze.

Mahmud chciał stanąć na czele wojska i osobiście je prowadzić przeciw buntownikom; wodzowie padli mu do nóg prosząc, aby nie narażał życia, które jest drogie wszystkim prawowiernym. Ustał, lecz oddał wezyrowi swoją szablę, aby się wykąpała we krwi wrogów.

Zamknięto bramy; ta okoliczność wzbudziła w janczarach pewną trwogę. Przeczuwali oni, że straszny ten dzień może być dla nich ostatnim, iż

nie będzie już mowy o układach i pojednaniu, a miecz sam tylko rozstrzygnie kwestyą.

Zebrawszy się na Etmeidanie, zburzyli koszary i domostwa i zbudowali szańce. Zły to już znak, gdy buntownicy zamiast napadać myślą o obronie.

Przy odgłosie bębnów oddział wezyrów szedł prosto na nieprzyjaciela. Tu przybywszy dülbendar-aga uniósł w górę szanczak-sherif, wzywając janczarów aby się rozeszli i wrócili pod sztandar proroka.

Wściekłe klątwy zagłuszyły jego mowę.

Kara Makau przekrzyczał wszystkich, wołając donośnym głosem:

— Cofnijcie nowe rozporządzenia i wydajcie nam niewiernych, którzy ten Hatti-sherif podpisali. Kapuffi-aga, wezyr, starszy mufty i Medzyb-effendi słusznie nam się należą! Wydajcie nam tych łotrów — tak chcą janczarowie, jamaki, kajikdżyki i hamalcy, wierni czciciele proroka!

Dülbendar-aga trzykrotnie wezwanie swoje powtórzył, lecz za każdym razem podobną otrzymał odpowiedź:

— Janczarowie chcą krwi!

Selim, ojciec Mahmuda, w tém samém będąc położeniu, wydał janczarom głowy nienawistnych baszów—Mahmud nie poszedł za jego przykładem, lecz złamał szablę i na ziemię ją rzuciwszy, rzekł stanowczo:

— Jak téj złamanéj szabli nikt już spoić nie może, tak niech oni zginą, aby już nigdy nie powstał!

Po chwili zaraz na Etmaidanie zagrzmiały dzia-

ła Ibrahima piekielnego, bomby rozerwały drewniane budowle, powstał wyłom, przez który wtargnął natychmiast Hussein basza i Thomar bej, na czele eksendżysów.

Doprowadzeni do wściekłości widokiem nowych mundurów, z dzikim okrzykiem buntownicy naprzód się rzucili, przekonali się jednak niebawem, że kindżał bagnetowi nie dorówna.

Thomar bej przebił szeregi, i niby ostry klin wpadł pomiędzy buntowników. Niepodobna już było się cofnąć, z wysiłkiem rozpacz y janczarowie próbowali złamać oddział Ibrahima; trzy razy powtarzając tę próbę, tysiącami swych ludzi zaściełali pole bitwy.

Wszystko przepadło... Pobici, pokonani na wszystkich punktach przez nową armią, begtasowe kwiaty za Etmajdanem, wkoszarach szukały schronienia.

Kara Makau téj hańby nie dożył—kula armatnia urwała mu głowę; skrwawione zwłoki poznano później z trudnością, gdyż tylko wspaniały pas od wielu innych je wyróżniał.

Zrozpaczeni a wściekli, zamknięci w koszarach szykowali się janczarowie do śmiertelnego boju.

Wszystko zapóźno!

„Ibrahim piekielny” zaraz do szturm u przystąpił, a w godzinę potem olbrzymi gmach stał cały w płomieniach. Załoga wyginęła straszną śmiercią. Głuche jęki rozdzierały powietrze, im bardziej rozszerzał się ogień, tem słabsze z głębi koszar dobywały się głosy, aż wreszcie ucichły zupełnie.

W oczach dowódców niejedna łza błysnęła. Wszak było to niegdyś dzielne wojsko! Było niegdyś!

Te słowa kreślą jego dzieje...

Dwadzieścia tysięcy janczarów w tym dniu fatalnym utraciło życie.

Kogo nie trafiła kula i nie dosięgnął miecz, ten zginął od topora lub stryczka. Zwłoki poległych w łonie Bosforu znalazły chłodną mogiłę; długo jeszcze potem, fale morskie wyrzucały na brzeg skrwawione szczątki janczarów, które zdala od Turcyi, w kraju giałurów, wieczny znajdowały spoczynek. Taki był los kwiatów begtasowych.

Imię janczarów wymazane zostało z dziejów tureckiej monarchii, i pod karą śmierci noszonego przez nich stroju nikomu przywdziać nie wolno. Begtasowi bracia zniesieni na wszystkie czasy, klasztory zamknięte, a majątki zabrane przez rząd.

Tak zginęła armia, która przetrwała tyle wieków i zdobyła niejedyn liść wawrzynu.

Nie wolno dzisiaj wspomnieć jej imienia.

Po tej krwawej rzezi naród osmanów dźwignął się z upadku, zyskał świeże siły, i zaczął nowe życie, dzięki potężnej dłoni, która zgubiła dwóch największych nieprzyjaciół: Alego Tepelenti i janczarów.

Co mówił Halil Patrona, ujrzawszy dwadzieścia tysięcy potomków nieprzyjaciół, którzy przed stoma laty, za przedwczesny zamach odebrali mu życie?...

Czytelnia

K O N I E C.

"POPULARNA"

№ 5 Zielna № 5

POŻYCZALNIA

KSIAŻEK

MAURYCEGO ORSZĘCZAKA



30
25
12

~~52~~
27

12

12

23

OSZK

Országos Széchényi Könyvtár